







Émile

EMIL ZOLA.

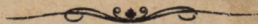
DOKTÓR PASCAL.

POWIEŚĆ.

Wypis, 2 Jw.

CZĘŚĆ II.

Zamienić Cz. 1 występuje po Cz. 2



WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1895.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 12 Июня 1894 года.



203035

W drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.

Tom I myśli opra-
wiony w 2^{gą} części.

CZĘŚĆ DRUGA.

Rozpoczęło się teraz życie pełne szczęścia, życie, jak w sielance. Niespodzianie przybyłe szczęście rozpromieniło Pascala na schyłku lat już będącego. Miłość Klotyldy ogrzewała go, jak słońce, kwiatami ścieląc mu życie; po trzydziestu latach pracy i dręczących badań nad ludzkimi ułomnościami, ona niosła mu w nagrodę swą młodość i piękność. Ożył promieniami jej oczu pokrzepiony, w oddechu jej młodzięcym skąpany. Wiara jego w życie, zdrowie i siłę wzrosła wraz ze spływającym dlań odrodzeniem.

Dopiero około godziny dziesiątej zrana, Klotylda wyszła z pokoju, gdzie spędzili pierwszą noc ślubną. W pośrodku sali zastała Marcynę, stojącą z miną dziwnie zakłopotaną i wystraszoną. Wczorajszego wieczoru Pascal, idąc za Klotyldą drzwi nie zamknął od swego pokoju i Marcyna, wszedłszy przez drzwi otwarte, z przerażeniem ujrzała, że łóżko doktora było dotąd nietknięte. Wpadła wprost w osłupienie, które niezmiernie śmieszna czyniło ją obecnie.

Promieniejąca szczęściem i uradowaniem, Klotylda podbiegła ku niej wesoło, jednym tchem wołając:

— Marcyno, Marcyno! Już teraz nie wyjeżdżam, nie opuszczam was! Bo mistrz i ja, pobraliśmy się tej nocy.

Stara Marcyna zachwiała się na nogach. Jakby jej na raz w sercu pekiło coś boleśnie i twarz jej, podobna żółtą i wyniszczoną postami cerą do twarzy mniszki, pobladła straszliwie wśród szlerek białego czepka. Nie rzekłszy słowa, zawróciła się na miejscu, zeszła do kuchni i padłszy na stołek z zarzuconymi rękoma na stół od zmywania statków, poczęła szlochać w głębi serca.

Zaniepokojona jej zachowaniem się, Klotylda zeszła za nią. Chciała zbadać przyczynę jej smutku i o ile możności pocieszyć strapioną.

— Co ci jest, Marcyno? Czego martwisz się niepotrzebnie? Przecież mistrz i ja kochać cię nie przestaniemy i na zawsze z nami zostaniesz... Pobranie się nasze, w niczem położenia twego nie zmieni. Szczęśliwszą tylko będziesz, bo teraz będzie u nas wesoło ciągle, bezustannie wesoło.

Marcyna, zamiast odpowiedzieć, szlochała coraz głośniejsze, nieustannie.

— Odpowiedz mi przynajmniej. Powiedz, z czego jesteś niekontenta, dlaczego płaczesz? Nie cieszysz się więc, iż mistrz jest teraz szczęśliwy, żebyś wiedziała, jaki szczęśliwy! Zawołam go, niech przyjdzie, jemu może powiesz, dlaczego płaczesz.

Zagrożona przyjściem Pascala, porwała się Marcy-

na z miejsca, na którym siedziała i pędem uciekła do swego pokoju, tuż obok kuchni, zamykając z łoskotem drzwi za sobą. Napróżno Klotylda stukała, prosiła i wzywała, by zechciała ją wpuścić.

Po chwili nadszedł Pascal, pytając:

— Co się tu dzieje? Co to?

— Wyobraź sobie, że nie wiem, co się stało Marcyniel! Gdy powiedziałam jej o naszym szczęściu, poczęła płakać i zawodzić ze zmartwienia. A oto teraz, zamknęła się w swoim pokoju i odezwać się nie chce...

Rzeczywiście szmer żaden nie dochodził z pokoiku służącej. Pascal stukał we drzwi i prosił, by je otworzyła, lecz wszystko napróżno. Niecierpliwił się i błagał naprzemian. Stali dość długo, wzywając bezskutecznie. Cisza głucha była całą odpowiedzią. Znali dobrze oboje czysty i do przesady starannie utrzymany pokój Marcyny, w którym komoda z drewna orzechowego i żelazne łóżko, zdobne białymi firankami, główne stanowiły meble. Wystawiali sobie, że leży ona teraz, rzuciwszy się na łóżko i szlochając w dalszym ciągu, zanurzywszy głowę w poduszki, by przytłumić odgłos swego płaczu.

— Ha, cóż zrobić! Zostawmy ją, odezwała się Klotylda z egoistycznym wybuchem własnego szczęścia, chce się dąsać — to niechże się dąsa!...

Chłodnymi swemi rączkami pochwyciła Pascala i podnosząc ku niemu śliczną swą główkę o rozpalonych namiętnością policzkach, rzekła z przymilem:

— Ja dziś będę twoją sługą, mistrzu!

Z wdzięcznością pocałował ją w obadwa oczy a ona zaczęła się krzątać po kuchni, by przygotować śniadanie. Opięta się w wielki kuchenny biały fartuch, zakasała rękawy i śliczne gołe do łokcia ręce poczęły nie na żarty krzątać się wesoło. Kupione przez Marcynę kotlety usmarzyła wybornie, otoczyła je jajecznicą a na drugie danie zrumieniła kartofle, pokrajane w plasterki. Wszystko udało się wysmienicie, nabiegała się tylko niemało, zapominając wody, to znów chleba, lub widelcy. Usługiwała mu prawie na klęczkach, tak się czuła szczęśliwą. Jakże im było dobrze w tej samotności pustego, wielkiego domu! Zdała od niepotrzebnych świadków, śmiać się i kochać mogli z całą swobodą!

Całe popołudnie zeszło im na porządkowaniu gospodarstwa, zamieśli pokoje i zabrali się do stania łóżka. Pascal dopomagał, jak umiał. Bawili się wybornie, śmiejąc się jak dzieci. Od czasu, do czasu szli razem pukać do drzwi Marcyny. Zwaryowała chyba, żeby tak o głodzie zamykać się przed niemi! I dlaczego? Nikt jej przecież nie uczynił krzywdy? Lecz mimo prób i napomnień Marcyna uparcie milczała. Nadszedł wieczór, przyrzadzili sobie obiad i zjedli go z jednego talerza, siedząc tuż koło siebie. Przed pójściem spać, jeszcze raz sprobowali wejść w porozumienie z Marcyną, grożąc jej wyłamaniem drzwi gwałtem, lecz ona słówkiem nie odezwała się. O wiele więcej zaniepokoiłi się nazajutrz rano, spostrzegłszy, że Marcyna dotychczas nie wyszła ze swe-

go ukrycia. Od dwudziestu czterech godzin, nie dawała najmniejszego znaku życia.

Po niejakiem czasie, wróciwszy do kuchni, zastali tam wreszcie Marcynę, spokojnie obierającą szczaw na śniadanie. Jakgdyby nic nie było zaszło, weszła uapowrót w dawną rolę służącej, dbałej o swoich państwa.

— Co ci było?—zapytała Klotylda. Czy zechcesz nam wytkomaczyć, moja droga Marcyno?

Staruszka podniosła ku niej twarz, obrzękłą złami. Była już uspokojoną, lecz ciężki smutek, wryty był w jej postarzałych raptownie rysach. Spojrzała na Klotyldę z niewystowioną wymówką; opuściła potem głowę, pogrążona w milczeniu.

— Czy się na nas gniewasz?

Nieprzerwanie milczała; zapytał się więc Pascal z kolei:

— Gniewasz się na nas, moja droga Marcyno?

Od lat tylu nawykła słuchać jego głosu, iż prawie mimowoli zwróciła się ku panu i spojrzała z przywiązaniem nieograniczonem, wszystko wybaczać i uwzględniać zdolnem. Wreszcie przemówiła:

— Nie, na nikogo się nie gniewam... Panu wszystko wolno. I wszystko jest dobrze, jeżeli panu jest dobrze.

W Sulejadzie nowe rozpoczęło się życie. Klotylda, pomimo iż dwadzieścia pięć lat już ukończyła, dotychczas była prawie dzieckiem. Teraz dopiero pod tchnieniem miłości, rozkwilać poczęła w zachwycającą wdziękiem kobietę, pragnącą kochać i być kochaną. Pomimo dość obszernych wiadomości, uzbieranych czytaniem, naiwną pozostała pod wielu bardzo

względnymi; jakby dopełnienia swego oczekiwała od tego, którego ukocha. Z zadowoleniem najwyższym czuła się słabem, wątłym dzieckiem wobec Pascala, oddała mu się przez miłość, wdzięczność i uwielbienie, uważając się za przedmiot, za rzecz drogocebną, której posiadanie uszczęśliwić go może. Cześć i nabożeństwo, z jakim na klęczkach pocałunkami obsypywał ją, uważała za hołd słusznie jej przynależny. Z dawnej bigoteryi pozostała jej dążność do wierzenia w kogoś potężniejszego i silniejszego, przy którego boku czerpaćby mogła otuchę i pocieszenie. Pozostała wierząca, oddawszy się temu, któremu wierzyła; miłość zawładnęła nią do szafu a mimo wszystko, zachowała wesołość i swobodę, była zdrowa i jadła z apetytem; ta właściwość charakteru podobną ją czyniła do dziadka, dzielnego żołnierza. Dom cały napełniała szelestem swych spódnic i dźwiękiem swego głosu, wdzięczna jej kibić migała wciąż w ruchu, czarem młodzieńczej świeżości nasycając powietrze.

Miłość uczyniła Pascala pięknym. Siwe włosy odmładzać go się zdawały. W ostatnich miesiącach choroby i moralnego cierpienia, bolesć wyrzyła się na jego twarzy, obecnie, śladu jej nie było: wyglądał zdrowo i czerstwo, oczy miał błyszczące i dziecięco szczere, rysy przybrały wyraz spokojny, wesoły i dobry; siwe raczej śnieżno białe włosy i broda, rosły bujnie a dawno niestrzyżone, przybrały kształty fantastycznej lwiej grzywy. Praca i samotność przechowały w nim zupełną świeżość sił żywotnych, nieużytych rozpustą, ani występkami; odnaleziony w ca-

łości ich zasób dozwalał mu obecnie nasycić się dowolnie. Z młodzieńczą namiętnością życia teraz używał i, jakby odrodzony, ocknął się w pełni lat młodych, czuł nieprzewyciężoną potrzebę głośnego mówienia, ruszania się i zachwytów, które najdrobniejsza okoliczność z łatwością wywoływała. Widok horyzontu, zapach kwiatów, słowo nieco czulsze, rozrzewniało go szczerze, jakby nowo odkryta i nikomu poprzednio nieznana skarbnica uczuć świeżych i ocenąć się niedających. Szepnięte ustami Klotyldy „kocham cię”—miało dla niego powab nadludzkiej pieśszoty. Wraz ze zdrowiem i pięknością, powróciła mu swoboda i wesołość umysłu, wypływająca dawniej z miłości dla życia; dziś, prócz dawnych racyj, przybyła jeszcze nowa i potężna dźwignia, miłość jego dla życia potęgująca bezbrzeżnie.

Stanowili parę, promieniejącą szczęściem, ona przedstawiała młodość, on siłę dojrzałą. Od miesiąca nie ruszyli się krokiem z Sulejady. Najchętniej przesiadywali w wielkim pokoju, różowym kretonem wybitym, gdzie wśród mebli pochodzących z czasów pierwszego cesarstwa, stała wielka stylowa, sztywna kanapa a naprzeciw wielkie, monumentalne lustro.

Ileokroć spojrzeli na złożony brązowy zegar z amorkiem, wspartym o płótek i patrzącym na postać uspiętego czasu, śmiech pusty ich porywał. Żartowali z aluzji ukrytej w alegorycznych figurkach zegara. Zajmowała i bawiła ich rzecz najdrobniejsza; robili przypuszczenia, iż tak pokój ten jak i meble, wielokrotnie byli już świadkami wyznań miłosnych

a widziane teraz sceny musiały odmładzać ich wspomnienia. Klotylda przysięgała, iż jednego wieczoru, widziała młodą i ładną kobietę, przeglądającą się w lustrze a puściwszy wodze fantazyi, obiecywała zjawić się w tymże pokoju po śmierci, gdy nowi ludzie kochać się w nim będą. Pascal przekładał pokój ten nad inne, bo wszystko mówiło mu tutaj o Klotyldzie, powietrze nawet zdawało się być przesycone jej oddechem; żył tu i mieszkał, unikając o ile możności dawnego swego pokoju, wiejącego piwnicznym zimnem i smutkiem bolesnych wspomnień. Lubili również przebywać w wielkiej sali, gdzie długie lata spędzili razem przy pracy i w przywiązaniu wzajemnem. Dnie upływały im najczęściej w owej sali, lecz do żadnej roboty nie zabrali się dotychczas. Wielka szafa dębowa i biblioteka, stały od dawna nietknięte, jak stoły zawalone gromadzącemi się papierami. Jak młodzi małżonkowie upojeni sobą, przestali myśleć i zajmować się wszystkim, co stało po za niemi. Godziny płynęły z szybkością chwili, tak błogo im było z sobą i przy sobie; siadywali najczęściej razem w jednym wielkim staroświeckim fotelu, nacieszyć się dość sobą nie mogąc; otoczeni dobrze im znanemi meblami i drobiazgami, cieszyli się ciepłem, spływającym ku nim z wysokiego sufitu, ogrzanego promieniami kwietniowego słońca. Czasami on wspomniał, że trzeba się wziąć do roboty, wtedy Klotylda zarzucała mu ręce na szyję i, śmiejąc się, mówiła, że nie puści go i nie pozwoli, by pracował, bo zbyt to jeszcze niebezpieczne po niedawno odbytej chorobie.

Lubili i wesoły, drzewem wyłożony pokój stołowy na dole, o którego ściany, pokostem niebieskim prążkowane, odbijały się silnie czerwone mahoniowe meble, porozwieszane pastele i wielka, zawsze połyskująca lampa, zwieszająca się od sufitu po nad stół w środku stojący. Apetyt mieli oboje wyborny, jedli wiele i z przyjemnością, lecz gdy tylko jeść skończyli, uciekali na górę, bo tam nikt nie przerywał ich słodkiej samotności.

Nasiedziawszy się w domu, wychodzili do ogrodu i obchodzili całą Sulejadę. W końcu kwietnia, zakwitły róże. Radowali się, że mur, otaczający posiadłość do koła, oddzielał ich od reszty całego świata, nikt widzieć ich nawet tam nie mógł! Długie godziny spędzali zapatrzeni na widok, roztaczający się z tarasu przed domem; rzeczka Viorna płynęła ocieniona drzewami nadbrzeżnemi, po za nią ciągnęły się wzgórza św. Marty, widzialne dla nich od stromych skał de la Seille, aż do głębokiego obszaru, pozbawionej wilgoci i zawsze zapyłonej doliny Plassans. Taras przed domem cały był wystawiony na działanie promieni słonecznych; dwa tylko odwieczne, wysokie i wysmukłe cyprysy rosły po przeciwnych jego końcach, stercząc jak olbrzymie zielonkawe pochodnie, widzialne dla oka na trzy mile w promieniu. Czasami spuszczały się ku dołowi, dla przyjemności przedostania się z trudnością, po łomach kamieni i gruzach walących się podmurowań, podtrzymujących osuwanie się gruntu; przypatrywali się uważnie rosnącym tu mizernie drzewom migdałowym i oliwnym, chcąc się

przekonać, czy dobrze puszczają. Błądzili z rozkoszą po sosnowym lasku, silnie teraz woniejącym balsamicznym zapachem żywicy, okrążali ogród tuż przy murze, po za którym od czasu do czasu rozlegał się łoskot jadącego wozu po ciasnej drodze, wiodącej do Fenouillères; najdłużej przesiadywali na starem klepisku; położywszy się na ciepłych, zarosłych bujną trawą kamieniach, patrzeli na niebo i z rozczuleniem wspominali noc letnią, gdy gwiazdy stały się mimowolnymi świadkami wielkiej ich sprzeczki; sami nie wiedzieli wówczas, jak dalece kochali się już bardzo. Najmilszą wszakże kryjówką był dla nich gaj jaworowy, i w jego lekkim cieniu jeszcze teraz jak blade zielona koronka, pozostawali do ostatecznego powrotu do domu. Pod jaworami, bukszpan okalający niegdyś kłaby ogrodu w starym francuzkim stylu, rozrósł się teraz w krzaki wysokie, tworząc labirynt tak zawiły w swych zakrętach, iż nigdy końca odnaleźć nie mogli. Szmerzący bezustannie strumyk wydawał się im bardziej uroczym, niż dawniej, dźwięk jego kryształowy o ich serce echem się odbijał. Siadywali przy porośłym mchem basenie a ręce ich i usta złączone były w uścisku; niepostrzeżenie tu płynęły im godziny jak woda strumyka, napawając ich szczęściem i zapomnieniem zupełnem, nadchodził wieczór, zapadała noc a woda, której już teraz widać nie było, śpiewnie i jednomiernie dźwięczała wśród ciemności.

Zamknięci w Sulejadzie, nie wyszli po za jej obręb do połowy maja. Pewnego ranka Klotylda pozostała w łóżku dłużej niż zazwyczaj a Pascal wyszedł

i wrócił w godzinę później; zastał ją jeszcze leżącą z gołemi ramionami wśród poduszek; założył w jej różowe uszka dwa piękne duże brylanty, które pobiegł kupić, przypomniawszy sobie, że nazajutrz przypada dzień jej urodzin. Klotylda niezmiernie lubiła drogie kamienie i świecidełka kobiece; ucieszyła się bardzo i piękną wydała się sama sobie z temi dwoma gwiazdami błyszczącymi po obu stronach twarzy; długo jeszcze wstawać nie chciała, bawiąc się widokiem pięknego swego ciała, strojnego w gwiazdy wśród białej pościeli. Co kilka dni Pascal znikał rankami i wracał z nowym podarkiem. Chwytał każdą sposobność i okazję, by sprawić jej przyjemność. Wracał do domu śpiesznie, by zastać ją w łóżku i przystroić własnoręcznie. Znosił jej pierścionki, bransoletki, naszyjniki a nawet piękny i misterny dyadem. Czasami wyjmował wszystkie nagromadzone kosztowności i bawił się, strojąc niemi Klotyldę. Wsparta plecami o poduszki, błyszczała cała złotem i jaśniała kamieniami, obwieszona niemi, jak cudowny obraz kościelny; kształtne jej ciało nowego wtedy nabierało czaru. Z zalotnością kobiecą radowała się ze swej piękności, którą Pascal uwielbiał ze czcią miłosną do egzaltacyi posuniętą. Czasami wszakże czyniła Pascalowi wyrzuty za to, iż jej znosi tak dużo drogocennych podarunków, na nic w rezultacie służyć jej nie mogących. I rzeczywiście, po uciesze porannej, spoczywały bezużytecznie na dnie szuflady. Lecz powstrzymać go niczem nie mogła, tak wielką radość sprawiało mu obdarowywa jej coraz innemi błyskotkami.

Chciał tem dowieść, jak dalece bezustannie myśl jego jest zajęta nią wyłącznie; dumny był, widząc, jak pięknie była w ten sposób przez niego ozdobioną; chciał wreszcie pozbyć się wszystkiego, co posiadał, dla jej radości, chociażby tylko chwilowej; oddawał jej posiadane złoto, oddawszy już siebie i życie swe w jej ręce. A jakże wreszcie miał pozbawić się radości, jakiej doznawał, gdy ona, zarzuciwszy mu ręce na szyję, całowała go, dziękując za sprawioną przyjemność. Prócz biżuterii, znosił jej suknie, koronki i wszelkie napotkane kobiece gałganki i drobiazgi. Pokój przepełniony był teraz przeróżnemi darami.

Pewnego ranka rozgniewała się na niego; przyniósł jej znów pierścionek.

— Dlaczego mi je znosisz, kiedy ich nigdy nie kładę? Patrz tylko, jeżelibym wszystkie moje pierścionki włożyć chciała, to palce z paznogciami przykryłyby mi, taką mi już przyniosłeś ilość! Proszę, bądź rozsądnym i nie dawaj mi nic więcej...

Pascal stał smutny i zamyślony.

— Więc dziś żadnej nie sprawiłem ci uciechy?...

Musiła go słowami i pieśczętą pocieszyć, zaręczając i przysięgając ze złami, iż czuje się bardzo a bardzo z nim szczęśliwą. Ale zbyt dobry i zbyt hojny jest dla niej! Ośmielony już, Pascal zaproponował natychmiast, by zezwolić chciała na odświeżenie i nowe umeblowanie swego dawnego a obecnie wspólnego ich pokoju.

— Oh nie! Na to nigdy nie pozwolę. Nie nalegaj, jeżeli łaska!... Nie chcę, byś cokolwiekbaź miał

przemienić w ukochanym moim pokoju, w którym wzrosłam a teraz tak bardzo jestem szczęśliwą. Byłabym wtedy jak nie u siebie.

Mileżące zachowanie się Marcyny wymownie potępiło niepotrzebnie czynione wydatki. Stała się mniej poufałą i od czasu zmiany, zasłanej w stosunkach Pascala i Klotyldy, usunęła się na bok, wyrzekła się dawnego stanowiska powiernicy, ograniczając się do roli wiernej i dbałej służącej. Zmieniła się zwłaszcza względem Klotyldy, traktowała ją z uznaniem pani domu należnem, lecz więcej w tem było posłuszeństwa niż dawnego przywiązania. Pierwsze śniadanie przynosiła im najczęściej do sypialni, gdy w łóżku spoczywali oboje, twarz Marcyny, pokorna i losowi swemu uległa, dzięki nieograniczonemu jej przywiązaniu do Pascala, pozostawała na pozór spokojna. Kilka razy wszakże, wyraźne ślady łez świadczyły o trapiącym ją niepokojem; na zapytania, stawiane przez Pascala lub Klotyldę, dlaczego płakała—nie odpowiadała wprost, spędzając wszystko na cugi i zawianie. Jednem słowem nawet nie zganiła, ani nie pochwaliła podarków, jakie Pascal znosił Klotyldzie, zdawała się ich nie widzieć, chociaż sama ścierała z nich kurze, ustawiała lub układała na miejsce. Wewnętrznie wszakże, straszne z sobą toczyła walki, oburzona szaleństwem niepotrzebnych wydatków i nierozumiejąca, jak można dopuszczać się czegoś tak zdrożnego. Dla zrównoważenia wydatków a zarazem w chęci protestowania na swój sposób, Marcyna postanowiła zmniejszyć domowe wydatki.

Brała teraz o trzecią część mniej mleka i legominę podawała tylko w niedzielę. Pascal i Klotylda śmieli się z jej skąpstwa i żartowali podług dawno przyjętego zwyczaju; opowiadali sobie, że gdy Marcyna krasi masłem jarzyny, kładzie je wprost na durszłak, by dobrze osączyć z masła, które chowa na raz drugi.

Stara służąca chciała koniecznie, by Pascal przejrzał rachunki gospodarskie za ubiegły kwartał. Zazwyczaj rozporządzała dowolnie pieniędzmi, które co trzy miesiące szła odebrać u rejenta, p. Grandguillot, a procent od złożonych przez Pascala pieniędzy wynosił tysiąc pięćset franków kwartalnie; Marcyna wydawała je na gospodarstwo, zapisując wydatki w książce, której od lat dawnych doktor nigdy nie przeglądał. Przyniosła ją teraz i uparcie nastawała, by sprawdził cyfry. Bronił się, utrzymując, że jest pewien znalezienia wszystkiego w porządku.

— Zapewne, odpowiedziała, wszystko jest w porządku, lecz tym razem starałam się być oszczędniejszą, niż dawniej. Pozostało mi trzysta franków. Oto są.

Spojrzał na nią z zadziwieniem. Dotychczas wydawała wszystko, ledwie końce z końcami związując. Jakim więc sposobem mogła odłożyć naraz tyle pieniędzy? Patrzył na nią i starał się zrozumieć, wreszcie roześmiał się szczerze.

— Ach! To teraz rozumiem, dlaczego tak często mieliśmy na stole kartofle! Bardzo jest pięknie z twej strony, moja dobra Marcyno, że jesteś oszczędną, ale na przyszłość nie rób już tego i dogadzaj nam smaczniejszymi kąskami.

Obraziła się uczynioną przez pana wymówką i po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na zrobienie uwagi:

— Jak się widzi, że pieniądze płyną z jednej strony zbyt szybko, to przecież trzeba oszczędzać, gdzie można...

Zrozumiał naganę i dla usprawiedliwienia się w jej oczach, odparł łagodnie:

— Aha! Widzę, że nie jesteś kontenta ze mnie i robisz mi przytyki. Ale nie wiesz może, moja kochana, że i ja mam niemałe oszczędności, które spokojnie leżą w szufladzie!

Pieniądze, o których wspomniał, pochodziły z honoraryów czasami nadsyłanych mu przez chorych; rzucał je, nie licząc, do wyznaczonej na ten cel szuflady biórka. Od szesnastu lat rzucał tam co rok około czterech tysięcy franków, lecz biorąc w miarę potrzeby na osobiste swe wydatki i nigdy nie licząc tego co wydał, Pascal nie znał cyfry uskładanych pieniędzy, domyślał się wszakże, iż czerpiąc ze skarbu, nie mógł go posiadać w całości. Pieniądze na czynione Klotyldzie podarki z tegoż pochodziły źródła, czerpał w nim obecnie często i obficie, z wiarą iż nigdy dna jego nie ujrzy; wiara ta pochodziła z przyzwyczajenia, brał, gdy potrzebował a brać zawsze było z czego.

— Przecież można sobie pozwolić użyć oszczędności, ciągnął dalej wesoło. A wiesz przecież, Marcyno, że mam z czego żyć prócz tego, boć nie ja, ale ty odbierasz procent od mojego kapitału.

Słowa Pascala niezupełnie przekonały Marcynę. I głosem zmienionym, głosem skąpca wiecznie o swój skarb drżącego, rzekła:

— A jeżeliby panu przepadł ów kapitał?

Pascalowi nigdy przez myśl nie przeszła podobna możliwość, myśląc więc, że skąpstwo mięsza Marcynie zmysły, odpowiedział tylko lekkim przeczącym ruchem głowy. Wieczorem mówił z Klotylką o zajściu swem z Marcyną i oboje śmieli się z jej obawy.

Zakupywane przez Pascala drogocenne sprawunki, poruszyły opinię wszystkich mieszkańców w Plasans. Niewiadomym sposobem, wieść o tem, co zaszło w Sulejadzie, rozniosła się po mieście, dostarczając materyału do plotek zawsze w lot przez kamoszki chwytyanych. Może śledzono z po za muru, lecz bądź co bądź wiedziano o miłosnym stosunku Pascala z Klotylką, chociaż Marcyna nikomu się z tem nie zwierzyła. Ilość podarków i nieustające nowe zakupy doktora—wprost zgorwienie wywoływać poczęły. Śledzono go podczas rannych wycieczek do miasta i gdy wchodził do magazynów, ciekawe głowy wychylały się z okien, badając uporczywie jakoś dzisiejszego prezentu, a wieczorem całe miasto wiedziało dokładnie, że doktor kupił dziś kapelusz lub bransoletę z szafirów.

Oburzenie wzrastało z każdą chwilą; patrzcie, oto ten wuj stary, który uwiódł młodą siostrzenicę, a teraz rujnuje się dla niej, jak młodzik! I stroi w bogactwa, jakby jaki obraz cudowny! Najdziwaczniejsze zaczęły krążyć pogłoski i pokazywano sobie Sulejadę

palcami, szepcząc o skandalach, odbywających się po za jej murami.

Stara pani Rougon nie posiadała się wprost z oburzenia. Od chwili, gdy się dowiedziała o zerwaniu projektowanego małżeństwa Klotyldy z Ramondem, rozgniewana, przestała bywać w Sulejadzie. Kpili z niej chyba, bo w niczem jej słuchać nie chcieli! Od miesiąca ich nie widziała; tymczasem spotykała się z ludźmi, którzy ją pocieszali, żałowali dyskretnie rzucanemi słówkami, lecz ona, nie wiedząc, niczego się nie domyślając, naraz całej dowiedziała się prawdy i rażoną została, jakby piorunem. I powiedzieć, że jeszcze niedawno, w czasie choroby Pascala, ona czego innego obawiała się, ze względu na dobrą sławę rodziny; bała się obłędu i szaleństwa dla tego dzikiego samotnika, przepełnionego dumą a zarazem drżącego na wspomnienie ciotki Didy! O ileż gorzej było teraz! Całe miasto śmiało się, opowiadając sobie tłuste anegdotki, krążące z ust do ust! Wielkość legendy o rodzie Rougonów znów była zagrożona! Więc ten syn jej nieszczęsny wziął się, by znieślawić rodzinę! By ujmę przynieść sławie familii! Tej sławie, tak ciężko przez nią zdobytej! Gniewna i pod wrażeniem doznanego wzruszenia nie czekała chwili; czemp prędzej włożywszy kapelusz, pobiegła ku Sulejadzie, z żywością niesłychaną na wiek swój podeszły. Jako kapłanka, strzegąca sławy familii Rougonów, postanowiła naprawić o ile się da, nadwyreżoną czystość legendy. Za ledwie była godzina dziesiąta rano, gdy Felicja wbiegła do domu syna.

Pascala, którego poróżnienie się z matką bynajmniej nie martwiło, właśnie od godziny nie było w domu, wyszedł na miasto, poszukując staroświeckiej srebrnej sprzączki do paska dla Klotyldy. Felicja zastała tylko Klotyldę, jeszcze nieubraną, z włosami rozpuszczonemi na białym rannym kaftaniku, piękną i świeżą, jak rozkwitająca róża.

Pierwsze zetknięcie bardzo było ostre i niemiłe. Felicja ulżyła wezbranemu gniewem sercu, powstając w imię moralności i religii. Wreszcie rzekła:

— Odpowiadaj, dlaczego grzesznie postępujecie wobec Boga i ludzi?

Klotylda słuchała jej wciąż ze spokojnym uśmiechem.

— Postępujemy tak, jak nam dobrze, moja babciu. Czy nie jesteśmy wolni i swobodni oboje? Obowiązków nie mamy względem nikogo żadnych.

— Nie macie obowiązków względem nikogo! A względem mnie! a względem rodziny! Znów błotem zaczną nas obrzucać z waszej przyczyny. Myślisz, że mało będzie mi tego słuchać?

Nagle uspokoiła się prawie zupełnie. Nigdy nie zauważyła dotychczas, że Klotylda jest tak piękną. W rzeczywistości nie była ani zadziwiona, ani zgorzszona tem, co się stało, gniew jej pochodził wyłącznie z obawy plotek i wypłynąć mogącej ujmy dla dobrej sławy rodziny. Niechby się więc dało to jakoś urządzić, by złe języki powstrzymać co rychlej w zapędach. Łagodniej też rzekła:

— Pobierzcie się! Dlaczego dotąd nie wzięliście z sobą ślubu?

W pierwszej chwili Klotylda spejrzała na nią z zdziwieniem. Dotychczas bowiem nie pomyśleli nawet o tem.

Z uśmiechem wreszcie zapytała:

— Czy myślisz, babciu, że ślub może nas szczęśliwsiymi uczynić?

— Jeszcze ci raz powtarzam, że tu nie o was rzecz idzie, ale o mnie, o całą rodzinę... Jak możesz, moje dziecko, mówić o tak ważnych i świętych rzeczach z płochą lekkością?

Czyż wstydu nie posiadasz?...

Klotylda, nie obraziwszy się bynajmniej, ruchem ręki tylko odpowiedziała początkowo, jakby zaznaczyć chciała, iż w niczem nie czuje się winną. Boże mój! W życiu napotykamy tyle zepsucia i zła świadomie wyrządzanego drugim, iż doprawdy wiedzieć nie są w stanie, czem i względem kogo zawinić mogli, oddając się uczuciu, które uszczęśliwiło ich oboje. Wreszcie przeciwko pobraniu się legalnemu opierać się nie będzie.

— Tak, zapewne, pobierzemy się, kiedy sobie tego życzysz, moja babciu. On zrobi co zechce... Lecz cóż pilnego, poczekajmy z tem trochę.

I w dalszym ciągu była spokojną i wesołą. Ponieważ żyli z daleka od ludzi, dlaczego mieli się niepokoić tem, co ludzie o nich mogą mówić?

Prócz głuchej obietnicy ślubu, nic nie uzyskawszy, stara pani Rougon, pożegnawszy się z Klotyldą, wyszła niezadowolniona. Od tego czasu zaznaczała wyraźnie, iż przestała bywać w Sulejadzie, gdzie działały

się rzeczy niezgodne z jej zasadami. Z prawdziwym namaszczeniem przywdziała żałobny smutek spadłego na rodzinę ciosu. Nie spuszczała wszakże z oka tego, eo się w Sulejadzie działo, gotowa korzystać z każdej sposobności, by wrócić na pożądane stanowisko i otrzymać zwycięstwo, które w życiu wytrwałością swą zdobywała dotychczas.

Prawie w tymże czasie Pascal i Klotyllda przestali żyć w ukryciu. Nie uczynili tego w chęci wyzwania lub poskromienia ludzkiego gadania, które z obojętnością pomijali, lecz wprost dla zadowolenia własnej ochoty. Miłość ich początkowo ukryta w nich samych, wybuchła i napełniła swem tchnieniem pokój, który był świadkiem ich połączenia, ogarniając następnie dom cały i ogród, teraz ujawnić się chciała dalej po mieście i okolicy, skraje horyzontu sobą wypełniając.

Podług dawnego zwyczaju, Pascal, przywdziawszy tuzurek, jasno ubraną Klotylde, wiodąc pod rękę, rozpoczął zaniebane skutkiem choroby wizyty doktorskie. On biały siwizną, ona złotowłosa, głowy trzymając prosto, szli z uśmiechem łagodnym na pięknych twarzach, taką radością i szczęściem promiennych, iż aureolą niebian zdawali się być otoczeni. Zrazu ludzie z podziwienia wyjść nie mogli, kupcy wychodzili ze sklepów, kobiety wychylały się przez okna, przechodnie przystawali, by patrzeć i śledzić za nimi. Szeptano, śmiano się, palcami ich wytykając. Można się było obawiać, że ulicznicy, zachęceni zachowaniem się starszych, zaczęą kamieniami rzucać

za nimi. Lecz piękność ich i dobroć zaczęła powoli rozbrajać serca i skłaniać najzawziętszych do pobłażliwości i przebaczenia. Promieniejące od nich szczęście i miłość budzić raczej zaczęły zazdrość z pociągającą ku nim zyczliwością złączoną. Nowsze dzielnice miasta, zamieszkane przez bogatszą burżuazyę, najtrudniejszemi były do zwalczania. O wiele okazała się względniejszą dzielnica św. Marka, gdzie po bokach ulic zarosniętych trawą, mimo kamieni, wznosiły się stare pałace starożytnych rodów szlacheckich; mury tych pałaców napelniała jeszcze woń miłosnych uścisków i schadzek wiekami nagromadzona. Lecz najlepiej, najswobodniej im było wśród biednej, starej części Plassans, gdzie ludność prosta i uboga, instynktem odczuła czar legendy głęboko w łono dusz ludzkich zapadłej, o królu potężnym a wiekiem pochyłym, szukającym i odzyskującym siły i czerstwość przy boku pięknej i młodej oblubienicy. Kochano tam doktora za nieograniczoną jego dobroć; przywiązanie przeszło teraz i na wybraną przez niego towarzyszkę, którą witano z twarzą pogodną i przyjazną. Oni, tak pełni obojętności na ludzkie obmowy i wzgardę, poruszonymi do łez się uczuli serdecznem przyjęciem, jakiego wśród ludu doznali. Piękność ich zwiększyła się jeszcze, bo szczęście ujawniło się żywiej w całej ich postaci, jakby pod swe skrzydła wszystkich objąć chciało.

Pewnego popołudnia, gdy Pascal z Klotyldą wyszli na miasto i skręcali na ulicę de la Banne, spostrzegli na przeciwnym chodniku doktora Ramonda. Wczo-

raj właśnie dowiedzieli się wypadkiem, że oświadczył się o rękę panny Levêque, córki miejscowego rejen-ta. Bardzo rozsądnie uczynił, albowiem dla dobra swego położenia, powinien się corychlej ożenić a pan-na Levêque nie tylko była bardzo ładna i bogata, lecz oddawna kochała się w pięknym doktorze. Przypusz-czać można było na pewno, że zczasem i on kochać ją będzie. Klotylda wielce ucieszyła się wieścią o małżeństwie Ramonda a zobaczywszy go teraz nie-spodziewanie, zdaleka witała go wesołym i przyjaz-nym uśmiechem. Pascal również przyjaźnie powitał go ukłonem. Przez chwilę Ramond wahał się, co ma uczynić, zrazu wzięła go chęć podejścia ku nim dla zamienienia słów kilku. Powstrzymał się wszakże wiedziony delikatnością; nie chciał swą obecnością przerywać im marzenia, które dozwalało im przeci-skać się przez tłumne i gwarne ulice w zapomnieniu zupełnem, jakby samotność panowała do koła. Ukło-nił się więc tylko z wyrazem twarzy tak łagodnym i przyjaznym, jakby chciał ich przekonać, iż nie-pomny jest na boleść, której doznał skutkiem teraz-niejszego ich szczęścia. Wszyscy troje radzi byli spotkaniu.

W tymże czasie Klotylda rozpoczęła wielkich roz-miarów pastel, przedstawiający króla Dawida wraz z piękną Sulamitką. Puściwszy wodze fantazyi, twor-zyła, dzięki dwoistości swej natury, chimeryczne wy-wołanie przeszłości, na tle codziennego swego życia. Wśród powodzi kwiatów, spływających deszczem gwiaździstym z góry, stał naprzód wysunięty Dawid,

wsparty ręką o ramię młodej Abisais; dziewczę szczupłe i białe, do pasa nagie było zupełnie. Król miał na sobie płaszcz ciężki i wspaniały, naszyty złotem i drogiemi kamieniami, korona zdobiła srebrne jego włosy. Ona wszakże wspaniałością o wiele go przewyższała, strojna wdziękami swych cudnie pięknych kształtów, uwydatniających się białością lilii na ciemnem tle obrazu. Postać Dawida uosabiała potęgę i władzę króla wspartego miłośnie na wybranej wśród wszystkich innych poddanek oblubienicy swojej, która dumną i szczęśliwą czuła się jego wyborem, z zaparciem i najwyższą radością dając mu ciało i krew swoją. Wysmukła naga jej postać tuż przy purpurze wspaniałego królewskiego płaszcza stojąca, tchnęła tryumfem zajmowanego miejsca w sercu Dawida, odkryte jej ciało, oraz ręka spoczywająca na jej ramieniu, ujawniały to ludowi w dzień jasny na nich patrzący. Postać Dawida tchnęła potęgą a postać Abisais pięknnością; promienni jak gwiazdy byli oboje.

Do ostatniej chwili Klotylda nie wykończyła ich twarzy. Stojący za nią Pascal żartował, domyślając się wszakże, jaką myślą jest powodowana. Wreszcie nie mogąc zwłóczyć dłużej, kilkoma pociągnięciami ołówka twarze wykończyła: królem był Pascal a ona młodą Sulamitką. Pomimo niezwykłego podobieństwa, twarze ich i postacie nadziemskim wyrazem aniołów lub rajskie istoty wyobrażać się zdawały; włosy jego srebrzyste i złote jej pukle aureolą otaczały ich głowy, ekstazą wzniesione ponad poziom nasz

zwykły; spojrzenie ich oraz uśmiech, mówiły o nieśmiertelnej a im dostępnej miłości.

— Zbyt nas pięknymi zrobiłaś, Klotyldo, znów marzeniu puściłaś wodze! Tak jak dawniej, pamiętasz? Gdy ilekroć namalowałaś niezgodne z naturą kwiaty, czyniłem ci wymówki, iż przenosisz na papier chimeryczne marzonki niezbadanych tajemnic.

Mówiąc te słowa, Pascal ukazywał ręką cały szereg wiszących na ścianie obrazów, przedstawiających mistyczne kwiaty, w rajskich wyrosłe ogrodach.

Klotylda twierdziła, że nie upiękzyła ich bynajmniej.

— Zbyt nas pięknymi zrobiłam?! Ależ my nigdy nie możemy być zbyt pięknymi! Ręczę ci, że takimi nas czują i widzą a więc i takimi jesteśmy... Patrz tylko, czy nie mam racyi tak mówić...

Pochwyciwszy leżącą w pobliżu starą Biblię z XV wieku, pokazała mu rycinę naiwnie pojętą i wykonaną.

— Czy nie widzisz, że to prawie jednakowe? — zawołała.

Zadziwiające to twierdzenie pobudziło Pascala do śmiechu.

— Śmiejesz się teraz — mówiła dalej, bo patrzysz tylko na szczegóły rysunku. Patrzyć należy na ducha ożywiającego postacie. Przyjrzyj się wszystkim innym rycinom tej treści, muszą koniecznie być do siebie podobne. Muszę jeszcze narysować Abrahama z Agarą, Rut z Boozem i wszystkich, wszystkich proroków, królów, którym wybrane lub ofiarujące się oblubieni-

ce, młodość swą oddały. Oni wszyscy byli piękni i szczęśliwi tą samą pięknoscia, ze szczęścia wyptywającą!

Przestali się śmiać i pochyleni nad starą Biblią, przeglądali zawarte w niej ryciny. Klotylda obracała stronicę cienkimi swemi paluszkami a Pascal stał tuż obok niej. Długa, biała jego broda, spływała na złote jej włosy. Postacią swoją ogarniał ją całą, wdychając ją niejako. Usta swe złożywszy na delikatnem jej ramieniu, w pocałunkach napawał się jej młodością a naiwne rysunki wciąż przesuwać się przed ich oczyma, ukazywały im na pożółkłych kartach staroświeckiej księgi, coraz to nowe pokolenie narodu, niezłomnie wierzącego w wiekuistą młodość i niespożytą męskość swoich patryarchów, oraz nigdy nieprzykróconą wiekiem płodność swych niewiast; wiarą tą naród podsycany, mnożył się nieskończenie, czerpiąc niczem niewzruszoną ufność w swe losy, niepomnym był na zbrodnie cudzołóstwa, kazirodztwa i wszelkie występne związki miłosne. Wzruszenie Pascala zwiększało się z każdą chwilą, ogarniała go głęboka wdzięczność za spełnienie marzenia i słodkie urzeczywistnienie trapiących go wśród bezseonych nocy widziadeł; jego Sulamitka zstąpiła ku niemu i, na schyłku lat będącemu, przyniosła odrodzenie i orzeźwienie, wonią młodości i miłości swojej.

Trzymając ją wciąż przy sobie, szepnął jej, gorącym oblewając technieniem:

— Jakżem spragniony, wiecznie spragniony jestem twej młodości!... Żyję nią, żywiąc się i zawsze jej

pożądając! Ale ty, czyż nie pragniesz i nie pożadasz równej sobie młodzieńczej miłości, żeś zgodziła się być moją a ja taki stary, stary jak świat?...

Zadziwiona jego słowy, zwróciła się twarzą ku niemu.

— Ty stary?... Ty młodszy jesteś odemnie!

Śmiała się tak szczerze i serdecznie, że i on śmiać się z nią począł. Domagał się wszakże odpowiedzi.

— To nie jest odpowiedź... Czyż nie pragniesz i nie pożadasz stosownej dla siebie młodzieńczej miłości?

Ona, szeptem do ucha, wypowiedziała jednym gorącym tchnieniem:

— Jednego tylko pragnę i pożadam: miłości twojej, miłości takiej, jaką mnie miłujesz.

Ukończony pastel zawieszony został na ścianie. Gdy Marcyna spostrzegła go, stanęła i przeżegnała się pobożnie, jak przed Bogiem lub też dla odpędzenia złośliwego szatana. Na kilka dni przed Wielkanocą, Marcyna zaproponowała Klotyldzie udanie się razem do kościoła, lecz gdy ta wręcz odmówiła, stara, wierna sługa odstąpiła na chwilę od przyjętej obecnie zasady milczenia i biernego posłuszeństwa. Żadna bowiem z zaszłych okoliczności nie zdziwiła i nie zgorzszyła jej tak dalece, jak gwałtowne wyparcie się religii przez tę, którą za pobożną uważała dotychczas. Z dawną zażyłością i powagą, łając swoją panią, zaczęła prawie jak za czasów, gdy dzieckiem wypraszała się od zbyt długiego pacierza. Czyż nie kochała już i nie bała się Stwórcy? Czyż nie lękała się piekła i wiekuistego jego ognia po śmierci?

Klotylda, nie zdoławszy powstrzymać uśmiechu, odrzekła spokojnie:

— Wiesz dobrze, iż piekła nigdy nie lękałam się zbyt. Lecz mylisz się, Marcyno, przypuszczając, że wszelkiej religii się wyparłam. Nie uczęszczam do kościoła, bo modłę się gdzieindziej, masz całą prawdę, kiedy chciałaś jej się dowiedzieć...

Marcyna popatrzała na nią z osłupieniem, znaczenia słów wyrzeczonych zgoła nie rozumiejąc. Odczuła tylko, iż wszystko skończone i Klotylda zbawioną być nie może. Nigdy już nie prosiła, by iść razem do kościoła św. Saturnina. Sama tylko modliła się teraz dłużej i goręcej, z bigotki przemieniając się w maniaczkę. Zaniechała robienia pończoch, które w chwilach wypoczynku wiecznie trzymała w ręku, szybko drutami migając; po skończonem sprzątaniu, biegła wprost do kościoła i pogrążała się w długie modły ku Bogu. Pewnego dnia spotkała ją w kościele stara pani Rougon; po godzinnej modlitwie znów się przy drzwiach zeszyły niespodzianie. Marcyna zaniepokoiła się, jak zwykła służąca schwytna na próżniactwie i rodzajem tłumaczenia się, rzekła:

— Ja za pana modliłam się tak długo.

Pascal i Klotylda puszczała się obecnie na dłuższe wycieczki po za miasto. Pewnego dnia, wybrawszy się do Séguiranne, doświadczyli wielkiego i niespodziewanego wzruszenia, przebywając puste obszary gruntu, gdzie niegdyś zieleń i kwieciły się zaczerowane ogrody Paradou. Poetyczna postać Albiny zdawała się tu unosić w powietrzu a kwiaty owijały

piękne jej kształty, jak kiedyś na wiosnę, gdy Pascal ujrzał ją po raz pierwszy. Czyż mógł on wtedy przypuszczać, on, co uważał się oddawna za starego, by młodzieńcza postać Albiny legła wpierv w grobie? By lata jeszcze długie minęły dla niego w zdrowiu i pracy, przynosząc wreszcie z sobą to, co miał dzisiaj—wiosenny rozkwit miłości, cudnem swem technieniem opromieniający słońce jego istnienia? Klotylda odczuła myśli, przesuwające się w umyśle Pascala, zatrzymała go na chwilę i podniosła ku niemu śliczną swą twarz młodocianą z wyrazem uwielbienia i wdzięczności. Wszak ona była teraz Albiną, oblubienicą miłości pełną. Pascal rozumiał i pocałował usta jej z uniesieniem; nie rzekli do siebie ani słowa, szli teraz dalej, lecz drgnienie miłosne falowało w około, roztaczając się po płaszczyźnie pól zasianych owsem i zbożem, niosąc tej ziemi, która niegdyś na swem łonie pieściła kwieciste ogrody Paradou, jakby odgłos dawnych miłosnych uniesień, dreszczem rozkoszy wstrząsających powietrze.

Szli teraz wśród pól nagich, cierpiących z nadmiaru suszy a droga ubita się zdawała z kurzawy, skrzypiącej pod ich stopami. Lubili bardzo tę naturę skwarem południowego nieba spieczoną. Lubili spotykane gaiki z mizernych, nikłych drzew migdałowych złożone, również jak tuż opodal rosnące zagajenia z niższych i przysadzistych krzewów oliwnych. Po za polami falował grunt, układając się w pagórki z zieloności odarte, a na nich bieliły się plamami zagrody, poprzecinane smugami ciemnych i wyniosłych cypry-

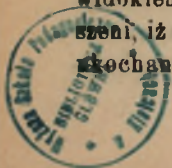
sów. Rزتaczające się dokoła widoki przypominały wyobrażane na staroświeckich obrazach pejzaże o liniach klasycyzmu, kolory wiecie twardym, lecz pełne majestatu. Ziemia promieniowała skwarami, nagromadzonemi długich lat szeregiem a gorące jej tchnienie ogarniało ich, przyspieszając tętnienie krwi; rozżarzona atmosfera dodawała im jeszcze większego piękna i szli tak we dwoje, pełni uroku, mając po nad sobą wiecznie pogodne niebieskie szafiry nieba, z którego spływały ku nim rozpalone, złote promienie. Ona, przysłonięta nieco parasolką, ponętny kwiat południowy zdawała się stanowić, kwiat rozkoszujący się w słońcu i promiennem świetle. On młodniał i krzepkości zdawał się nabierać, jakby siła żywotna, z ziemi się ulatniająca, ciało jego przenikając, dodawała mu męskiego hartu i zapału.

Od dni kilku Pascal pragnął wybrać się do Seguiranne, posłyszał bowiem, że uchroniona przez niego od suchot Zofia wychodzi teraz za mąż za młodego młynarza z okolicy. Chciał się przekonać raz jeszcze osobiście o jej zdrowiu, sprawdzić postyszana nowinę, chciał wreszcie zobaczyć, czy wszyscy są tutaj szczęśliwi.

Po piekącym skwarze, wśród pola, odetchnęli z przyjemnością orzeźwiającym chłodem w cieniu karłowatej dębiny, otaczającej zagrodę, należącą do pani Dieudonné, ciotki Zofii. Dróżka wiła się wśród dębów pomiędzy dwoma strumykami, którym zieloność miejscowa zawdzięczała swe istnienie. Dochodząc do zagrody, napotkali zakochaną parę. Zofia, nie widząc ich, całowała się z młynarzem, stojąc koło stud-

ni. Młodzi byli sami, bo ciotka wyszła od rana prać bieliznę nad brzeg Wiorny. Spostrzegłszy nadchodzących, kochankowie zmieszali się bardzo i zapłonieni z miejsca się ruszyć nie śmieli. Lecz wesoły i uprzejmy śmiech doktora i Klotyldy uspokoił ich nieco, zaczęła się rozmowa a jej wątkiem było, że ślub odbędzie się niedługo, około św. Jana, ale że im bardzo się czas dłuży i chcieliby, aby dzień oczekiwany był chociażby jutro. Doktor patrzył uważnie na Zofię i radował się, widząc że coraz jest silniejszą; tęga i piękna wyrosła z niej dziewczyna, uratowana na pewno od dziedzicznej choroby. Rozrosła się na wsi, jak okalające ich dęby. zdrowa, bo wyrosła, jak one w sprzyjających warunkach, na łonie natury, wśród zieloności, wody i słońca. Nic nas tak nie uzdrawia jak dobroczynne wpływy natury, zastosowane właściwie!

Zofia miała jeden tylko smutek wielki i łzy zperliły jej rzęsy, zaczęła bowiem mówić o biednym swym bracie, Walentym, który był coraz słabszym i lada dzień skona z wycieńczenia. Właśnie wczoraj miała o nim bardzo zatrważające wiadomości. Dobrocią serca powodowany, Pascal pocieszał ją, że Walenty powstać jeszcze może na nogi, chociaż wiedział dobrze, iż skon lada chwila jest możliwy. Opuściwszy zagrodę, Pascal i Klotylda wracali wolnym krokiem ku Plassans, ciesząc się tem co widzieli, pokrzepieni widokiem sielskiej miłości a zarazem smutnie wzruszeni, iż to szczęście zakłócone jest trwogą śmierci kochanego przez Zofię brata.



Przebywając stare przedmieście, jedna z pacjentek doktora zawiadomiła go, że Walenty skonał przed chwilą. Dwie sąsiadki uprowadziły z domu starą matkę, która wyła z bólu nad trupem syna. Pascal wszedł tam na chwilę, zostawiwszy Klotyldę przed drzwiami. Wreszcie skierowali się ku Sulejadzie. Od pewnego czasu doktor wątpić począł w cudowność skutków swego eliksiru, chociaż przyznawał, że śmierć Walentego byłaby o wiele wcześniej nastąpiła, gdyby nie zastrzykiwania, które podtrzymywały chorego. Pascal obliczał, że co najmniej rok życia Walenty eliksirowi zawdzięczał. Było to zapewne coś, jako rezultat dodatni, lecz śmierć zwalczyć—stawało się coraz jawniejszem nieprawdopodobieństwem. Przedłużenie życia Walentego za pomocą eliksiru powinno było pocieszyć Pascala po niepowodzeniu, jakiego doznał z karczarzem Lafouassem, którego gwałtowną śmierć dotychczas sobie wyrzucał, bo Lafouasse zdaniem jego powinien był żyć co najmniej jeszcze kilka miesięcy. Chmurne bólem czoła Pascala nie rozjaśniło się, nawet gdy już w ukochanej Sulejadzie stanęli. Tu czekało doktora nowe wzruszenie. Pod jaworami poznał siedzącego Sarteur, kapelusznika, którego oddawna leczył zastrzykiwaniami w domu obłąkanych Tulettes. Skutek wywarty przez eliksir na Sarteurą okazywał się zbawiennym. Zastrzykiwania substancji nerwowej wyleczyły go zupełnie, wzmocniwszy w nim wolę, oraz cały organizm. Dziś rano właśnie wypuszczono go z Tulettes, jako uleczonego. Sarteur potokami słów wdzięcz-

ności dziękował doktorowi za swe uleczenie, przysięgając, że już obecnie nie miewa owych napadów szaleństwa, gnającego go ku zbrodni, ku zamordowaniu pierwszej lepszej spotkanej na swej drodze osoby. Pascal śledził jego słowa i ruchy i z pewnem zadowoleniem zauważył, że ten mały, ruchliwy człowieczek o włosach czarnych i wykrzywionej połowie twarzy, mówi rozsądnie, porusza się prawidłowo, jak przystało na kogoś zupełnie normalnego. Objawy wdzięczności Sarteura, całującego ręce swego zbawcy, wzruszyły Pascala do głębi serca. Obdarzył go datkiem i radą, by się natychmiast zabrał do pracy, która najlepszem będzie dopełnieniem kuracyi.

Po odejściu Sarteura, Pascal uspokoił się zupełnie i, wesoło rozmawiając, zasiadł z Klotyldą do obiadu. Gawędkę wiódł o rzeczach niemających nic wspólnego z Sarteurem.

Klotylda patrzyła na niego z zadziwieniem, w połączeniu z pewnego rodzaju wymówką. Wreszcie nie mogąc się powstrzymać dłużej, zawołała:

— Mistrzu, rzeczy można, że ty nie radujesz się tem, coś uczynił? Czyż nie masz, nie widzisz powodu być zupełnie z siebie zadowolonym?

Pascal obrócił w żart słowa Klotyldy.

— Ja z siebie nigdy nie jestem zadowolony!... A z medycyny, z jej działania, to wiesz, że też niecodzień się raduję...

Dnia tego po raz pierwszy wynikło małe nieporozumienie pomiędzy Pascalem i Klotyldą. Poszedłszy na spoczynek, zgasili wczesnie świecę i leżeli w ciem-

ności, tuląc się do siebie wzajemnie. Postać jej szczupłą i wiotką, ogarnął on swem ramieniem a ona głowę swą złożyła na jego sercu. Głosem pełnym słodkiej wymówki gniewała się na niego, że tak mało doznał radosnego tryumfu z uzdrowienia Sartheura, wszak nawet z przedłużenia życia Walentemu powinien być zadowolony.

Role się zmieniły, nie on, lecz ona teraz pałała żądzą sławy dla niego. Przypominała mu i wyliczała ludzi, którym zdrowie przywrócił. Wszakże i sam siebie wyleczył. Mógłże więc nie wierzyć w doskonałość swej metody? Uniesiona zapałem, uprzytomniała dawne jego marzenia; zwalczwszy niemoce ludzkie, usunąwszy niedotężstwo fizyczne, przyczyni się do odrodzenia siły nadwątlonej. Skrzepiona i uleczona fizycznie, ludzkość stanie się doskonalszą. Bieg jej postępu przyspieszony zostanie, dążąc ku szczęściu ogólnemu. On, mistrz jej ukochany, moc taką obecnie posiada w swem ręku, twórcą jest cudownego leku, pozwalającego marzenia tego rodzaju, jeżeli nie urzeczywistniać w zupełności, to przynajmniej otworzyć im ku temu niezaprzeczone nadzieje!

Pascal milczał, trzymając usta na obnażonem ramieniu Klotyldy. Wreszcie odparł prawie szeptem:

— To prawda, że uzdrowiłem siebie, również jak i wielu innych. Wierzę, iż zastrzykiwania, które czyniłem, niosą niezawodną ulgę w wielu razach... Nie przeczę, że medycyna na tej drodze ważne poczyni odkrycia i wypadek, jaki mi się wydarzył z biednym Lafouassem, nie zniechęca mię stanowczo i nie za-

ślepia aż do niesprawiedliwości. Praca pochłoneła całe moje życie i zużyte nią siły wrócił mi eliksir, lecz od tego do wzmocnienia, uleczenia całej rasy ludzkiej jest jeszcze daleko! Wszystko to marzenia i tylko piękne marzenia!..

Objąwszy go teraz obiema rękoma, tuliła mocno do siebie, zlewając z nim całem swem ciałem.

— Nie! nie! To nie są płonne marzenia! To piękna rzeczywistość, którą ludzkość twojemu geniuszowi, mistrzu, zawdzięczać będzie w zupełności!..

Pozostali tak zespoleni w uścisku a Pascal, głosem jeszcze zniżonym, lekkim, jak tchnienie, uczynił jej wyznanie:

— Słuchaj, powiem ci coś, czego bym nie wyznał przed nikim na świecie, sobie samemu nie chciałybym tego wyjawiać głośno... Pytam się nieraz w myślach moich, czy dobrą jest rzeczą powstrzymywać, hamować lub kierować przyrodzony bieg natury? Uzdrawiać nadwątlone organizmy, oddalać kres śmierci, dla przyjemności danej istoty, nie jest-że to szkodzić naturalnemu rozwojowi rodzaju ludzkiego? Nie jest-że to wkraczać i psuć harmonijne dzieło natury? Marzyć o pokrzepieniu nadwątlonych sił ludzkich, dodając im siły i zdrowia, podług pojęcia, jakie sobie o tem dowolnie wyworzyliśmy, czy mamy prawo? Bo z kąd pewność w naszą nieomylną pojęć? Dlaczego mamy rościć sobie prawo krzyżowania dotychczasowej działalności przyrody, skoro, czem jest właściwie życie, jaki jest jego cel właściwy, ani wiemy, ani długo

a może nawet nigdy wiedzieć nie będziemy. A może tak, jak jest, być powinno? Może tak jest najlepiej? Kto i co nam zaręczy, że wtargnięcie nasze i gwałcenie przyrody nie wpłynie na złe? Na zagładę miłości, genialności ludzkiej, życia samego? Słyszysz mnie? Spowiadam się przed tobą. Trwoga mnie wraz z niepewnością ogarnęła wielka. Ze zgrozą czasami spoglądam na tę moją alchemię, mającą oddziaływać na nadchodzące XX stulecie!.. W dociekaniach myśli mojej, dochodzę najczęściej do wniosku, iż nie należy się nam mieszać do rzeczy, których skarbów i przyczyny nie znamy dokładnie. Rozumniej jest pozostawić swobodę działania przyrodzie, przygotowującej powoli, lecz stanowczo, zakreślone sobie ewolucye.

Umilkł na chwilę, by po namyśle dodać ledwie dosłyszczanym przez nią szeptem:

-- Czy wiesz, że eliksir zastąpiłem teraz przy zakrzykiwaniach czystą, destylowaną wodą? Pytałaś się kilkakrotnie, czemu teraz nigdy nie słyszysz, bym zajmował się mojami mózdzierzami? Odpowiedziałem ci, że mam przygotowany duży zapas substancji nerwowej!.. Lecz oto teraz widzisz, że czysta woda te same usługi i ulgi chorym przynosi, wprost mechanicznie oddziaływając. Przynosić ulgę cierpiącym, oh tak! tego zawsze pragnę i pragnąć będę. Może to jest także słabość z mojej strony, lecz przewyciężyć się nie mogę. Gdy widzę cierpiących, którym ulgę przynieść mogę, nie waham się chwili jednej, bo cierpienie bezcelowe uważam za potworne, niesprawiedliwe okrucieństwo natury!.. Jestem więc doktorem, niosącym ulgę a nie uleczenie.

— Mistrzu, więc teraz, kiedy o uleczeniu myśleć przestałeś, to i dociekania prawdy zaniechać należy, bo pocóż odkrywać srogie rany przez los zadawane, kiedy nadzieja ratunku istnieć przestaje?

— Mylisz się; przeciwnie, wiedzieć trzeba, starać się wiedzieć wszystko zawsze należy! Nieświadomość zawsze jest szkodliwą, prawda zaś, chociażby najokrutniejsza, przynosi z sobą spokój. Im więcej z czasem zbadamy tajników natury, życie stanie się szczęśliwszem, bo tem łatwiej zgodzimy się nawet cierpieć, znając przyczynę. Czyż nie rozumiesz, że chęć uleczenia, poprawiania natury, której nie znamy, jest tylko bezrozumnym przeciwko niej buntem? Zbyt przejęci i uniesieni fałszywą ambicyą, ku czemu dowiódł nas egoizm, oświadczamy, że życie jest złe. Twierdzimy to nawet stanowczo, albowiem sądzymy je z naszego ciasnego, osobistego punktu widzenia. Co do mnie, zauważyłem, iż horyzont mych myśli rozszerzył się i udoskonalił z chwilą, gdy nabrałem poszanowania dla ewolucyi naturalnej. Doprowadziła mnie do tego moja namiętna miłość ku objawom życiowym; potężną siłę życiodawczą ukochałem tak dalece, iż nie chcę tamować jej naturalnego dążenia do tajemniczych dziś dla nas celów, do których nas wiedzie. Powierzam się jej i oddaję w zupełności, nie chcąc jej przekształcać podług osobistego mego poglądu na złe i dobre. Nie znając jej tajników, starajmy się je zbadać, nie zabiegając przedwcześnie ku ostatecznym ich zakresom. Ona jedna jest panią wszechwładną i wszechwiedzącą, wie ona, co czyni

i gdzie nas prowadzi, nam wystarczać powinna wola usilna zbadania jej, by żyć wedle przeznaczenia, które nam wznacza... Czyż wiesz, że te pojęcia ukształtowały się w moim umyśle dopiero z chwilą, gdy stałaś się moja?... Poprzednio szukałem prawdy, dopatrywałem się jej w namiętnej żądzy uzdrowienia, odrodzenia ludzkości. Miłość nasza i rozkosz z niej spływająca, nowe narzuciła mi poglądy. Wraz z tobą życie moje nabrało innego znaczenia, zapełniło się tak wielką szczęśliwością, iż osądziłem tę rozkosz, jako dostateczną nagrodę, za wszystkie inne cierpienia. Miłość potęgą swego uczucia świat zbawia i odradza, wiodąc go do nieznanych przeznaczeń. Miłość jest życiem nieomylnem w swych celach, życiem wszechpotężnem, życiem nieśmiertelnem!

Słowa płynęły z ust jego gorąco, jak strzeliste akta wiary, prochem się sam taczał przed wszechpotęgą siły nieznannej a przyrodą rządzącej. Ona, uniesiona jego zapałem, oddawała się jej z równym, jak on poddaniem.

— Mistrzu! Ja nie mam woli po za twoją wolą. Bierz mnie! Niech z tobą zjednoczona w tobie się rozplynę, by odrodzić się, na nowo z ciebie powstawszy!

Miłosne zjednoczyło ich technienie. Długo jeszcze potem szeptali o przyszłym swem idyllicznem życiu, pełnem spokoju i pracy wśród sielskiego otoczenia. On z głębokim przekonaniem twierdził o szczęściu i zdrowiu, jakie spływa na ludzi przy roli, wśród wsi osiadłych. Przeklinał skutki życia miejskiego. Zdro-

wie i szczęście kwitnąć mogło, jego zdaniem, tylko pod otwartem niebem, wśród pól obszernych promieniami słonecznymi ogrzanych, prócz tego wszakże należało jeszcze, by szczęście osiąść zupełne, wyrzec się uganiania za złotem, za chwałą, unikając nawet zbytęznego naprężania władz umysłowych, do czego bodźcem jest najczęściej wygórowana, egoistyczna ambicya. Szczęście streszczało się w tem, by żyć i kochać, obsiewać swój zagon i mieć zdrowe dzieci.

— Ah!—westchnął słodko— dziecko, dziecko nasze, kiedyż je mieć będziemy...

Chciał dalej mówić, lecz przerwał nagle, tak dalece myśl o możliwości stania się ojcem, wzruszała go obezwładniająco, dech w piersi tamując. Unikał wspomniania o tem a gdy w czasie przechadzki spotykał dziecko uśmiechające się do niego, odwracał głowę, gdyż do oczu łzy mu się cisnęły.

Na westchnienie i urwane jego słowa, ona odpowiedziała z prostotą i spokojną pewnością:

— Dziecko nasze? Ależ zobaczysz, że wkrótce je mieć będziemy!

Dla niej—dziecko było wynikiem naturalnym i nieodzownym aktu miłości. Myśl ta nie opuszczała jej na chwilę, stanowiąc dopełnienie namiętnych ich uniesień, które bez tego celu traciłyby w zupełności swe znaczenie.

Pojęcia te Klotylda posiadała już dawno ustalone. Były one przyczyną, iż nigdy nie była zwolenniczką czytania powieści. Odrodziła się pod tym względem od swej matki, większą część życia poświęcającej czy-

taniu romantycznych historyj; Klotylda, będąc obdarzoną żywą i bujną wyobraźnią, nie czuła potrzeby szukania widziadeł po za snującemi się w niej obrazami; wymyślone intrygi powieściowe nudziły ją i skłaniały do odrzucenia ledwo rozpoczętej książki. Dziwiła się i oburzała zarazem, iż poruszane w powieściach stosunki miłosne, nigdy nie miały właściwego celu, nie dążyły bowiem ku skryształizowaniu swych przejawień w postaci dziecka. Nigdy mowy o niem nie było nawet a jeżeli wypadek zrządził, iż dziecko los zsyłał, stawało się ono nieszczęściem, katastrofą i rozpaczą ludzi, którzy jego przybycia powinni byli oczekiwać z upragnieniem. Nigdy nie zdarzyło się jej czytać o kochankach, padających sobie w objęcia z przekonaniem, iż złączenie się ich ma na celu wytworzenie nowego życia, z ich miłości powstać mającego dziecka. Wykształcenie Klotyldy, opierające się prawie wyłącznie na naukach przyrodzonych, wskazywało jej wyraźnie, że owoc był jedynym celem najtroskliwszych starań i zabiegów natury. Historia naturalna na każdym kroku objaśnia szczegółowo, jak dalece natura dbałą jest i wielkie podejmuje ostrożności, by nasienie nie uległo zmarzeniu i by matka płód począć mogła. Człowiek zaś na odwrót, im wyżej stawał pod względem cywilizacyjnym, tem usilniej pragnął przeistoczyć prawa przyrodzone i praktykował miłość, usuwając nawet myśl o możliwości jej owocu. W powieściach, za najlepsze, najwyszukiwsze w swem założeniu uważanych, bohaterowie przemieniali się z ludzi w narzędzia, uczucia miłosne pro-

dukujące, bez owej iskry życia, znamionującej zetknięcie się dwóch istot płci odrębnej. Kochankowie książkowi kochali się, uwielbiali, padali sobie w objęcia, miłość ich przemieniała się w nienawiść, przebywali tęsknoty i bóle najgwałtowniejsze, całowali się a czasami zabijali, wywołując całe szeregi nieszczęść, spadających na ludzkość burzami plag społecznych i to wszystko tylko dla chwilowego egoistycznego zadowolenienia! Obyczaje takie, usuwające z tak zaciekłą skrzętnością myśl przewodnią, iż celem miłości jest dziecko, wydawały się Klotyldzie gwałceniem prawa naturalnego. Kałem więc tylko były, oraz głupotą.

Ożywiona wypowiedaniem swych spostrzeżeń, przysunęła się i szepnęła Pascalowi do ucha z naiwnem, lecz pełnem namiętności przekonaniem o słuszności własnych poglądów:

— Zobaczysz, że niedługo dziecko mieć będziemy... Przecież robimy, co tylko można w tym celu, więc jakże chcesz, by się nie stało wedle naszego życzenia?

Nie zaraz odpowiedział na postawiane pytanie, i odczuła, jak wielka żalność i zwątpienie ogarnęły go stopniowo. Wreszcie pełnym smutku głosem rzekł z cicha:

— Nie, nie. Już zapóźno... Pomyśl tylko, jakim ja stary!

— Ależ ty młody jesteś!—Zawołała z wybuchem namiętnego uniesienia, i pocałunkami bez końca obsypując go z czułością, tuliła się do niego, ogrzewając zdrętwiałe smutkiem jego ciało.

Rozweseliła go swoją wiarą w młodość jego sił żywotnych, i oboje śmiać się poczęli. Złączeni pieścizną, zasnęli. On leżał na wznak, lewą ręką garnął ją do siebie, ona ujęła go całego w swoje ramiona, tuląc się do niego całą swą wiotką i wysmukłą postacią, głowę złożyła na jego piersiach a rozrzucone złote pukle jej włosów mieszały się z długą srebrzystą jego brodą. Sulamitka drzemała, usta swe złożywszy na sercu swego króla. Pośród ciemności wielkiego cichego pokoju, którego mury chronić się z lubością zdawały miłosne ich wyznania, słyhać teraz było łagodny oddech ich piersi.

Doktór Pascal począł teraz regularnie odwiedzać dawnych swoich pacyentów, tak w Plassans, jak też w okolicy podmiejskiej. Klotyldę rad zabierał z sobą, wchodząc wraz z nią tam, gdzie nędza była największa.

Mogła się teraz Klotylda przekonać, iż rzeczywiście tak było, jak wyznał jej szeptem w nocnej ciszy między ścianami ukochanego ich pokoju, odwiedzał chorych, by ich pocieszyć, by im ulżyć, lecz bez wiary w uleczenie. Za dawnych lat jeszcze Pascal niechętnie nieraz stawiał się wezwany przez chorego, odczuwał bowiem całą niemoc środków leczniczych. Empiryzm, któremu każdy lekarz hołdować jest zmuszony, oburzał go i wstrętem przejmował. Od chwili, gdy doszedł do przekonania, iż medycyna nie jest jeszcze wiedzą a tylko sztuką, pozbawiać się począł pewności siebie, wahając się nad nieskończoną ilością udcieni chorób, zależnych od natury chorego i le-

karstw. Wraz z nowemi hipotezami powstawały nowe lekarstwa; iluż to ludzi musiały uśmiercić zarzucone dziś już metody! Nie mogąc się oprzeć na wiedzy, lekarz staje się mniej lub więcej szczęśliwym znachorem, odgadującym sprytem, oraz instynktem, jakie lekarstwo należy zastosować w danym wypadku. Po kilkunastu latach praktyki, Pascal prawie wyłącznie oddał się studjom teoretycznym. Prace jego nad zbadaniem prawa dziedziczności, doprowadziły go chwilowo do wzięcia się napowrót do leczenia, uwierzył bowiem, iż zastrzykiwanie substancji nerwowej, wiele dobrego zdziałać może. Lecz nadeszła chwila, w której widnokrąg jego myśli jeszcze bardziej się rozszerzył. Miał teraz pewność, iż siła żywotna nie powinna być mąconą w swym potężnym biegu, ona jest wymierzycielką sił i zdrowia naszego. Pomocy nie odmawiał wszakże nigdy i biegł do wzywających go chorych, zmniejszając ich cierpienia, jakby cudem, bo zastrzykiwaniem czystej, dystylowanej wody...

Klotylda żartowała czasami z jego władzy uzdrawiania. Z dawnego mistycyzmu wyrodziła się u niej silna wiara w istnienie tajemnic niezbadanych; z uśmiechem też mówiła mu, że kiedy jest zdolnym czynić cuda, to znaczy, iż jest istotą, odpowiednią posiadającą władzę...

Pascal, żartem za żart płacąc, utrzymywał, iż tylko wtedy posiada władzę uzdrawiania, gdy ona jest obecną, gdy jej niema, leki nie działają, zapewne dlatego, że przynosi ona z sobą natchnienie i łaskę niebieską nieodzownie dla czynienia cudów potrzeb-

na. Przytaczał jej jako dowód, że bogaci mieszczą się, do których nie zachodziła, żadnej nie doznawali ulgi. Sprzeczki i żarty tego rodzaju bawiły ich codziennie, przy każdej zdarzającej się ku temu okazji; przy łóżku chorego spojrzenia ich porozumiewały się z sobą. Cierpienie, bezlitosne i bezcelowe cierpienie, oburzało ich bezmiernie. Jakże chętnie śpieszyli walczyć z niem i jakże wielkie szczęście napawało ich serca, gdy za zwalczone mogli je uważać! Błogość niezrównana ogarniała ich na widok ulgi, uciszonych jęków, rozpogodzonych twarzy, przywróconego życia w drętwiejących przed chwilą obliczach. Nabierali przekonania, że wielka ich miłość, którą tętnęli oboje ku sobie wzajemnie, działanie swe na zewnątrz wykazuje, przynosząc uspokojenie cierpiącym.

— Śmierć uwzględniam, jest ona poniekąd konieczną—mówił często Pascal—lecz cierpienie?—ból?—pocóż nas trapi? Wstrętne to i głupie!

Pewnego razu wybrali się odwiedzić chorego starego pacyenta, mieszkającego w Sainte-Marthe. Nie chcąc trudzić Bonhomme'a, bo stare konisko coraz bardziej niedołążniało, postanowili pojechać tam koleją. Oczekując na pociąg, zdarzyło się im niespodziewane spotkanie. Pociąg, który miał ich odwieźć do Sainte-Marthe, przybyć miał ze strony Tuilettes, zatrzymywał się on w Plassans, by jechać następnie dalej ku Marsylii. Wioska Sainte-Marthe, stanowiła pierwszą stację w tym kierunku. Za nadejściem pociągu, ruszyli ku drzwiom wagonów, otwierając je pośpiesznie dla zna-

leżenia miejsca. Z otwartych drzwi wagonu, który się im wydawał pustym, wyskoczyła lekko, mimo swego wieku, stara pani Rougon. Udawała obecnie, że ich nie zna, przeszła więc obojętnie i sztywno, z miną obrażoną.

— Dziś mamy 1 golipca—rzekła Klotylda, gdy pociąg ruszył.—Babcia wracała z Tulettes z comiesięcznej wizyty, którą składa ciotce Didzie... Czy widziałeś, jak na mnie spojrzała?

Pascal wielce był rad, że matka się na nich gniewa. Uwalniało go to bowiem od uciążliwych jej odwiedzin i bezustannego nadzoru, jakim pragnęła życie jego otoczyć.

— Oh! Odpowiedział z prostotą, jak nie można z sobą żyć w zgodzie, to lepiej się niewidywać.

Klotylda, smutna i zamysłona siedząc, rzekła wreszcie półgłosem:

— Znajduję, że się bardzo zmieniła, postarzała i zbladła... Czy zauważyłeś?... Zazwyczaj tak starannie ubrana, miała dziś jedną tylko rękawiczkę i to zielonego koloru... Nie wiem dlaczego, ale jej widok smutnie na mnie oddział.

Słowa i uwagi Klotyldy wywołały pewne wzruszenie w umyśle Pascala. Uspokajał się wszakże własnymi słowami. Przecież musi nadejść czas, że wreszcie matka jego ulegnie tym samym właściwościom co inni ludzie w jej wieku. Nic więc dziwnego, że gorzej wygląda. Za mało zażywa odpoczynku, ciągle jest w ruchu lub irytacyi. Teraz zajmuje się ona, jak słyszał, uregulowaniem swoich spraw majątkowych.

Ma zamiar cały swój majątek zapisać miastu Plassans na wzniesienie domu przytułku, lecz pod tym warunkiem, by zakład nosił nazwę „Instytucyi rodziny Rougon“. Uśmiechnęli się oboje nad tą wiecznie widniejącą próżnością, gdy doktor pod wrażeniem nowej myśli zawołał:

— Ależ i my jutro jedziemy do Tulettes w odwiedziny do naszych chorych. A prócz tego, pamiętasz, że obiecałem wujowi Macquart przywieźć Karolka.

Pani Felicja rzeczywiście wracała tego dnia z Tulettes, gdzie co pierwszego każdego miesiąca, jeździła odwiedzać obłąkaną matkę rodu. Od lat dawnych przybrała ten zwyczaj, nie mogąc wyjść z podziwienia nad niezmiennością stanu zdrowia ciotki Didy, która jakby z wyraźnego uporów, żyła dłużej, aniżeli drudzy. Kiedyż wreszcie nadejdzie dzień szczęśliwy, gdy ten niepotrzebny ślad przeszłości zstąpi wreszcie do grobów! Jak widmo pokutne trwa wciąż i usunąć się nie myśli! Tylu innych już przeżyła ta pozbawiona władz umysłowych kobieta, tylko iskierka życia tleć się jeszcze zdaje, ukryta w głębi zapadłych oczów a żyje bez końca, jakby przez śmierć zapomniana. Oto i dziś znalazła ją wyprostowaną w swym wielkim fotelu, jakby nieporuszoną i niewzruszoną w nim była od długiego szeregu lat. Dozorczyni miała rację, mówiąc, że kiedy nie umarła dotąd, to niema racyi, by kiedykolwiek umrzeć miała. Wszak ukończyła już sto pięć lat, dlaczegóż miałoby się to przerwać?...

Wychodząc z domu zdrowia, pani Felicja oburzoną się czuła poczynionemi nad ciotką Didą własnymi uwagami. Pomyślała teraz o wuju Macquarcie. Jeszczeto jeden, który upierał się, żeby żyć nieskończone lata, ku wielkiemu jej utrapieniu! Miał on teraz lat osiemdziesiąt cztery a zatem tylko o cztery lata był od niej starszy, mimo tę niewielką różnicę wieku, pani Felicja znajdowała, iż żyje on śmiesznie długo, dłużej, aniżeli dozwolonem być mu powinno! A niema przecież nadużyć, którychby nie pokosztował, od lat sześćdziesięciu zaśpija się do nieprzytomności! Podczas, gdy wstrzemięźliwi i umiarkowani mrą w około niego przedwcześnie, on, tryskający zdrowiem, wesoły, żyje i żyje, krzepko się trzymając. Przed laty, w pierwszych czasach jego przybycia i osiedlenia się w Tulettes, nadsyłała mu ona stale to beczkę wina, to likieru lub wódki, podsycając w ten sposób nałóg jego, o którym wiedziała. Miała bowiem myśl ukrytą, iż tym sposobem usunie go prędzej z tego świata i uwolni rodzinę od członka, nie, prócz wstydu i hańby, przynieść niemogącego. Spostrzegła wszakże, iż te masy alkoholu dostarczanego mu prawie że nieograniczenie, wprost przeciwny przynoszą skutek, podtrzymując go w kwitnym stanie zdrowia, nadając mu minę rozjaśnioną, zapalając ogniem jego oko. Przykróciła też podarki, wskutek tego, iż trucizna nie ujmowała, lecz dodawała mu życia... Żal za bezskuteczność obmyślanego środka zagłady, zachowała do niego bezmierny, zabiłaby Macquarta z ochotą, gdyby pewną była bez-

karności. Chętka ta porywała ją gwałtownie, ilekroć razy spotkała go rażno trzymającego się na pijanych nogach i śmiejącego się do niej z bezczelną złośliwością, wiedział on bowiem dobrze, jak dalece byłaby rada jego śmierci. Spoglądał na nią z tryumfem radosnym, jakby chciał ją upewnić, że nie tak prędko jeszcze będzie miała przyjemność być na pogrzebie, tego zawadzającego jej świadka przejść dramatycznych, pełnych krwi i kału, wówczas gdy potęga rodziny rosła w Plassans, zaznaczona dwukrotnem przez nią odniesieniem zwycięstwem nad całym miastem.

— Widzisz, moja droga Felicjo, mówił do niej często z okrutnem naigrawaniem—staram się żyć w zdrowiu, by starej matki pilnować; gdy wreszcie nastąpi dzień, iż zamrę z nią pospołu, to wierz, iż tak uczynimy, jedynie przez przyjaźń dla ciebie, by ci oszczędzić trudu... o tak bądź tego pewną, by ci oszczędzić trudu odwiedzania nas co miesiąc, jak to czynić zwykłaś, powodowana wielką dobrocią twego serca...

Nie chcąc się narażać na tego rodzaju uwagi, zwłaszcza zaś nie chcąc się irytować zdrowym wyglądem starego Macquarta, pani Felicja rzadko zachodziła do niego w odwiedziny, w czasie przybycia swego do ciotki Didy.

Wiadomości o nim zasięgała w domu zdrowia. Tym razem powiedziano jej, że pijanym jest już od paru tygodni, doprowadziwszy się do zupełnej nieprzytomności, niedozwalającej mu ruszyć się z domu na krok. Zaciekawiona, postanowiła przekonać się naocznie, w ja-

kim też on znajduje się położeniu. Wracając na stację kolei zboczyła do dworku wuja.

Pogoda dnia tego była prześliczna, ciepły i promienny dzień letni jaśniał w całym blasku. Po obu stronach ścieżki, którą przebywała, ciągnęły się żyzne pola, które od niej otrzymał w nagrodę swego milczenia i spokojnego życia. Dworek pokryty różową dachówką, o ścianach pomalowanych na jaskrawo żółty kolor, stał cały w słońcu i uśmiechać się zdawał wesoło.

Pani Felicja przystanęła w chłodzie starych drzew morwowych, ocieniających taras przed dworkiem z rozkoszą odetchnęła w chłodzie, spoglądając na piękny widok, roztaczający się na okolicę. Cóż to za miły byłby zakątek dla spoczynku lat starszych człowieka, strudzonego długim życiem pracy i szukającego ciszy po znojnym dniu spełnianego obowiązku!

Dworek zdawał się być pustym, Macquarta nie było ani widać, ani słychać. Cisza panowała głęboka. Przerywało ją jedynie brzęczenie pszczół, snujących się w około wielkich krzewów kwitnącego szlazu. Na tarasie leżał mały, żółty piesek, wyciągnięty na ziemi wśród cieniu. Znał on dobrze przybywającą, podniósł więc tylko głowę i zawarczał, nie szcękając, by następnie wrócić do pierwszej swej pozycji i nie ruszyć się z miejsca.

Pani Felicja, rozejrzawszy się dostatecznie, poczuła jakiś dziwny dreszcz, wśród otaczającej ją pustki, i zawołała:

— Macquarcie! Macquarcie!...

Drzwi dworku były na rozcież otwarte. Nie śmiała wszakże wejść, pustka z nich wiejąca niepokoiła ją trwożliwie. Poczęła znów wołać:

— Macquarcie, Macquarcie!...

Nie drgnęło, nie odezwało się nic. Głuche i ciężkie zapadło milczenie, pszczoły tylko coraz głośniejsz brzęczały, uwijając się pośród szlazów.

Zawstydzila się swej tchórzliwości i weszła odważnie do wnętrza domu. Na lewo od sieni była kuchnia, gdzie najczęściej Macquart przesiadywał. Drzwi od niej były teraz zamknięte. Pchnęła je, lecz zrazu nic nie dostrzegła w ciemności, chcąc się bowiem od skwaru słonecznego zabezpieczyć, Macquart zamknął szczelnie okiennice. Silna woń alkoholu chwyciła ją tylko za gardło, woń ta wreszcie ulatniała się z każdego sprzętu i z każdej ściany dworku, dziś wszakże była silniejszą, wprost odurzającą. Po chwili, gdy oczy jej zaczęły się przyzwyczajać do otaczającej ją ciemności, dostrzegła postać wuja. Siedział przed stołem, na którym stała szklanka i próżna butelka od wódki. Opuuszczony całym ciałem w zagłębienie krzesła, spał głęboko, snem nadmiernie pijanego człowieka. Widok ten napełnił ją wzdargą i gniewem.

— Obudź się, Macquarcie — zawołała z wybuchem — nierozsądnie i wstrętnie postępujesz, doprowadzając się do podobnego stanu!... Obudź się, bezwstydniku!

Lecz sen jego był tak głęboki, iż nawet oddech zda-

wał się być odrętwiałym. Napróżno wysilała głos i stukała rękoma, by go przebudzić.

— Macquarciel Macquarciel Macquarciel

Ohol Ani słyszył! Obrzydliwie wstrętny jesteś, mój kochany!

Odwróciła się od niego i, nie mogąc pohamować ogarniającej ją złości, zaczęła chodzić, przewracając i potracając kuchenne stołki i sprzęty. Zaraz po wyjściu z domu zdrowia, idąc wśród gorąca i pyłu, czuła wielkie pragnienie. Zdjęła teraz rękawiczki, które grzały jej ręce i położyła je na rogu stołu. Odnalazła dzban z wodą, wymyła szklankę i napełniwszy ją po brzegi, niosła do ust, gdy w tem, tak niespodziewany widok przedstawił się jej oczom i tak dalece nią wstrząsnął, iż postawiła obok rękawiczek wodę, nie tknąwszy się jej nawet.

Coraz wyraźniej rozpoznawała przedmioty w izbie oświeconej promykami słońca, wślizgującemi się przez szpary starych okiennic. Jasno widziała teraz Macquarta, ubranego w niebieskie sukienne odzienie, z ową czapką futrzaną na głowie, której nie zdejmował nigdy, ani latem, ani zimą. Tęgi był bardzo; od lat pięciu czy sześciu, nabierał tuszy bezustannie i podobny był do kłody, przez której czeluście wydostawało się sadło kawałami. Zauważyła, iż musiał zasnąć, paląc, bo krótka i czarna ulubiona jego fajka, spadła mu na kolana. Wtem osłupiała z zadziwienia; tlejący w fajce tytoń, rozsypał się na ubranie i spodnie zaczęły się tlić, a przez wypaloną w suknie dziurę widniało ciało uda, ciało czerwone, po nad którym unosił się niebieski płomyk.

W pierwszej chwili Felicja myślała, iż to nie ciało, lecz bielizna widoczną była. Po chwili wszakże, przekonanie jej zmieniło się, było to bowiem istotnie ciało Macquarta, po nad którym unosił się maleńki niebieski płomycek, migocąc niepewno, chwiejnie, jak płomyk zapalonego w naczyniu spirytusu. Niebieskie światełko nabierało mocy i paliło się spokojnie, chociaż urywanie, jak knotek lampki nocnej. Najlżejszy ruch powietrza kołysał nim i nowy nadawał kierunek. Płomyk, wzrastając w swej sile, zajmował coraz większą przestrzeń, rozszerzał się teraz gwałtownie, skóra na ciele poczęła pod jego działaniem pękać i roztopiony tłuszcz przepuszczać.

Mimowolny krzyk wydarł się z gardła Felicji:

— Maquarcie!... Macquarcie!...

On ani drgnął. Widocznie zasnął w stanie nadmiernego pijaństwa i popadł w odrętwienie równające się sparaliżowaniu. Atak, któremu uległ w chwili obecnej, odejmował mu czucie w zupełności; żył bowiem, co było widoczne skutkiem regularnego ruchu jego piersi, unoszącej się za każdym westchnieniem.

— Maquarcie!... Macquarcie!...

Roztopiony tłuszcz, przedostający się coraz obficiej przez popękana skórę, dostarczał materiału palnego, płomyk też wzrastał z każdą chwilą, ubranie tliło się coraz dalej, zajmując iskierkami sukno na brzuchu. Felicja zrozumiała, iż stary Macquart pali się, tak jak paliłaby się gąbka nasycona alkoholem. Od jak dawnych już lat nasycał się on alkoholami najmocniejszymi!

Płomień ogarnie go zapewne całego, i od stóp do głowy gorzeć będzie ze wszystkich stron.

Przestała go już budzić nawoływaniem, po cóż go budzić, kiedy śpi tak twardo... Myśla jeszcze odwagę stać dobrą minutę i patrzeć początkowo z przerażeniem, następnie zaś ze stanowczością powziętego zamiaru. Ręce jej trzęsły się i drżała, nie mogąc nad sobą zapanować w zupełności. Sucho jej było w gardle, dwoma rękoma chwyciła stojącą szklankę z wodą i jednym tchem wypiła aż do dna. Na palcach, ostrożnie, zwróciła się ku wyjściu, wtem przypomniała sobie pozostawione na stole rękawiczki. Wróciła się po nie i zdawało się jej, że chwyciła obydwie w trwożnym swym ruchu. Wreszcie wyszła, zamykając za sobą drzwi uważnie i starannie, jakby lękając się gwałtowniejszego poruszenia i hałasu, mogącego zaniepokoić kogoś.

Znalazłszy się na tarasie przed dworkiem, wśród słońca i świeżego powietrza, naprzeciw rozległego i pięknego widoku skąpanego niebieskiem niebem, odetchnęła swobodniej, jakby pozbywszy się tłoczącego pierś ciężaru. W około było pusto, zapewne nikt jej nie widział przybywającej tutaj, jak również nie widzi jej nikt obecnie wychodzącej. Jedynym świadkiem był ów piesek żółty, rozciągnięty na tarasie a który oto teraz nawet łbem nie raczył poruszyć. Odeszła, oddalając się od dworku drobnymi, lecz prędkimi krokami, chwiejąc lekko swą figurką, dziwnie młodzieńczą postać jej nadającą. Gdy uszła jakie sto kroków, mimowolnym ruchem obróciła się

po za siebie; postanawiała tego nie uczynić, lecz nieprzewyciężonej jakiejś sile ulegając, rzuciła raz jeszcze spojrzenie na spokojny, weselem tchnący dworek, cały teraz jakby uśmiechnięty na wzgórzu opromienionem popołudniowem słońcem. Wsiadłszy do wagonu, poczęła kłaść rękawiczki, i wtedy dopiero spostrzegła, iż jednej jej brakuje. Była przekonaną, iż upuścić ją musiała na dworcu kolejowym, może gdy wsiadała do wagonu. Wmawiała w siebie spokój a jednakże chociażby ta drobna okoliczność, iż niezdzęta nałożonej jedynej jednej posiadanej rękawiczki, wykazywała dostatecznie, jak wielki powstał w niej zamęt.

Nazajutrz, Pascal i Klotylda pojechali do Tulettes pociągiem wychodzącym o godzinie trzeciej z Plasans. Matka Karola, ładna siodlarka, przyprowadziła im syna, którego podjęli się odwiedzić do wuja Macquarta, gdzie tydzień miał zabawić. Karol wciąż był przyczyną nieporozumień pomiędzy małżeństwem, siodlarz bowiem coraz otwarciej zżymał się na pobyt w swym domu tego syna swej żony z innego zrodzonego ojca, znieść już teraz nie mógł widoku tego paniątka rozpróżniaczonego i zniedołężniałego. Ubraniem chłopca zajmowała się babka jego, pani Rougon, i dziś też był przybrany w czarne aksamity złotem lamowane, strojny był jak paż średniowieczny, jadący na dwór królewski. Podczas podróży trwać mającej kwadrans zaledwie, Klotylda, korzystając, iż nikogo obcego w wagonie z niemi nie było, zdjęła chłopcu beret jego z głowy i bawiła się gładzeniem

pysnie pięknych włosów Karola, które w bogatych blend lokach i zwojach spadały mu aż na ramiona. W tem spostrzegła, iż pierścionek, który miała na palcu, pozostawił krwawy znak na szyi chłopca, jakkolwiek lekkim było pieśczenie jej głaskanie, to jednak najłżejsze dotknięcie wywoływało na skórze jego krwisto perlącą się rosę; tkanki skóry coraz wyraźniejszemu ulegały rozluźnieniu, zwyrodniała, biedna ta istota prędzej lub później, zginąć musiała przez zbyt uczynny krwi upust, w czasie krwotoku, objawiającego się coraz częściej i prawie bez przyczyny. Zobaczywszy ślad pozostawiony przez pierścionek Klotyldy, doktor zaniepokoił się wielce i wypytywać począł chłopca, czy zawsze krew rzuca mu się nosem, jak dawniej? Na razie Karol nie umiał odpowiedzieć, wreszcie rzekł, że nie a w chwilę później przypomniał sobie, że owszem, nawet dnia poprzedniego krwi mu uszło nie mało. I rzeczywiście z dniem każdym, stawał się on coraz węższym a umysł jego, wstecz się cofając, dzieciniał, nigdy wreszcie nie doszedłszy do należytego i właściwego rozwoju. Miał obecnie lat piętnaście a wyglądał zaledwie na dziesięcioletniego chłopczykę, podobniejszego raczej do dziewczęcia, skutkiem nadzwyczajnej swej piękności i cery, sztucznie w cieniu wypielęgnowanego kwiatu. Wobec tego niedołęztwa litość ogarnęła serce Klotyldy; trzymała go dotychczas na kolanach, lecz spostrzegłszy, iż mimowolnym ruchem nieumiejącego poskromić się zwierzątka, o przedwcześnie rozbudzonych zmysłach, zapuścić się starał rękę swą w wycięcie jej stanika, posadziła go na ławce i pieścić przestała.

Przybywszy do Tulettes, Pascal zdecydował, iż najpierw odprowadzą chłopca do wuja. Szli więc stromą drogą ku dworkowi. Równie wesoło, jak wczoraj, uśmiechać się zdawał dworek, cały skąpany w gorących promieniach słońca, połyskując różowymi dachówkami i żółtą barwą swych ścian, odbijających się wśród zieloności rosnących przed nim starych drzew morwowych, które, rozścielając powyginane swe gałęzie, ocieniały taras liściastem, grubem sklepieniem. Rozkoszny spokój zalegał to ustronie, podobne siedzibie mędrca, szukającego ciszy dla swych rozmyślań; brzęczenie pszczół tylko dolatywało ze strony wielkich krzewów rozkwitłego szlazu.

— Ah ten stary niepoń — szepnął Pascal z uśmiechem — nie na żarty ma los godzin zazdrości!

Zdziwiony był wszakże, nie widząc wuja na zwykłym miejscu na skraju tarasu. Karol pobiegł naprzód, uprowadzając z sobą Klotyldę, chcąc jaknajprędzej zobaczyć ulubione króliki; doktor szedł więc teraz sam, dziwiąc się coraz bardziej, iż nikogo nie zastał koło domu. Okiennice były zamknięte a drzwi od sieni otwarte na rozcież. Na progu stał żółty piesek Macquarta, z szerścią najeżoną, nogami jakby skostniałymi i wył zcicha lecz przeciągle i nieustająco. A gdy ujrzał nadchodzącego i poznał znajomego, ucichł na chwilę, usunął się o kilka kroków i znów wycie swoje żałośnie zcicha rozpoczął.

Obawa przeniknęła Pascala i z niepokojem cisnące mu się na usta słowo uleciało donośnie:

— Macquarciel Macquarciel...

Nikt się nie odezwał i grobowe milczenie płynąć się zdawało z głębi domu przez wielką, czarną jamę, utworzoną przez drzwi do ciemnej sieni wiodące. Pies był nieustannie.

— Zniecierpliwiony Pascal głośniej jeszcze zawołał:

— Macquarcie! Macquarcie!

Nie drgnęło nic, pszczoły tylko brzęczały i pogodny obszar nieba spowijał ustronną, cichą siedzibę. Zdecydował się wejść. Może bowiem wuj zasnął głęboko. Lecz kiedy wszedł do sieni i otworzył na lewo będące drzwi do kuchni, buchnął przez nie swąd straszny i niemożliwy do zniesienia: odór spalenizny ciała i kości. Gdy próg kuchni przestąpił, zabrakło mu wprost powietrza, dusił się wśród gęstego oślepiającego oparu, zalegającego całą izbę, jakby dymem gęstym i cuchnącym. Nikłe promyki światła, filtrując przez szpary okiennic, nie oświetlały tu nic prawie. Pascal rzucił się w stronę pieca, lecz prawie równocześnie ruchu tego zaniechał, myśl bowiem pożaru wydała mu się niedorzeczną, wobec potraconych sprzętów, które na drodze napotkał. Nic nie rozumiejąc co stać się mogło, był blizkim omdlenia, skutkiem powietrza, przenikłego trucizną; przedostał się jednak ku oknu i gwałtownie pchnął niem wraz z okiennicami. Potok światła rozpląnął się po izbie.

Rzuciwszy okiem dokoła, wyjść nie mógł z podziwienia. Sprzęty stały na zwykłych miejscach, szklanka i próżna butelka od wódki, widniały na stole; krzesło, na którym wuj siadał najczęściej, spalone by-

ło częściowo, nogi przednie, słoma i wyplecienie, były prawie czarne, zwęglone. Lecz cóż stać się mogło z wujem? Gdzie on się podział? Przed krzesłem na ceglanej podłodze, widniała kałuża tłuszczu a tuż nieopodal garść popiołu, obok którego leżała fajka; krótka czarna fajka Macquarta, bynajmniej nieuszkodzona, chociaż upaść tu musiała z niezwyklej jakiejś okoliczności. Z wuja bowiem pozostała tylko owa garść popiołu, ulotnił się w ten opar rudawy, izbę zalegający a oknem uchodzący obecnie, części jego istoty spoczęły w sadzy, osiadłej na ścianach i sprzętach a sadza ta z ciała jego powstała, odrażającym tłuszczem lepiała się pod palcami.

Pascal miał przed oczami zadziwiający w swej doskonałości okaz samoistnego doszczętnego spalenia. Niejednokrotnie zdarzało mu się czytać o tego rodzaju wypadkach, lecz nigdy w żadnej książce medycznej nie napotkał opisu o tak całkowitem spaleniu. Czytał kiedyś o spłonięciu pijaczki, żony pewnego szewca, która, zasnąwszy przy małym przenośnym piecyku, znikła stopiona ogniem, pozostawiając po sobie jedną nogę i rękę. Dotychczas odnosił się do podobnych faktów z powątpiewaniem w ich możliwość, nie mogąc przytem dzielić wiary starożytnych, iż ciało nasycone alkoholem, wydziela gaz niezbadanych własności, lecz tak łatwo zapalny i tak silne wydający gorąco, iż z ciała i kości popiół tylko zostawał. Wątpienie Pascala ustąpić teraz musiało przed rzeczywistością, której nie mógł zaprzeczyć; uprzytomnił sobie tylko zszeregowanie przyczyn zaszłego wypad-

ku: Macquart dostał ataku skutkiem opilstwa, odrętwienie jego było zupełne a wtedy zapalona fajka spadła i zatliła mu ubranie, następnie płonąc poczęło alkoholem nasycone ciało, skóra przypieczona ogniem pękała, przepuszczając tłuszcz roztopiony. Tłuszcz ten częściowo podsycił ogień, częściowo zaś ściekał na podłogę, wreszcie zajęło się płomieniem całe ciało i żar pochłonął mięśnie, organa i kości. A oto teraz ta garść popiołu i tłuszczowa plama, były wszystkim, co pozostało z wuja, wraz z niebieskim sukienem ubranie i futrzaną czapką, niezdejmowaną nigdy, mimo zmian atmosfery i pory roku. Gdy ciało jego gorzeć poczęło, musiał spaść z krzesła i temu właśnie przypisać należy lekkie stosunkowo opalenie się tylko tego sprzętu; z Macquarta zaś, nie pozostało nic, ani kosteczki, zęba lub paznoccia, nic, prócz garstki szarego popiołu, który ustrzedz teraz należało od cugu, mogącego rozwiać go i zmieść ostatecznie.

Nadeszła wreszcie Klotylda, Karol zaś pozostał przed domem, przypatrując się psu, nieprzystającemu wyc ani na chwilę.

— Boże mój! — zawołała, cóż tu za odór niecznośny. Co się tu stało?

Gdy Pascal wytłomaczył jej przyczynę, zadrżała przed nadzwyczajnością zaszłej katastrofy. Wzięła do ręki stojącą na stole próżną butelkę, chcąc zbadać ją zbliska, lecz raptownie i ze wstrętem postawiła ją napowrót, poczuwszy za dotknięciem, powlekającą szkło lepka wilgoć, będącą osadem z ciała zgorzałego

wuja. Niczego niemożna było się dotknąć, wszystko bowiem tenże osad na sobie nosiło, nigdzie tej żółtawej, lepkiej i cuchnącej powłoki nie brakło.

Z przerażenia, połączonego z najwyższą odrazą, drżała Klotylda, zapłakała wreszcie, bełkocąc niewyraźnie wciąż te same słowa:

— O jakże smutną zginął śmiercią! O jakże straszną śmiercią!

Pascal oprzytomniał już zupełnie z pierwszego wzruszenia i rzekł prawie z uśmiechem:

— Straszną śmiercią, dlaczego?... Wszak miał już lat osiemdziesiąt cztery i zmarł bez bólu... Ja znajduję, że śmierć miał wspaniałą, zwłaszcza też, jak na niego, bo stary ten zbój, o którym nawet w tej chwili mówić inaczej nie mogę, całe swoje życie nie świecił cnotami... Pamiętasz odnośnie do niego papiery w moich tekach? Oj miał on na sumieniu rzeczy straszne i kałem zaprawne, nie przeszkodziło mu to bynajmniej usatkwować się na starość i schyłek życia pędzić rozkosznie i wesoło, jakby używał nagrody słusznej, za wielkie zasługi i cnoty, nigdy mu nieznane... Aż oto wreszcie doczekał się śmierci zaiste królewskiej, ten niezmordowany pijanica; spłonął, roztopniał na stosie z własnego ciała, własnym gorejąc ogniem.

Podniecony własnymi słowy, Pascal z uniesieniem rozszerzać począł ramy, przedstawiającego się w jego umyśle obrazu:

— Czy uprzytomnić sobie to możesz? Był pijanym tak, iż nie czuł, że się pali, spłonął jak świętojańskie ognisko, ulotnił się w dymie aż do kości ostatniej!

Widzisz-że ty wuja, rozpraszającego się w przestworzu, najpierw pomiędzy temi oto czterema ścianami które zamykały sobą powietrze, unoszące go w postaci dymu, kąpiące wszystkie przedmioty i sprzęty do codziennej posługi przez niego używane, a przez to oto okno przezemnie roztworzone, puścił się dalej w kształcie chmury, czy tumanu, ulatniając się z powietrzem... Ależ to śmierć wspaniała! Znikł, nie pozostawiając z siebie nic, prócz garstki popiołu i fajki swej ulubionej!

Mówiąc te słowa, podniósł fajkę z ziemi, chowając ją na pamiątkę po wuju; Klotylda zaś, odczuwając cień gorzkiej ironii w przemówieniu Pascala, jakkolwiek brzmiało ono lirycznym uniesieniem, nie mogła zapanować nad wzruszeniem, które przejmowało ją dreszczem przerażenia i wstrętu.

Wtem dostrzegła pod stołem jakiś przedmiot; może niedopalony jakiś szczątek.

— Patrz — zawołała — coś tam leży!

Schylił się i z najwyższem zadziwieniem podniósł rękawiczkę kobiecą zielonego koloru.

— Ależ to rękawiczka babci, pamiętasz? Rękawiczka, której brakowało jej, gdyśmy ją spotkali.

Spojrzeli na siebie i obojgu też sama myśl przebiegłszy, tłumaczyła odnalezioną przez nich zgubę: Felicja musiała wczoraj odwiedzić Macquarta. Natychmiastowe przekonanie o tym fakcie zrodziło się w umyśle Pascala: matka jego musiała być obecną, gdy wuj płonąć począł i nie uczyniła nic, by ogień zagasić. Pewność powstałego przekonania, opierał

teraz na kilku danych, obliczył bowiem przypuszczalną ilość czasu, potrzebnego na spalenie ciała i przypomniał sobie, iż dym kuchnię zalegający, zimnym był już zupełnie, gdy próg izby przestąpił. Widział w przerażonych oczach Klotyldy, iż ten sam domysł ośwładnął ją całą. Lecz ponieważ odstąpienie prawdy stawało się z wielu względów niemożliwym, wołał wytworzyć zmyślane wytłomaczenie zaszłego wypadku, mówiąc głośno, jako najprostsze objaśnienie:

— Zapewne twoja babka odwiedziła wuja przed złożeniem wizyty w szpitalu, i była tu na chwilę, nim na śmierć się upoił.

— Chodźmy ztąd! Chodźmy ztąd prędzej!—zawołała Klotylda. Duszno mi tutaj i dłużej pozostać nie mogę.

Pascal postanowił pójść do urzędu i donieść o śmierci wuja. Wyszedł więc za Klotyldą, zamknął drzwi domu i klucz włożył do kieszeni. Przed dworkiem żółty piesek wyc wciąż nie ustawał. Stał teraz tuż przy Karolu a chłopiec, nie rozumiejąc przyczyny żalostnej jego skargi, słuchał jej z miną rozbawioną i psa nogą potrącał.

Doktor poszedł teraz wprost do pana Maurina, notaryusza w Tulettes, pełniącego równocześnie urząd wójta gminy. Pan Maurin był wdowcem od lat dziesięciu i mieszkał wraz ze swą córką, również wdową, lecz bezdzietną. Utrzymywali oni dobre sąsiedzkie stosunki ze starym Macquartem, zdarzało się, że Karol całe dnie u nich spędzał, wdowa bowiem interesowała się pięknym a tak niedołęznym, mimo swej uro-

dy chłopcem, wzbudzającym w niej litość życzliwą. Maurin przeraził się opowiadaniem Pascala, poszedł z nim napowrót do dworku, jako miejsca wypadku i przyrzekł sporządzić akt zejścia, podług przepisów prawnych. Wszelaki pogrzeb i ceremonia religijna wielce były utrudnionemi! Gdy weszli bowiem do kuchni, wiatr już rozwiał spoczywającą przy stołku garść popiołu; lecz gdy starannie podnieść je chcieli z kuchennej podłogi, zebrali tylko sporo śmieci i brudu, wśród czego mało już szczątek wuja pozostawać mogło. Więc w dół ementarny cóż wywieźć mieli? Lepiej już było wyrzec się pogrzebu. Tak się też i stało. Wreszcie wuj nigdy z religią nie miał wspólnego, rodzina więc zadowolni się zakupieniem mszy za spokój jego duszy.

Notaryusz natychmiast oświadczył, iż posiada złożony u siebie testament Macquarta. Zaprosił więc doktora na pojutrze, by przybył wysłuchać oficjalnego odczytania testamentu, którego, jak poufnie rzekł mu notaryusz, był naznaczonym przez wuja wykonawcą. W poczciwości swej i wzruszeniu, Maurin zatrzymał na ten przeciąg czasu Karola u siebie, zdając sobie sprawę, iż oddaje życzliwą usługę, usuwając potrzebę zajmowania się chłopem, odwożenia go do matki, gdzie niebardzo byliby mu radzi i gdzie wiedział, że jest potrącany przez ojczyrna. Karol był uszczęśliwiony z tego obrotu rzeczy i pozostał w Tulettes.

Bardzo późno, bo dopiero około godziny siódmej wieczorem, Pascal i Klotylda wrócić zdołali do Plas-

sans, doktor bowiem, mimo niespodzianie zaszłego wypadku, nie omieszkał być u dwóch swoich chorych, których pojechał odwiedzić w Tulettes. Gdy na dzień umówiony stawili się u Maurina, tam spotkała ich nieprzyjemna niespodzianka; zastali już bowiem u niego starą panią Rougon. Dowiedziawszy się o śmierci Macquarta, przybyła tu z pośpiechem, kręcąc się z żywością i wybuchając przepełniającemi ją objawami bóleści. Odczytanie testamentu odbyło się spokojnie i z prostotą. Cały majątek, jaki posiadał, przeznaczył Macquart na koszt swego nagrobka. Miał on być z marmuru, z dwoma aniołami monumentalnej wielkości po bokach; życzył sobie, by płaczące nad mogiłą anioły, skrzydła miały spuszczone. Z myślą podobnego nagrobka nosił się Macquart oddawna, widział bowiem coś w tym rodzaju w Niemczech, gdy przed dawnymi laty, jako żołnierz tam przebywał. W testamencie naznaczał swego siostrzeńca, doktora Pascala, na wykonawcę ostatniej jego woli, jemu bowiem jedynie ufał pod względem wyrobienia artystycznego gustu.

Podczas czytania testamentu, Klotylda pozostała w ogrodzie notaryusza, usiadłszy na ławce w cieniu starego i rozłożystego kasztanu. Gdy Pascal i stara pani Rougon ku niej podeszli, nastąpiła chwila ogólnego niemiłego przymusu; miesiące już całe minęły, oziębając z każdym dniem wzajemny ich stosunek, oddawna bowiem przestali mówić z sobą. Felicja usiłowała być swobodną i, nie wchodząc w żadne szczegóły, nie dotykając nawet aluzją przyczyny po-

różnienia, utrzymywała, iż pomimo wszystko, można się było spotykać wzajemnie, i dla oczu ludzkich pozostać w łączności i zgodzie właściwej rodzinnym stosunkom. Nie zobowiązywało to do niczego. Wśród potoku słów, płynących z ust Felicyi, fałszywo i zbyt uporczywie brzmiał smutek, do którego czuła się obowiązana śmiercią Macquarta. Udany ten smutek drażnił niewypowiedzianie Pascala, odczuwającego całą jej rzeczywistą radość ze śmierci wuja. Bo jakże nieskończenie rada być musiała, że wreszcie wuj zdecydował się umrzeć i zabił ją jęczącą się wciąż jego obecnością ranę, jaką zadawał swem istnieniem całej rodzinie; myśli te, drażniąc Pascala, skorym do wybuchu go czyniły. Oczy jego mimowoli spoczęły na rękawiczkach matki; dziś, na znak żałoby, rękawiczki pani Felicyi były czarne.

Właśnie w tej chwili Felicya lamentowała słodkim głosem:

— Jakże też było nierozważnie z jego strony, by starym jak on będąc, odważał się żyć w samotności, odosobniony jak wilk jaki! Żeby chociaż służącą trzymał dla posług!

Wtedy bezwiednie, jakby nie zdając sobie sprawy z tego co mówi, wyrwały się doktorowi słowa, których brzmienie przeraziło jego samego:

— Lecz ty, matko, ponieważ byłaś obecna, dlaczego nie ugasiłaś, ogarniającego nim płomienia?

Stara pani Rougon nagle pobladła. Jakim sposobem syn jej mógł wiedzieć, jak się rzeczy miały? Popatrzała na niego przez chwilę, słowa nie mogąc

przemówić. Klotylda również pobladła, zbrodnia bowiem obecnie stawała się dla niej ujawnioną w zupełności. To raptownie zapadłe, pełne grozy milczenie matki, syna i wnuczki, równało się wyznaniu; drżeli wszyscy troje, milcząc, jak gdyby szczelnym całunem osłaniając przed ludźmi zaszyły w rodzinie dramat. Obie kobiety niezdolne były myśli zebrać. Doktor zaś zrozpaczony był wyrzeczonemi przez się słowami; dlaczegóż nie powstrzymał ich ujścia z ust, on, co zawsze tak unikał poruszania przykrych i niepotrzebnych wyznań, pragnął obecnie znaleźć coś na złagodzenie doniosłości postawionego przez siebie pytania, lecz wtem nowa katastrofa wyrwała wszystkich troje z przygnębiającego położenia.

Pani Felicja zdecydowała się dziś rano zabrać małego Karola do siebie, nie chcąc nadużywać uprzejmej gościnności, jaką mu od dni kilku wyświadczał Morin; lecz tymczasowo wysłano go na kilka godzin do ciotki Didy i teraz dopiero Maurin kazał swej służącej pójść po niego do szpitala. Oczekiwali właśnie teraz w ogrodzie powrotu służącej z Karolem, by zabrać go do Plassans. Wtem wpadła nagle do ogrodu służąca, ale sama, i zmęczona biegiem, spocona, przerażona, wołać zaczęła jeszcze z daleka:

— Boże mój! Boże! Chodźcie państwo coprędzej.. Pan Karol we krwi broczy...

Zatrwożeni, wszyscy troje pojechali śpiesznie do szpitala.

Dziś właśnie ciotka Dida była nieco spokojniejszą

i z wielką łagodnością siedziała wyprostowana w głębi fotela, w którym od lat dwudziestu dwóch spędzała długie, bardzo długie godziny swego żywota, zapatrzona jakby w dal, nie do niej nie mówiącą. Zdawać się było mogło, iż wychudła jeszcze w czasach ostatnich, ciało jej żadnej nie uwydatniało już mięśni, ręce i nogi byłyto kości, obleczone skórą do pergaminu podobną; i młoda, tęga blondyna, sprawująca przy niej urząd dozorczyni, unosiła ją, przenosząc z miejsca na miejsce bez żadnego strudzenia; karmiła ją, przenosiła, sadzała, wprost jakby z automatem a nie z ludzką i żyjącą istotą miała do czynienia. Wysoka, koścista postać prababki rodu żyła tak w opuszczeniu od swoich, przerażając swoją nieruchomością. Oczy jej tylko o tlejącej iskierce życia świadczyły wymownie, iż żyć nie przestała; oczy te przejryste jak toń źródłana poruszały się, patrzyły, migocąc wśród zapadłej i wychudzonej starością twarzy.

Dzisiejszego ranka potoki łez z oczów tych spłynęły, bez żadnej odgadnąć się dającej przyczyny, a po łzach nastąpiło bełkotanie słów niezrozumiałych. Był to niejako dowód, iż pomimo wyniszczonych starością sił i pomimo nieustępującego i ustąpić już niemogącego odrętwienia umysłowego, działalność mózgowa jeszcze doszczętnie zniszczoną w niej nie została; jakies dawne wspomnienia chwiejnie kołysać się tam musiały chociaż chwilowo, a więc i odbłyски przytomności mogły się ujawnić. Siedziała teraz milcząca z twarzą spokojną, obojętną dla żyjących, za-

równy jak i dla sprzętów, śmiała się tylko czasami, jakby ze zbytecznego nieszczęścia lub upadku. Rzadko coś dojrzeć lub posłyszeć była zdolna, żyła pogrążona w dumaniu i zapatrzeniu w przestrzeń pustą i bez żadnego dla niej znaczenia.

Gdy przyprowadzono Karola, dozorczyńni posadziła go przed małym stolikiem, naprzeciw prababki. Miała ona dla niego zapas obrazków, przedstawiających żołnierzy, wodzów, królów przybranych w szaty lite purpurą i złotem, Karol bawił się godzinami całymi, wycinając ich nożyczkami dozorczyńni.

— Siedź sobie tutaj, powiedziała chłopcu, baw się spokojnie i dobrze. Widzisz, że babcia jest dzisiaj grzeczną, bądź grzeczny, jak ona.

Chłopiec podniósł oczy ku obłąkanej swej babce i oboje zapatrzyli się na siebie. Nieruchome i blisko siebie będące ich twarze, dziwnie do siebie były podobne. Oczy ich zwłaszcza, te oczy przejrzyste i bez wyrazu, zlewały się w podobieństwie niezrównan wierności. Pomimo olbrzymiej różnicy wieku, twarz prababki odzwierciedlać się zdawała w delikatnych konturach dziecinnych rysów prawnuka, stara jej twarz wiekiem zniszczona, starszą się jeszcze wydawała, rozplynięta w niedołącznym potomku rodu zużytego starością. Nie uśmiechnęli się nawet do siebie, i siedzieli naprzeciw wpatrzeni jedno na drugie, z powagą istot nieświadomych.

— To rzecz pewna, powiedziała dozorczyńni, mówiąc głośno sama do siebie, jak czynić była zwykła dla urozmaicenia swojej służby przy starej obłąka

nej, to rzecz pewna, iż zaprzeć się siebie nie mogą. Podobni są do siebie, jak dwie krople wody. Jedna ich lepiła ręka... No a teraz bawcie się, pośmiejcie się, kiedy tak lubicie być razem.

Lecz każdy, nawet najłżejszy wysiłek czas jakiś trwający, zbyt był dla Karola nużącym. Spuścił więc głowę i przyglądać się począł obrazkom, podczas gdy ciotka Dida, posiadająca zadziwiającą moc wpatrywania się w dany przedmiot, nie przestawała trzymać utkwionego weń wzroku, powiekami nawet nie mrugnawszy ani razu.

Dozorczyni pozostała jeszcze z niemi przez chwilę, krzątając się po jasnym i wesołym pokoju, którego ściany oklejone papierem w niebieskie kwiaty, promieniały od słonecznego blasku.

Posłała łóżko, którego pościel wietrzyła się dotychczas, ułożyła bieliznę na półce w szafie. Zazwyczaj zaś, korzystając z obecności chłopca, pozostawiała z nim obłąkaną i używała trochę swobody. Podług przyjętego zobowiązania, nie powinna ona była ani na chwilę opuszczać chorej; lecz z niejednokrotnego doświadczenia wiedząc jak spokojnie zachowuje się ona w obecności Karola, ośmieliła się powierzać mu opiekę nad prababką.

— Uważaj dobrze, co ci powiem: Muszę na chwilę wyjść, otóż jeżeli ona zacznie się ruszać lub czegokolwiek odemnie potrzebować, zadzwoń natychmiast, by mnie przywołać—czy dobrze? Wszak zrozumiałeś, co ci powiedziałam? Przecież dość duży już z ciebie chłopak, byś umiał przywołać, kogo należy.

Karol podniósł głowę ku mówiącej do niego dozorczyńcy i kiwnięciem głowy dał znak, iż zrozumiał, kiedy ją przywołać na polecenie. Pozostawszy sam na sam z ciotką Dida, siedział w dalszym ciągu spokojnie, zajmując się swojemi obrazkami. Minął tak dobry kwadrans, w czasie którego dolatywały tu w ciszy panującej dokoła, odgłosy dalekie więziennego miejscowego życia; słychać było szmer kroków, dźwięk potrząsanych kluczy a czasami krzyk nagły i raptownie urwany. Dzień był niezwykle gorący i zmęczenie ogarniało z wolna niedołężnem obłopięciem. Zmorzony snem, pochylił swą jasną głowę do kwiatu lilii podobną, ugięła się ona, jakby pod ciężarem bujnych blond kędziorów, stanowiących złoty hełm królewski. Pochylona głowa chłopca opadła na rozłożone przed nim obrazki i zasnął, połową twarzy spoczawszy na królach przybranych w litą złotem purpurę. Rzęsy przymkniętych jego powiek rzucały cień na górną część policzków a tętno życia lekko pulsowało w niebieskawych żyłkach delikatnego jego ciała. Piękny był jak anioł a widniejące w całej jego postaci zmarnienie rasy, której był potomkiem, ślizgało się po łagodnych rysach uśpionej twarzy chłopca. Ciotka Dida patrzyła na niego nieustannie, patrzyła bezmyślnie, bez radości, ani smutku, wzrokiem wieczności, rozwartym na nieskończoność.

Wkrótce wszakże oczy jej wyraz zmieniać zaczęły, odbiło się w nich coś, jakby wspomnienie. Wpatrzyła się w kroplę czerwoną, kroplę wydłużającą się i coraz większą, która pojawiła się tuż przy lewem noz-

drzu uszpiętego Karola. Kropla ta spadła, lecz utworzyła się natychmiast druga i potoczyła się w dół za pierwszą. Była to krew, perliła się jak krwawa rosa, sącząc się tym razem bez żadnej przyczyny, niespowodowana ani uderzeniem, ani najlżejszem draśnięciem, sączyła się sama, uchodząc z tego ciała, będącego wyrazem ostatecznego zwyrodnienia rasy. Krople łączyły się teraz z sobą, zataczając wążki, krwisty sznureczek po złotem lśniących obrazkach. Potok zatrzymał się, napotkawszy przeszkodę, utworzył kałużę zatapiającą coraz szerszą przestrzeń stołu. Rozlała się kałuża dalej i przez znalezione wgłębienie posunęła się strumykiem aż do rogu stołu; i znów pojawiły się krople, wielkie, ciężkie, spadające ze stołu na ceglana posadzkę pokoju. Chłopiec spał dalej z boskim spokojem cherubina, nie czując, iż życie z niego upływa... Obląkana prababka wciąż w stronę jego zapatrzona z coraz widoczniejszym zainteresowaniem się patrzyła bez obawy i jakby zabawiona, śledząc spadające krople krwi, jak śledzić lubiła fruwanie wielkich much, które godzinami całemi rozrywkę jej sprawiały.

Minęło kilka minut; czerwony strumyczek wciąż się wzmagał, spadające krople były coraz większe i gęstsze, wydając przy spadaniu odgłos monotonny, cichy lecz uporczywy. Wtem Karol poruszył się, rozwarł oczy i spostrzegł ciekącą krew swoją. Nie przestraszył się, był bowiem przywykły do tego krwistego źródła, które tryskało z niego przy pierwszej lepszej nadarzonej sposobności. Jęknął tylko, jakby

na znak znudzenia. Wreszcie instykt się w nim ocknął, przestрах począł go ogarniać; począł narzekać coraz głośniej i bełkotał teraz niewyraźnie:

— Mamo... Mamo...

Oslabiony już był bardzo, przewyciężyć się nie dające odrętwienie owładnęło nim i głowę na stół opuścił na nowo. Oczy mu się przymknęły i zdawać się mogło, iż zasnął spokojnie, chociaż jęczał żałośnie, coraz słodziej, ciszej i obumierająco skarzając się słowami:

— Mamo... Mamo...

Obrazki przed nim na stole leżące, strojne z czarnego aksamitu ubranie jego, złote hafty jego kurtki—wszystko teraz krwią było zbroczone, krwią uparcie z nozdrzy jego ciekącą wązkiemi czerwonemi strumykami, które wciąż kałużę krwawą zwiększały a następnie spływały na ziemię, rozlewając się w coraz szerszą na niej plamę. Jeden dźwięk głosu, krzyk jeden przez obłąkaną wydany a złe jeszcze powstrzymanem być mogło. Lecz ona milczała, nieruchoma w swoim fotelu. Nie przywoływała nikogo na pomoc i patrzyła na Karola, nie spuszczając z niego oka, patrzyła bezwiednie, nieustająco, jakby skamieniałe bóstwo, obojętne na dokonywające się w jego obliczu losy przeznaczenia. Zeschła, skostniała matka rodu język miała starością związany a mózg jej oddawna obezwładniło obłąkanie. Nie umiała ani chcieć, ani działać. A jednakże strumyk czerwony z głowy prawnuka jej wyciekający, poruszać się w niej zdawał resztki tlejącej wrażliwości.

Po trupiej jej twarzy przebiegł jakby dreszczyk, policzki jej nabiegały jakby odrobiną życia. Wreszcie ostatni jęk i wołanie Karola czywiło ją całą.

— Mamol... Mamol...

Walka jakaś straszna staczała się w istocie ciotki Didy. Kościotrupie swe ręce podniosła ku swym skroniom, jakby chciała ująć się za głowę, pękającą od wzruszenia. Usta rozwarła szeroko, lecz dźwięk z nich nie wychodził żaden; wzruszenie, któremu ulegała ostatecznie, język jej sparaliżowało. Usiłowała powstać i biedz, lecz nieistniejące już mięśnie niedozwalały jej na to i pozostała w swym fotelu. Cała jej postać drżała, tak dalece pragnęła w nadludzkim wysiłku wołać o pomoc, lecz nie zdołało zerwać pęt, które nałożyła na nią niedołężna jej starość i niemoc obłąkania. Z twarzy przerażonej sądzić było można, iż pamięć jej wróciła chwilowo i że widzi katastrofę, nie mogąc jej zapobiedz.

Konanie Karola spokojne teraz było i słodkie. Przeciągało się ono długą jeszcze chwilę. Chłopiec milczał obecnie i wyglądał jakby uśpiony. Krew uchodziła z niego bezustannie, wypróżniając żyły z lekkim szmerem, ściekając na stół i podłogę. Białością swego ciała zawsze do kwiatu lili był podobny, obecnie białość ta wzmagала się bladością śmiertelną. Usta traciły barwę, stały się zaledwie różowe a wreszcie białe zupełnie. Przed wydaniem ostatniego tchnienia, otworzył oczy szeroko i wzrok utkwiał w prababkę, która mogła widzieć w nich dogorywa-

jące odblaski życia. Twarz jego, jakby z wosku ulana, martwą już była a oczy żyły w niej jeszcze. Oczy te patrzyły, zachowując swą jasność i przytomność. Nagle zaćmiły się one, gasnąc na zawsze. Śmierć zabrała je na ostatku a Karol skonał najłżejszem niewstrząśnięty drgnięciem, wyczerpany, jak źródło, z którego woda do ostatniej wyciekła kropli. Życie przestało pulsować w żyłach pod delikatną skórą jego ciała a na bladym obliczu rzęsy tylko cień głęboki rzucały niżej oczu. Piękność jego była teraz wprost nadzwyczajną. Głowa spoczywała w krwi dokoła rozlanej a złote kędziory królewskiej czupryny, rozwiane były dokoła, spływając aż na ramiona. Podobnym był do zmarłego przedwcześnie królewicza, niezdolnego dłużej udźwignąć kału krwi zepsutej, po przodkach w spadku odziedziczonej, królewicza zmarłego z niedołęztwa i zgrzybiałości, mimo wiosennych lat piętnastu.

Dziecko właśnie dopiero co wydało ostatnie tchnienie, gdy nadszedł tu doktor Pascal wraz z matką swoją i Klotyldą. Gdy ujrzał krew uszłą z Karola i zalewającą podłogę, zawołał:

— Stało się to, czego się zawsze lękałem. Biedny chłopczyń! Nie było przy nim nikogo i to go zgubiło!

Lecz nagle oniemieli z podziwu skutkiem niespodziewanego zjawiska. Ciotka Dida, wstrząśnięta katastrofą, prawie że powstała o własnych siłach z fotelu. Postać jej wydawała się teraz wielką a oczy utkwione w blade i piękne rysy zmarłego prawnuka,

opuszczały się chwilami na kałużę krwi przed ciałem jego lśniąca, oczy te nabierać się zdawały przytomności, myśl się w nich zbudziła po dwudziestu dwu latach całkowitego uśpienia. Noc więc panująca w obłąkanym jej umyśle mogła się ukończyć? Czy też, pomimo beznadziejnego sposobu uratowania jej, kryły się w jej mózgu nagromadzone dalekie wspomnienia, mogące się zbudzić chwilowo, pod wrażeniem raptownego a dotkliwego ciosu, jaki ją spotkał oto teraz. Naraz ta zapomniana przez śmierć i najbliższych, stara, obłąkana matka rodu ożyła, powstała ze swego grobu straszna i groźna, jak upostaciowane zjawisko przerażenia i boleści.

Przez chwilę stała tak, dysząc z trudnością.

Naraz przebiegł ją całą dreszcz i wybełkotała kilkakrotnie jedno tylko słowo:

— Żandarm! żandarm!

Słowo to zrozumiałem było w całej swej doniosłości przez troje obecnych ludzi. Pascal, Felicya i Klotylda spojrzeli po sobie jakby mimowoli, pełni przerażenia. Słowo to streszczało w ich umyśle całą historję życia obłąkanej ich matki; burzliwe życie matki rodu uprzytomnionem dla nich się stało z namiętnościami lat jej młodych, oraz z boleściami lat jej późniejszych. Dwa wielkie ciosy wstrząsnęły niegdyś całą jej istotę, w młodości, gdy pełna namiętnego miłosnego szału utraciła kochanka, ukochanego przez nią przemytnika Macquarta, który padł od kuli żandarma zabity jak pies wściekły. W latach późniejszych, na schyłku starości już będąc, utraciła

ukochanego i przygarniętego przez siebie wnuka, Sylweryusz bowiem padł jako ofiara rozdzielenia dążeń i nienawiści familijnych, w chwili zaburzeń politycznych w epoce zamachu stanu 1852 r. Krew i zawsze krew brocząca z istot ukochanych kałała życie i spowodowała obłąkanie stojącej przed niemi matki rodu, zbudzonej z odrętwienia trzecim i również krwawym ciosem, śmiercią Karola. Zbryzgana krwią po raz trzeci, patrzyła wciąż na krwawą kałużę wyciekłą z najmłodszego potomka rodu, patrzyła na martwą wycieńczoną postać dziecinną białego królewiatka, które spać się zdawało skutkiem upustu soków żywotnych i powstałej próżni w żyłach i sercu...

Po trzykroć zdawało się, iż przemknęły w jej umyśle zbudzonym krwawe obrazy jej życia przepelnionego namiętnością i męczarnią, bo po trzykroć powtórzyła słowo wyrażające dla niej karę najsroższego odkupienia i bełkotała:

— Żandarm! Żandarm! Żandarm!...

Padła na fotel. Myśleli, że zmarła, jakby piorunem rażona.

Wreszcie dozorczyjni nadeszła i tłumaczyć się począła, choć wiedziała z góry, że to napróżno i że żadne tłumaczenie się z nieobecności, utraconego miejsca jej nie wróci. Gdy ciotka Dida przeniesioną została na łóżko, Pascal stwierdził, iż żyć jeszcze nie przestała. Przeznaczonem jej było umrzeć dopiero nazajutrz, z zapalenia mózgu, spowodowanego trzecim krwawym ciosem wymierzonym jej, gdy miała lat sto pięć, miesięcy trzy i dni siedem.

Pascal, zbadawszy stan ciotki Didy, rzekł zaraz zwracając się do matki:

— Nie przeżyje dłużej niż dobę, jutro trupem już będzie... I tak na raz pomarli we troje, stary wuj, biedne to dziecko i stara nasza matka! Ileż w tem wszystkim jest nędzy i żałosci!

Urwał swe słowa a po chwili dodał przyciszonym głosem:

— Ilość członków rodziny zmniejsza się gwałtownie. Stare drzewa padają a młode zamierają przedwcześnie...

Felicja spojrzała na syna, pewna będąc, iż słowa jego nową okrywają aluzję. Chwilowo była ona rzeczywiście przerażoną tragiczną śmiercią małego Karola. Pomimo niemiłych dreszczów skutkiem wzruszenia, czuła ona i obliczała wszakże, jak wielkie ukojenie spłynie teraz z ubytkiem tych zbytecznych członków rodziny. Za tydzień, gdy łyży już płynąć przestaną, jakże będzie miło powiedzieć sobie, iż stary wuj, życia przez wódkę pozbawiony, nie będzie już stanowił zakały dla rodziny; ustały wreszcie wszystkie plagi gnieźdzące się w Tulettes i legenda rodu w czystości niczem niezmasanej, promienieć będzie coraz wyżej i jaśniej!

Pod wrażeniem tych myśli, pani Felicja przypomniała sobie teraz, iż nie odpowiedziała synowi na rzucone jej w oczy posądzenie, gdy przed paru godzinami zeszli się wszyscy troje w ogrodzie notaryusza. I odważnie, pierwsza zagadała o Macquartcie:

— Widzisz teraz na przykładzie, który mamy przed

oczami iż służące i dozorcynie nie na wiele się zdać mogą. Wszakże tutaj była służąca i niczemu zapobiedz nie zdołała... Z wujem byłoby też samo. Chociażby był miał dozorującą sługę byłby dziś tą samą garścią popiołu, w jaką się zamienił...

Pascal skłonił się z uszanowaniem przed matką mówiącą te słowa; zwykł był tak czynić, dla uniknięcia dalszej rozmowy.

Uniesiona wzruszeniem, Klotylda padła tymczasem na kolana. Atmosfera panująca w tym pokoju krwi, śmierci i szaleństwa, wywołała w niej nagłe ocknięcie się dawnych wierzeń religijnych. Oczy miała zalane łzami, ręce złożone i wzniesione w górę; modliła się żarliwie za zmarłych a przez nią kochanych. O Boże! niechaj cierpienia się ich skończą, daj im przebaczenie za winy i wskrzesz ich dopiero do żywota pełnego szczęśliwości! I błagała o to w modlitwie gorącej, wstawiając się za nich z namiętną prośbą, chcąc ich uchronić od okropności piekieł. Nędzny ich żywot niechaj im odkupieniem się stanie od męki wiekuistej!

Od smutnej pamięci dnia tego, Pascal i Klotylda wzajemnie bliższymi się jeszcze stali dla siebie. Tułając się jedno do drugiego, chodzili razem odwiedzać chorych. Myśl o niemocy zwalczania chorób, tego nieuniknionego i potrzebnego zła, wzrastać się zdawała w umyśle Pascala. Mądrością jest pono zostawić swobodne działanie naturze, niech ona sama tępi elementa zbyteczne i szkodliwe, niech ona sama pracuje ku ostatecznemu zdobyciu ogólnego zdrowia-

i siły. Lecz utrata osób bliskich, widok dolegliwości trapiących istoty ukochane, rozbudzają w sercach naszych nienawiść ku chorobie i chęć nieposkromioną zwalczania i zwyciężania szerzonego przez nią zła. Nigdy jeszcze Pascal nie doświadczał tak głębokiej i żywej radości jak obecnie, gdy za pomocą wstrzyknięcia eliksiru powstrzymać mu się udało atak bólu, lub też uspokoić i do snu usposobić chorego, wyjącego jeszcze przed chwilą z szarpiących nim dolegliwości. Klotylda dumną była z odnoszonych przez niego nad chorobą zwycięstw, wróciwszy do domu ubóstwiała go, twierdząc, iż miłość ich nie mało się przyczynia do tego daru obdarzania ulgą cierpiących.

Podług przyjętego co trzymiesięcznego zwyczaju, Marcyna poprosiła pewnego ranka doktora, by dał jej kwit na tysiąc pięćset franków, dla odebrania od p. Grandguillot, notaryusza w Plassans, tego co nazywała „naszym dochodem“. W pierwszej chwili Pascal zadziwił się nieco, nie sądził bowiem, by już trzy miesiące minęły od wydania ostatniego kwitu, nigdy mu czas tak szybko nie płynął i nigdy do tego stopnia nie był oderwanym od spraw pieniężnych, zawsze wreszcie, kwestye tego rodzaju w całości pozostawiał do załatwiania Marcynie. Siedział właśnie z Klotyldą w cieniu jaworów, szczęśliwy i wesoły posiadaniem szczęściem; wsłuchiwali się w szmer nieustający kryształowego strumyka, chłodzącego tę ustroń ich ulubioną, gdy nagle wpadła z miasta przybywająca Marcyna, cała zdyszana, przerażona, tknięta wzruszeniem nadzwyczajnem.

Zrazu nie mówić nie mogła, bo tchu brakowało jej w piersiach. Urywaniem głosem wołać wreszcie poczęła.

— Ach mój Boże! mój Boże!... Pan Grandguillot uciekł! Niema go już w Plassans!...

W pierwszej chwili Pascal nie zrozumiał całej doniosłości słów Marcyny i rzekł:

— Ależ uspokój się, przecież nam niepilno. Niema go w Plassans dzisiaj, to będzie jutro, lub za dni kilka i wtedy pójdziesz po pieniądze.

— Ależ nie! nie pójdę! on uciekł, czy pan słyszy, uciekł zupełnie, nazawsze...

I jak szluz zerwana wezbranym potokiem puszcza bezładnie unosząc ją wodę, tak popłynęły słowa Marcyny gwałtownym ciosem rażonej.

— Gdy weszłam w ulicę, zdaleka spostrzegłam tłum ludzi przed domem notaryusza... Zimny dreszcz przeszył mnie całą i poczułam, że stało się nieszczęście. Drzwi domu były zamknięte, okiennice nierozwarte, śmierć i nieszczęście tylko wiało... Zaraz mię ludzie zebrani objaśnili, że notaryusz uciekł, zabierając z sobą wszystko, wszystko, niezostawiwszy ani susa, rujnując swą ucieczką nieskończoną ilość rodzin, które mu pieniądze swe powierzyły...

Na chwilę urwała cisnące się jej na usta słowa i rozłożyła na kamiennym stole wydany jej przed godziną kwit przez Pascala.

— Oto ma pan swój kwit! Wszystko teraz skończone, nie mamy już teraz nic i z głodu przyjdzie nam sginąć!

Łzy nabiegły jej do oczu i płakać poczęła, głośno szlochając. W rozpaczycy brało udział znane jej skąpstwo, truchlała na myśl tylu pieniędzy straconych, drżała przed nędzą, która miała być tego naturalnem następstwem.

Raptownie zaskoczona tą wiadomością, Klotylda nie rzekła słowa, lecz patrzyła na Pascala, który zdawał się niedowierzać przyniesionym przez Marcynę wieściom. Starał się uspokoić rozpacz starej sługi. Jak może wierzyć wszystkiemu co jej powiedziano! Tłum zebrany na ulicy mówił o ucieczce notaryusza, na niczem się nie opierając; są to proste plotki, do których nie należy przywiązywać znaczenia. Pan Grandguillot uciekł! Pan Grandguillot złodziej! Ależ to niemożliwość, potworne niepodobieństwo! Jak można rzucać podobne potwarze na człowieka znanego ze swej uczciwości! Firma Grandguillot znaną jest i szanowaną w Plassans przeszło od lat stu. Wszyscy się na to godzili zawsze, iż pieniądze złożone u pana Grandguillot równie są bezpieczne jeżeli nie bezpieczniejsze, niż w Banku francuzkim.

— Zastanów się, moja dobra Marcyno, iż podobnego rodzaju katastrofa nie wybucha z dnia na dzień. Pogłoski złowieszcze poprzedzają zawsze tego rodzaju wypadki... A wreszcie długimi latami gromadzona opinia uczciwości nie dozwala uleść pokusie złodziejstwa w przeciągu godziny...

Marcyna załamała rozpaczliwie ręce, mówiąc:

— To właśnie, o czem pan teraz mówisz, zwiększa moje nieszczęście, bo czuję żem bardzo zawiniła...

Od kilku tygodni dochodziły mnie przeróżne o panu Grandguillot wiadomości krążące po mieście całym... Ale cóż, kiedy pan nie teraz nie słyszy i nie wie; sami sobą tylko zajęci państwo jesteście i nie wiecie nawet czy żyjecie...

Pascal i Klotylda uśmiechnęli się, słysząc te słowa. Prawdą było w istocie, iż po za ich miłością świat cały istnieć dla nich przestał. Uniesieni przepelniającem ich uczuciem, żyli osamotnieni i tak daleko i tak wysoko, iż żaden odgłos życia powszedniego doleć do nich nie był w stanie.

— Krążące o panu Grandguillot wieści tak były wstrętne, dodała Marcyna, iż nie chciałam ich państwu powtarzać, sama myślałam że są kłamstwem.

Teraz jednak nie już Marcyny wstrzymać nie zdołało i opowiadała, że jedni posądzali pana Grandguillot, iż grał na giełdzie, drudzy zaś utrzymywali, że tracił pieniądze na hulanki z kobietami w Marsylii. Wyprowadził tam orgie, oddając się wyuzdanej rozpuście. Wyowiedziawszy te oskarżenia, znów głośno szlochacząc poczęła, mówiąc:

— Boże mój! Boże! Cóż z nami teraz będzie! Z głodu wszyscy pomrzemy!...

Wzruszony widokiem łez, bo i oczy Klotyldy szklity się łzami, Pascal chwiał się począł w swej wierze względem notaryusza. Starał się przypomnieć sobie szczegóły, dotyczące spraw swoich pieniężnych z panem Grandguillot. Przed laty, gdy jeszcze praktykował jako lekarz w Plassans, złożył u niego sumę stu dwudziestu tysięcy franków w kilkurazowych ratach

a procent od tych pieniędzy dozwalał mu żyć spokojnie już od lat szesnastu. Za każdym złożeniem pieniędzy, notaryusz wydawał mu pokwitowanie, świadczące o wysokości sumy. Za pomocą tych kwitów, zdołała przecież udowodnić swoją należność. Jeszcze jakiś szczegół, prawda, że niewyraźnie, lecz stanowczo zrodził się w pamięci Pascala; nie wiedział dobrze kiedy, lecz przed laty, notaryusz przedstawił mu pewien projekt, na który on się zgodził i wydał pełnomocnictwo, aby część, czy też cała suma, została umieszczoną na hypotekach; wydawało mu się nawet, że nazwisko mandataryusza nie zostało wymienione. Zachodziło tylko pytanie, czy notaryusz skorzystał z danego sobie pełnomocnictwa? Pascal bowiem nigdy go o to nie pytał, nie kłopotząc się ani na chwilę, w jaki sposób pieniądze zostały ubezpieczone.

Marcyna, uspokojona chwilowo, wybuchnęła wymówkami, dyktowanemi jej niepokojem skąpca o skarb zagrożony:

— Ach paniel! Ukarały jesteś za lekkomyślność swoją! Bo czyż się godzi tak mało dbać o dobro i pieniądze swoje zdawać na los szczęścia! Oj nie tak ja postępuję z mojem! Obliczone są co do centyma, co trzy miesiące je obliczam i na pamięć wszystko panu wypowiedzieć mogę, tak jakoś moich papierów, jak ilość i wszystkie odnoszące się do nich cyfry.

Pomimo swej rozpacz i łez, uśmiechnęła się zadowolona sama z siebie. Wspomniała sobie bowiem,

jak od lat przeszło trzydziestu, prawie w całości składała swoje czterysta franków rocznej pensyi, wydając jaknajmniej a wciąż ciułając. I oto teraz, powiedzieć sobie mogła, że zadowolniła ten swój pociąg w całości. Na chwilę nie ustąpiła od raz powziętego planu, w nagrodę czego, posiada obecnie przeszło dwadzieścia tysięcy franków z uzbieranego kapitału, wraz z procentami. Nietykalny ten skarb cały jest niewzruszony niczem, ukryty dobrze, w miejscu pewnem i nikomu nieznanem. Przywodząc sobie to obecnie na pamięć, promieniała szczęściem wewnętrznem, lecz powstrzymała wyrrywające się słowa zadowolenia z siebie.

Pascal począł się przed nią bronić.

— Ale zkądże wiesz, że wszystkie nasze pieniądze przepadły! Pan Grandguillot posiadał znaczny majątek, przecież nie mógł uwieźć z sobą ani domów, ani ziemi do niego należących. Zobaczymy to wkrótce, gdy się interesa wyklarują, tymczasem zaś nie mogę się pogodzić z myślą, by był w stanie postąpić nieuczciwie... Cała tylko w tem bieda, że będziemy musieli czekać.

Słowa te wyrzekł dla uspokojenia Klotyldy, która coraz trwoźniejszą się stawała. Patrzyła ona to na Pascala, to naokoło rozglądając się i obejmując wzrokiem Sulejadę, zaniepokojona o jego szczęście i spokój a pragnąca zawsze żyć tutaj przy jego boku, kochać go wiecznie, kochać go jak dotychczas wśród miłych i drogich im obojgu wspomnień i przedmiotów z tym kawałkiem ziemi nierozłącznie zespolonych.

Chcąc ostatecznie uspokoić Klotyldę, Pascal odzyskał zwykły swój spokój i pogodę umysłu, przyszło mu to z łatwością, nigdy bowiem nie żył dla pieniędzy, nie wyobrażał sobie nawet, by ich brak mógł istnieć i sprawdzać jakiekolwiek cierpienia.

— Ależ ja mam pieniądze! — zawołał wreszcie wesoło. Co też ta Marcyna plecie, że nie mamy ani susa i że śmiercią głodową przyjdzie nam zamrzeć przedwcześnie!

Wstał z ożywieniem i, śmiejąc się, zmusił obydwie kobiety, by poszły wraz z nim na górę.

— Chodźcie, chodźcie prędko za mną. Pokażę wam pieniądze i zobaczycie, ile ich mam jeszcze! Dam z nich część zaraz Marcynie, aby nam dobry obiad sprawiła na dziś wieczór.

Weszli na górę, do jego pokoju a stanawszy przed swym biurkiem, doktor roztworzył szufladę z miną tryumfującą. Od lat szesnastu zwykł był rzucać do szuflady papiery bankowe i złoto nadsyłane mu przez klientów dobrowolnie, nigdy bowiem o honorarya nie upominał się. Nigdy też nie znał dokładnie cyfry posiadanego skarbu, czerpał z niego w miarę potrzeby na drobne swe wydatki, na prezenta i jałmużny. Od kilku miesięcy czerpał w swym skarbie obficie i często. Lecz latami całymi wydawał mało, skarb więc był nagromadzony bezwiedną oszczędnością a Pascal, znajdując w nim zawsze potrzebne mu pieniądze, przywykł do myśli, iż zawsze tak być musi, uważał posiadane zasoby za niewyczerpane i wyczerpać się nie mogące.

Śmiał się też teraz z twarzą rozpromienioną.

— Zobaczycie, co to ja posiadam—zobaczycie!

Wesołość jego zmniejszać się poczęła, gdy po chwili szukania pomiędzy papierami i zwitkami, zgromadzić ledwie zdołał sześćset piętnaście franków, składających się z dwóch biletów stu frankowych, czterystu franków w złocie i piętnastu w drobnej srebrnej monecie. Przewracał papiery dalej, szukał pośpiesznie, gorączkowo, lecz szukał napróżno, pomimo swego zdziwienia, iż nie znajduje więcej.

— Ale cóż to znaczy? Toć zawsze tu pełno było pieniędzy! Temi dniami jeszcze widziałem całe ich stosy! Chyba te stare papierzyska nagromadzone jedne na drugich w błąd mnie wprowadzały, ilością swoją sprawiając złudzenie! Przysięgam wam, że jeszcze zeszłego tygodnia widziałem masę pieniędzy, dotykałem ich nawet, biorąc z nich część potrzebną.

Tak dalece był przeświadczony o prawdzie tego, co mówił a zdziwienie jego i zakłopotanie tak było szczere i zabawne, że Klotylda od śmiechu powstrzymać się nie mogła. Ach mistrz ten kochany, jakże niedołężnym byłby bankierem! Lecz wśród śmiechu swego spostrzegła, jak struchlała i posępną była Marcyna; patrzyła z osłupieniem na tę garstkę pieniędzy, mających być całym ich majątkiem. Wszak te pieniądze żyć ich miały troje, rozpacz Marcyny wzruszyła Klotyldę na nowo i głosem drżącym od łez szepnęła:

— Boże mój! To na mnie wszystko wydałeś! To ja ciebie zrujnowałam! Ja jestem jedyną przyczyną, że nic już nie posiadamy!

I rzeczywiście doktor zapomniał zupełnie, że skarb swój naruszył na podarki dla niej. Tak, podarki skarb wyczerpały. Twarz mu znów poweselała, bo zrozumiał przyczynę. I słysząc, jak Klotylda mówiła, że wszystko, co dostała, zwróci kupcom napowrót, gniewać się począł, mówiąc:

— Chcesz oddać to, co odemnie dostałaś! Ależ czy nie rozumiesz, że oddałabyś zarazem i część mojego serecal. Nie, nie, wolę z głodu umrzeć a pozostać taką i z tem, jak pragnąłem cię mieć i widzieć!

Po chwili dodał z ufnością, jakby zrodzona świeżo myśl przynosiła mu długie chwile zapewnionego spokoju:

— Wreszcie nie dziś jeszcze z głodu pomrzemy, nieprawdaż Marcyno? Te oto pieniądze jeszcze na długo starczyć nam powinny?

Marcyna znacząco i z niezadowoleniem potrząsać zaczęła głową. Przypuszczała, iż wyżyć z niemi będzie można dwa miesiące, może trzy, jeżeli z wielką oględnością gospodarować niemi będzie. Dawniej przybywało panu do szuflady coraz to trochę nowo nadesłanych pieniędzy, ale teraz ustało wszystko, od czasu, jak pan ostatecznie przestał się chorymi zajmować. Liczyć zatem na przybytek jaki z zewnątrz, nie można było ani chwili. Zakończyła swe uwagi, mówiąc:

— Niech mi pan da te dwa bilety stu frankowe. Postaram się, aby nam wystarczyły na miesiąc. A potem zobaczymy... Ale niech pan będzie teraz ostrożny i tych czterystu franków nie dotyka się nawet, niech

pan zamknie szufladę i nie roztwiera jej, aż pana sama o to poproszę.

— O bądź o to spokojną, dobra moja Marcynol Pierwej rękę dałbym sobie uciąć.

Tak więc wszystko zostało uregulowane. Marcyna rozporządzać miała dowolnie pozostałymi resztkami pieniędzy a na jej oszczędność można się było spuścić bezpiecznie, umiała bowiem robić oszczędności nawet na drobnych centymowych wydatkach. Klotylda zaś, która nigdy nie miała i nie żądała pieniędzy dla siebie, nie uczuła zachodzącego ich braku. Jeden tylko Pascal był pokrzywdzony w swej wolności dotychczasowej dowolnego czerpania w posiadanym skarbie, który za niewyczerpany uważał; przyrzekł i postanowił dotrzymać: niezaglądać nawet do szuflady z pieniędzmi, wszystkie wydatki miały być wyłącznie przez Marcynę czynione.

— No, to i dobrze! Urządziliśmy się wybornie! Zawołał z zadowoleniem, szczęśliwy, że już załatwioną była cała sprawa, i jakby pełen pewności, iż na długo spokój o ich dobrobyt niewzruszenie został zabezpieczony.

Minał tak tydzień i nie się napozór nie zmieniło w Sulejadzie. Pascal i Klotylda, upojeni miłością, ani pomyśleli o grożącej im nędzy. Pewnego ranka, gdy obydwie kobiety wyszły do miasta za sprawunkami a doktor sam pozostał w domu, zaniepokoiła go wizyta zupełnie przez niego niespodziewana. Oddała mu ją handlarka, u której niegdyś kupił ów stanik z przepysznej starej koronki, złożony w pierwszym

darze Klotyldzie. Przeczuł, iż przybywa ona z propozycją nowego kupna i drżał cały ze wzruszenia, wiedząc, jak trudno przewycięża się w podobnych razach. Nim handlarka pierwsze słowo wymówić zdołała, począł się już bronić, mówiąc: nie! nie! nie chcę i nie mogę teraz kupować i ruchem rąk wyciągniętych przed siebie, oddalać się zdawał towary, mieszczące się w skórzanej torebce, przez nią trzymanej; lecz tłusta i upzejma kupcowa uśmiechała się tylko, będąc pewną z góry, iż łatwo przewyciężyć jej przyjdzie opór doktora. Głosem łagodnym i nieco przyciszonym zaczęła mówić, opowiadając długą historję o pewnej damie, obecnie zrujnowanej i chcącej sprzedać jeden ze swoich klejnotów; dama ta jest jedną z najwybitniejszych osobistości w Plassans i życzy sobie, by nazwisko jej wymienionem nie zostało. Jest to niezwykła okazja taniego kupna — dodała — klejnot ten kosztował co najmniej tysiąc dwieście franków a teraz można go nabyć za pięćset... I bez pośpiechu, spokojnie, roztworzyła swoją torbę, jakby nie widząc wzruszenia, połączonego z przerażeniem coraz widoczniejszym na twarzy doktora. Wyjęła wreszcie z torby i rozwinęła złoty łańcuszek na szyję, w pośrodku zaś łańcuszka zwieszało się z wielką prostotą siedem wielkich pereł, lecz perły te były niezrównanie kształtne, oryentalnym lśniącem blaskiem. Klejnot był śliczny, przedziwnego, czystego smaku i świeżości. Pascal natychmiast ujrzał go w myśli na delikatnej szyjce Klotyldy, o jakże był on dla niej stosowny, jak dopełnia-

jącą stanowił on ozdobę tego ciała jedwabistego, którego rozkosz z pocałunków płynącą miał jeszcze na ustach! Każdy inny klejnot obciążał i zakrywał zbytecznie pełne piękna jej ciało, podczas gdy te oto perły całość z niem wyborną stanowiąc będą, młodzieńczość kształtów i tonów podkreślając. Wziął łańcuszek do ręki, chociaż dreszcz śmiertelny przebiegał go na myśl, iż zaraz zwrócić to świecidełko napowrót jest zmuszony. Bronił się przed pokusą, mówił, zaklinając się, że niema pięciuset franków do wydania, kupcowa zaś ze swej nalegać nie przestawała, kładąc nacisk na wyjątkowo niską cenę przyniesionego klejuotu. Minał na tych sporach kwadrans lub dłużej, wreszcie kupcowa, dla dobicia targu, raptownie spuściła cenę, oddając naszyjnik za trzysta franków, wobec czego doktor uległ, dogadzając swej zachciance nowego daru dla swego bóstwa, które ustawicznie pragnął obsypywać drogocennymi ofiarami. Chęć przyjemności darzenia okazała się silniejszą nad postanowienia powzięte. Gdy poszedł do biurka, by wyjąć z szuflady piętnaście luidorów dla zapłacenia kupcowej, pocieszał się myślą, iż interesa u notaryusza wyklarują się i że wkrótce znów obfitość pieniędzy pod dach jego powróci.

Gdy Pascal pozostał wreszcie sam z nabytym klejnotem w kieszeni, ogarnęła go dziecinna radość i uciecha. Obmyślał teraz, w jaki sposób zrobi niespodziankę Klotyldzie; czekał jej powrotu, niecierpliwiąc się, że nienadchodzi. Gdy ją dostrzegł, serce bić mu poczęło, jak młotem. Dzień był gorący, sier-

pniove słońce promienie słało ku ziemi, wróciła też Klotylda zmęczoną i postanowiła przebrać się natychmiast. Rada wszakże była ze swej wycieczki; śmiejąc się wesoło, opowiadała o nadzwyczajnej taniości poczynionych sprawunków, Marcyna wytargowała dwa gołębie za osiemnaście susów! Pascal słuchoał opowiadania, hamując swe wzruszenie i poszedł za nią do jej pokoju; gdy zdjąwszy suknię, pozostała w spódniczce i wyciętej koszuli z obnażonemi rękoma i biustem, począł udawać, iż dostrzegł coś niezwykłego na jej szyi.

— Co to takiego? Pokażno proszę.

Mówiąc to, dotykał palcami miejsca, które zwróciło jego uwagę, jakby chcąc się upewnić, czy nie złego jej nie grozi, a tymczasem trzymany w rękę naszymnik założył jej i zapiął. Ona śmiała się i odpychała go z żartami.

— Ale daj pokój! Wiem dobrze, iż nic z szyją moją się nie stało... Co ty tam majstrujesz i czem mnie łechcesz?

Objął ją wpół i uniósł przed wielkie lustro, gdzie się ujrzała w całej swej postaci. Na szyi połyskiwał łańcuszek, wążiutki jak złota nitka, a na jej biust spadało siedem mlecznych pereł, lśniących jak gwiazdy. Zdawały się tutaj zrodzone z delikatnego, jedwabistego jej ciała powstałe. Całość z nią stanowiły jedną, całość tchnącą czarem młodości. Na widok ten roześmiała się rozkosznie, jak gruchająca gołąbka, gdy wabi i nęci zalotnie.

— O mistrzu! Mistrzu! Jakiś ty dobry!.. Więc

ty bezustannie tylko myślisz, czem radość mi nową sprawić możesz? Jakże szczęśliwą mnie czynisz!

Uradowanie tryskało jej z oczu, uradowanie rozmówanej kochanki i lubiącej się podobać kobiety. Szczęśliwą była ze swej piękności, oraz z miłości, jaką wzniewała. Pascal, patrząc na nią z niewymowną błogością, czuł się teraz wynagrodzonym po królewsku za walki, jakie staczał z sobą przed niedawną chwilą.

Cała promieniejąca, przechyliła głowę w tył, usta mu nadstawiając z miłością. On twarz swą przybliżył i pocałunek ich połączył.

— Rada więc jesteś?

— O tak, mistrzu, rada, niezmiernie rada! Perły, to rzecz taka piękna, miła i nieskalana! Patrz, jak mi z niemi do twarzy!

Przez chwilę stała tak przed lustrem, zachwycając się swą pięknnością, dumna z prostoty i jak na pyszny kwiat zapatrzona na własne swoje ciało jasnej blondynki, lśniące białością z pod błyszczących na nim pereł. Wtem ogarnął ją szal pochwalenia się sobą; usłyszawszy lekki hałas w sąsiednim pokoju, wybiegła tam, jak stała, w krótkiej swej spódniczce i z obnażonemi ramionami.

— Marcyno! Marcyno! Patrz, co dostałam od mistrza, czem obdarzył mnie przed chwilą! Patrz tylko, jak piękną w tem jestem!

Lecz na widok taki, surowa twarz Marcyny jeszcze surowszą się stała, psując dźwięczącą radość Klotyl-

dy, która odczuła może, jak bolesnem jest dla tej starej, zawiądłej kobiety, patrzeć zazdrośnie na jej młodość, piękność i szczęście. Wszak ta służebnica, w dzieciństwie starości doczekawszy się, całe swe życie zużyła, służąc, zamknięta w cichem poddaniu się i pokorze, cała gorejąca niemem uwielbieniem dla swego pana. Pierwsze to wrażenie trwało krótką tylko chwilę, przemknęło ono bezwiednie prawie przez głowę jednej a niedostrzeżonem nawet pozostało dla drugiej; trwalszem było potępienie uczynionego daru, wyraźnie malujące się na twarzy oszczędnej sługi; kosztowność tego daru grzesznym go czyniła w oczach Marcyny.

Dreszczyk chłodny wystudził ożywioną radość Klotyldy.

— Tak — szepnęła, mistrz znów zajrzał do swojej szuflady... A to zapewne rzecz droga takie perły, jak myślisz?...

Pascal zmieszał się teraz, i głośno, dla wytłomaczenia i usprawiedliwienia się swojego, zaczął opowiadać wielomównie całe zajście z kupcową. Tak, tak, kupił ten klejnot za bezcen, mając taką okazję, należało skorzystać.

— Ile zapłaciłeś? — zapytała Klotylda z wyraźnym niepokojem.

— Trzysta franków...

Milcząca dotychczas, Marcyna powstrzymać się już teraz nie mogła dłużej i wybuchnęła, przerywając złowrogi swój spokój:

— Mocny Boże! Toż za te pieniądze żylibyśmy całe

sześć tygodni; i powiedzieć, że ja nawet na kawałku chleba staram się przyoszczędzić!...

Ciężkie, wielkie łzy potoczyły się z oczu Klotydy. Byłaby zerwała naszyjnik ze swych ramion, tylko ją ręce Pascala w tem powstrzymały. Jąkając się, urywanym głosem twierdziła, że natychmiast należy zwrócić klejnot kupcowej:

— Tak, Marcyna prawdę mówi... Nierozsądny jesteś, mistrzu, a ja chyba obłądu dostałam. Ani chwili nie tracąc, trzeba się tej kosztowności pozbyć; jak można kupować podobne świecidła, będąc w naszym położeniu... Naszyjnik ten paliłby ciało moje teraz. Błagam cię, mistrzu, pozwól, bym go odniosła!

Lecz on ani słyszeć o tem nie chciał. Martwił się, teraz wraz z niemi obydwoma, przyznawał się, że zawinił, wyrzucał sobie swoją niepoprawność; o niezawodnie! Pieniądzy nigdy nie powinno się mu powierzać! Trzeba było odebrać mu z rąk wszystkie co do grosza! Pobiegł do biórka, wyjął ostatnie sto franków, zmuszając Marcynę, by je wzięła i schowała u siebie.

— Mówię wam, że nie chcę pieniędzy mieć u siebie. Wydałbym je natychmiast. Ty jedna, Marcyno, jesteś rozsądna. I ufam ci, że potrafisz się tak urządzić, iż pieniądze te przetrwać nam pozwolą do chwili załatwienia naszych interesów... A ty, ukochana moja, zachowaj ten naszyjnik, w przeciwnym razie zmartwisz mnie srodze. Pogódźmy się. Pocałuj mnie i choź się ubierać.

Odtąd nie wspomniano już o przebytej katastrofie.

Klotylda zachowała naszyjnik, nosiła go, nie zdejmując nigdy, lecz nosiła pod suknią. I miło jej było nosić tajemnie ten śliczny, mały, wytworny klejnocik, niedostrzegany przez innych a tak blisko niej będący. Zetknięcie jego ze swem ciałem czuła ustawicznie. Czasami, sam na sam będąc z Pascalem, wyjmowała z za stanika owe perły i, słowa nie rzekłszy, pokazywała je ruchem pieśczośliwym a następnie szybko chowała je napowrót na ciepłą pierś swoją, przepełniona rozkosznem wzruszeniem. To raptowne mignięcie perłami uprzytomniało im miłosne zapomnienie się ich i nierozsądne kupno klejnotu; zmieszana i wdzięczności pełna, promieniowała radością, że tak jest kochaną. Perły te nierozłączne były z nią teraz.

W Sulejadzie rozpoczęło się obecnie życie pełne niedostatku, lecz równie rozkoszne miłością, jak poprzednio. Marcyna obliczyła zapasy domowe i okazało się, że bardzo były szczupłe. Kartofli tylko było na czas dłuższy. Natomiast, jakby na złość, dzban z oliwą był prawie na ukończeniu, a i wina niewiele było już w beczce. Sulejada nie posiadała obszernych swych dawnych winnic, ani też pól obsadzonych drzewami oliwnymi. W ogrodzie było zaledwie trochę warzywa i trochę owoców, lecz gruszki jeszcze nie dojrzały, jedyną więc pociechą będą winogrona, rosnące tuż przy domu. A na nieszczęście codzienne były wydatki, chociażby na chleb i mięso. Rozpoczęły się czasy wielkich oszczędności Marcyny. Wstrzymała dotychczas podawane łakocie, nie

było już na stole kremów, ciast, ukazywały się na nim tylko nieodzowne dla wyżywienia potrawy i to w ścisłej mierze. Zawładnęła napowrót domem po dawnemu, traktując swych państwa jak nierozsądne dzieci, których nie należy się pytać ani o zdanie, ani o upodobanie. Dysponowała sama, jako najlepiej wiedząca, co trzeba, lecz obchodziła się z nimi po macierzyńsku, z pieczołowitością niesłychaną.

Cuda rzecz można, czyniła, by państwa swych zadowolnić i dostatkiem otoczyć, dostatkiem względnie do minimalnych wydatków, jakie czyniła; gniewała się nawet na nich czasami w własnym ich interesie, lecz gniew ten był łagodny, coś jak matki, gdy strofuje malców, gdy zupy jeść nie chcą. Zdawaćby się mogło, iż to szczególne macierzyństwo, to ostateczne oddanie się ich dobru, zapewnienie spokoju, jaki niosła ich miłosnym uniesieniom, sprawiało jej samej zadowolenie głębokie, powoli otrząsnęła się z rozpacz, w jaką była wpadła. Od czasu jak wszechwładnie czuwała nad nimi, powracał jej dawny wyraz twarzy, wyraz spokoju i poddania się losowi, skazującemu ją na wieczną samotność i panieństwo.

Twarz Marcyny była bladą, jak twarz zakonnicy, czy spokojne szarością swą do popiołu były podobne. Podawała teraz na stół najchęćniej kartofle a wśród obfitego półmiska jarzyny, cieniutkie kotleciki ginąć się zdawały. Bywały wszakże dnie, w które, po ścisłym obliczeniu się z budżetem, pozwalała sobie na wystąpienie z naleśnikami, tryumfująco wносиła je do jadalni i cieszyła się wesołością, z jaką były witane.

Pascal i Klotylda chwalili ją, że wybornie gospodaruje, za jej plecami wszakże powstrzymać się nie mogli od żartów, nad coraz to nowymi wynalazkami oszczędności; o wiele teraz z każdym dniem surowszej. Utrzymywali, iż oblicza nawet ziarenka pieprzu, aby nic uronionem nie zostało. Gdy kartofle podała skąpo okraszone, lub kotlety na jeden kąsek wystarczyć tylko mogące, zamieniali z sobą spojrzenia raptowne i czekali poważnie wyjścia Marcyny, by śmiech ogarniający ich na ten widok, stłumić serwetą. Bawili się byle czem, nawet dzisiejszym swym niedostatkiem.

Pod koniec pierwszego miesiąca, Pascal przypominał sobie o niewypłaconej pensyi Marcynie. Dotychczas sama ona odtrącała swoją pensyę z pieniędzy gospodarskich, zawsze w jej rozporządzeniu będących.

— Moja pocziwa Marcyno — rzekł jej pewnego wieczoru, jakże to będzie z twojemi czterdziestoma frankami zasług, kiedy pieniędzy nie ma w domu?

Przez chwilę stała zafrasowana, utkwwszy oczy w ziemię.

— Ha! Cóż robić! Poczekam...

Widział on wszakże, iż nie wypowiedziała jakiegś nurtującej ją myśli, miała widocznie zamiar zaproponowania układu, lecz nie wiedziała, jak przystąpić, by go panu przedstawić. Postanowił ją ośmielić, Zaraz też rzekła:

— Zapewne, jeżeli pan nie miałby nic przeciw-

ko temu, wołałabym, aby mi pan podpisał jaki papier...

— Jakto: jaki papier?

— Tak papier, na którym co miesiąc pan podpisze, że jest mi winien czterdzieści franków...

Pascal natychmiast wystosował jej rzeczony dokument a Marcyna, uradowana, rozpromieniona, schowała go starannie, jakby on rzeczywiście był sumą pieniędzy, którą miał przedstawiać. Teraz widocznie była uspokojoną. Lecz papier ten stał się powodem żartów, połączonych z zadziwieniem ze strony Pascala i Klotyldy. Jakąż władzę posiadały pieniądze nad ustrojem niektórych istot? Ta stara, wierna sługa, otaczająca ich najtroskliwszą pieczołowitością, ubóstwiająca, rzec można, jego przedewszystkiem, któremu życie swe całe poświęciła z zupełnem oddaniem, teraz oto potrzebuje dla swego spokoju tego nędznego świstka papieru, żadnej nieposiadającego wartości i pragnie się zabezpieczyć w razie, gdyby nie chciał czy nie mógł jej zapłacić!

Zachowanie wesołości i pogody umysłu, mimo ciągle wzrastającego niedostatku, wynikało u Pascala i Klotyldy z tej mianowicie przyczyny, iż nie po za sobą widzieć i odczuwać nie byli oni w stanie. Żyli, całkowicie przebywając wyżej, dalej, w szczęśliwej i bogactwem obfitej krainie miłości swej wzajemnej. Siedząc u stołu, nie wiedzieli co jedli, marzeniom oddani przypuszczać mogli, że spożywają najwykwintniejsze dania na złotych i srebrnych zastawach...

Wzrastającego naokoło nich niedostatku niedostrzegali bynajmniej, niedostrzegali nawet, iż Marcyna zagładzała się przy nich, poprzestając na lichych resztkach, schodzących ze stołu. Upojeni sobą, stąpać się zdawali po kosztownych kobiercach, wśród ścian makatami spływających, otoczeni przepychem i bogactwem niezrównanem... Był to najszcześniejszy okres ich miłości! Pokój ich na górze, staroświeckimi meblami zastawiony, był dla nich światem nieprzebranych błogości, niewypowiedzianego nigdy szczęścia, spływającego na nich wraz z każdym uściskiem. Sala dolna, gdzie tyle lat ubiegło im przy pracy, stanowiła ulubioną ich siedzibę dzienną; lubili wspomnienia, spowijające długą ich zażyłość a wspomnienia te rojnie i wesoło wyłaniały się tutaj najliczniej dla obojga. Stary ogród, otaczający domostwo, zarówno był im drogi, Sulejada była ich królestwem szczęśliwości, nad którem teraz lato rozpostarło swój namiot niebieski, słonecznymi, złotymi jasnościami promienny. W porannych godzinach snuli się po cienistych i balsamicznych ścieżkach sosnowego lasu, w południe przywabiał ich chłód źródła, wiecznie szemrzącego pod cieniem jaworów, wieczorem przebywali na tarasie przed domem, lub na klepisku, tchnącym nagromadzonym żarem dnia a teraz skąpanem w niebieskawem świetle nocy i mrużących tysiąca gwiazd. Napawając się błogością wspólnego dla siebie istnienia, nie mieli czasu, by dostrzedz grożącą im biedę; celem ich marzeń było żyć tak wiecznie zawsze razem i w zupełnem oderwa-

niu od reszty otaczającego ich świata. Uzuli się najbogatszymi, bo szczęśliwymi; cóż bo ich obchodzić mogły skarby, uciechy światowe, władze i potęgi najwyższe, wobec niewystawionej rozkoszy wzajemnego posiadania się...

Pod koniec sierpnia szczęśliwość ich zakłócaną być poczęła. Wśród życia rozkoszy, jakie pędzili, życia słodkiego bez troski i żadnych obowiązków, zdarzały się chwile pojawiającego się niepokoju i obawy o jutro, odczuwali przytem, iż wiecznie tak żyć nie można, iż żyć bez pracy złe jest i nagannie. Pewnego wieczoru Marcyana zawiadomiła, że zaledwie piędziesiąt franków pozostało jej z pieniędzy a zatem najwyżej dwa tygodnie żyć będzie o czem, i to jeszcze wyrzekłszy się podawania wina do stołu. Z drugiej zaś strony, potwierdzały się złowrogie wieści o zbiegłym notaryuszu Grandguillot; nie pozostawił on za sobą nic, stawał się w całym znaczeniu tego wyrazu niewypłacalnym i nikt z wierzycieli nie spodziewał się już jednego susa zobaczyć z powierzonych mu pieniędzy. Początkowo można było przypuszczać, iż sporą sumę przyniesie sprzedaż domu i dwóch folwarków, należących do notaryusza a których, uciekając, uwieść z sobą nie mógł; teraz wszakże wiadomem było powszechnie, iż te nieruchomości przepisane zostały na imię jego żony i podczas gdy on używał swobodnie górskiego powietrza i widoków w Szwajcaryi, ona gospodarowała spokojnie na jednym z folwarków, zdała od nieprzyjemności, mogących zakłócić jej życie w Plassans. W oburzeniu

swojem mieszkańcy Plassans utrzymywali, iż pobłażliwie dozwalała ona mężowi zawsze na wszelkie hulanki i z jej też wiedzą zabrał on z sobą aż dwie kochanki, nad helweckie jeziora. W obojętności swojej dla spraw pieniężnych, Pascal nie poszedł nawet do prokuratora Rzeczypospolitej, by rozmówić się bliżej o całej tej sprawie, mówiąc iż ma dosyć tego, co słyszy, na cóż więc dobrowolnie ma się narażać, by poruszoną raz jeszcze została brzydka ta historia, kiedy z całego płynącego od niej kału, ani żadnego dobra, ani pożytku niemożna już się było dla nikogo spodziewać.

Przyszłość zaczęła się przedstawiać w sposób zastraszający. Nędza, sroga nędza spaść miała lada dzień. Zdrowy rozsądek przeważający w Klotyldzie ostrzegł ją o tem przed innemi. Była ona wesolą i swobodną dla Pascala, lecz tylko w jego obecności, z chwilą wszakże jego wyjścia, chociażby chwilowego, drżała ze strachu i rozpaczy, pytając sama siebie, jak poradzić on zdoła z ciężarem utrzymania domu, starym już będąc i do wygod przywykłym. Przez dni kilka układała sobie plan zajęcia się pracą, zarabiania pieniędzy, dużo pieniędzy, malując i sprzedając pastele. Tylekrotnie słyszała, iż zachwycano się jej talentem, znajdując wielką w nim siłę i oryginalność, nie wątpiła więc ani na chwilę o praktyczności swego pomysłu. Zwierzyła się z tem Marcynie, polecając jej pewnego ranka, by zaniósła kilka namalowanych przez nią bukietów fantastycznych do sklepu z farbami, przy ulicy Sauvaire, słyszała bo-

wiem, że właściciel zna, czy też krewnym jest jakiegoś malarza, mieszkającego w Paryżu. Jako warunek stawiała wszakże, by żaden z jej obrazów nie był pokazywany ani sprzedawany w Plassans, tylko gdzieś jaknajdalej. Rozczarowanie poniosła srogie, kupiec bowiem przeraził się fantastycznością pomysłów i wykonania, wręcz oświadczył, iż nikt tego rodzaju obrazów nigdy nabyć nie będzie miał ochoty. Wiadomość ta napęłniła ją rozpaczą i łzy obficie polały się jej z oczu. Cóż zatem była ona warta? Jakże ciężko i upokarzająco jest uznać się i widzieć niedołęzną i do produkcyjnej pracy nieprzygotowaną! Marcyna koić musiała wielki ten smutek, mówiąc jej na uspokojenie, iż zapewne już tak zawsze było na świecie, że niewszystkie kobiety rodzą się jako przeznaczone dla pracy, jedne są na to, by rosły swobodnie, jak kwiaty w ogrodzie i czarowały wdziękiem swym i wonią, inne zaś stworzone są na pożytek codziennego życia, jak zboże, które ścięte jako podkład bytu jest uważane.

Marcyna ze swej strony również układała plany i zatrzymała się na tem, iż doktor powinien na nowo zająć się praktyką. Powiedziała to Klotyldzie, lecz ona natychmiast wykazała nieprzezwykłe trudności wprowadzenia tego planu w wykonanie. Właśnie wczoraj mówiła o tem z Pascalem. On również przemyślał o zajęciu się pracą, była ona jedynym dla nich ratunkiem. Przemknęła i jemu przez głowę myśl zajęcia się praktyką doktorską i otworzenia gabinetu konsultacyjnego. Lecz od

tak dawna zżył się z ideą, iż będzie leczył tylko biedaków! Jakże teraz odważy się kazać sobie płacić po tylu latach leczenia darmo? Wreszcie, czyż nie zapóźno rozpoczynać na nowo karierę w jego wieku?

I czy warto wobec baśni, które o nim krążyły z takim upodobaniem, baśni wytwarzających mu opinię człowieka genialnego o nadwyrężonym mózgu? Nie, stanowczo nie, bo wszelka próba w tym kierunku tylkoby mu zawód przynieść mogła, wyszedłby z niej boleśnie zraniony, z sercem rozgoryczonem a z pustemi rękoma, nie znalazłszy ani jednego pacjenta. Klotylda, zrozumiałwszy, jak dotkliwe dla niego mogły wyniknąć skutki, powstrzymywała go całą mocą od narażenia się na taką próbę; Marcyna również dała się przekonać i ustąpiła od powziętej myśli. Lecz rozmowa nad tą kwestyą nasunęła Marcynie myśl nową, przypomniała sobie bowiem o leżącym w szafie rejestrze, w którym niegdyś zapisywała czynione przez doktora wizyty. Wielu z tych dawnych pacjentów nie zapłaciło dotychczas a lista ich była długa, zajmowała ona aż dwie wielkie stronicy rejestru. Dlaczegożby teraz, kiedy bieda zawisła nad nimi, nie zażądać od tych ludzi, by zapłacili zalegające rachunki? Można się tem zająć cichaczem, tak iżby pan o tem nie wiedział. Tym razem Klotylda przyznała jej rację zupełną. Zajęły się tem natychmiast, spisując do spółki. Klotylda przejrzała księgę rejestrową i przygotowała rachunki a Marcyna poszła je przedstawić, żądając zapłaty, lecz nigdzie nie zapłacono jej ani susa; od drzwi do drzwi chodząc, wszę-

dzie słyszała jedną odpowiedź: zobaczymy, sprawdzimy i wtedy pomówimy z doktorem... Upłynęło dni dziesięć a nikt nie pojawił się z zapłatą. W domu było już tylko sześć franków, wystarczało więc zaledwie na dwa lub trzy dni, by wyżywić się jako tako.

Nazajutrz, wróciwszy znów z pustemi rękoma od pacjentów, Marcyna odwołała Klotyldę na stronę, by jej opowiedzieć spotkanie swoje ze starą panią Rougon, z którą dopiero co rozmawiała przy rogu ulicy de la Banne. Zdaje się, że pani Felicja wyczekiwała tam ukazania się Marcyny. W Sulejadzie nie bywała już oddawna. A nawet nieszczęście, jakie spadło na jej syna, nie rozbroiło jej detychezas, chociaż niejednokrotnie słyszała o stracie pieniężnej, jaką poniósł Pascal i o jakiej całe miasto mówiło.

Z przybraną miną surowej rygorystki i obrażonej matki, wyczekiwała w rzeczywistości chwili, gdy syn jej, pozbawiony wszelkich zasobów, przyjdzie sam do niej, prosząc o pomoc. Liczyła, iż stać się tak musi nieodzownie i dnia tego wyczekiwała z namietnem uniesieniem i niecierpliwością, skłonna do przebaczenia nielegalnych stosunków synowi, lecz wzmian żądać będzie uzyskania dawno upragnionych przez nią ustępstw. Tak, gdy już susa jednego mieć nie będzie w domu, wszak przyjdzie do drzwi moich zastukać a wtedy postawię mu moje warunki. Niech się z Klotyldą ożeni lub lepiej jeszcze, niech ją z Sulejady wyśle gdzie daleko. Lecz dzień upływał za dniem a nikt a drzwi jej domu nie pojawił się. Nie mogąc wytrzymać dłużej, zapragnęła spotkania

się z Marcyną i zatrzymawszy ją na ulicy de la Banne, z miną troskliwą zapytała jej o nowiny, udając zdziwienie, iż dotychczas Pascal nie uważa za stosowne zwrócić się do niej, do matki. Dała do zrozumienia, iż jej nie wypada uczynić pierwszego kroku ze względu na przynależną wiekowi jej powagę.

— Trzebaby o tem panu powiedzieć, dodała Marcyna. Bo dlaczegóżby się nie miał zwrócić do matki, znajdując się w potrzebie? Rzecz to prosta i naturalna.

Klotylda oburzyła się i zawołała z żywością:

— Nigdy! nigdy! Nawet nie chcę mu nasuwać podobnej myśli. Mistrz rozgniewałby się srodze i raczej miałby po temul Jestem przekonana, że wolałby zagłodzić się raczej, niż udać się do babki z prośbą o kawałek chleba.

Na trzeci dzień wieczorem, Marcyna podała im na obiad resztę sztuki mięsa, mówiąc:

— Już nie mam ani grosza, jutro więc będziemy je dli kartofle z solą... Od trzech tygodni nie piliście państwo wina. A teraz odzwyczaić się będziecie musieli i od mięsa.

Wiadomość tę przyjęli pogodnie, starając się rozśmieszyć Marcynę żartami.

— Ale sól jeszcze mamy?

— Mamy jeszcze, ale niewiele.

— Kartofle z solą, to rzecz wyśmienita, zwłaszcza gdy niema nic innego...

Gdy po chwili Marcyna odeszła do kuchni, Pascal wraz z Klotyldą śmiać się poczęli i żartować po ci-

chu z jej zadziwiającego skąpstwa. Toć miała ona trzosik niemały, skrzętnie zebrany i zachowany w nieznanem nikomu, lecz bezpiecznem miejscu a nigdy nie zaproponowała im najmniejszej pożyczki. Śmieli się i żartowali z niej, lecz czynili to bez urazy i żalu, pewnymi będąc, że myśl pożyczki nawet przelotnie nie mogła się pojawić w głowie Marcyny, nie myślała o tem, jak nie myślała o zerwaniu gwiazd z nieba dla przyprawienia ich w swych rądlach.

Gdy poszli na spoczynek, Pascal spostrzegł, iż Klotylda z gorączkowego niepokoju zasnąć nie jest w stanie. Zwykle o tej porze, gdy spoczywała w jego objęciach wśród ciemności i cała ciepłem jego ogrzana, zwykł ją był spowiadać; i teraz też ośmieliła się wyznać mu cały swój niepokój o niego, o siebie, o dom cały. Cóż będzie teraz z nimi? Grosza już nie mają na dni następne! Była chwila, w której zaważała się i chciała mu o babce powiedzieć. Lecz zabrakło jej odwagi i wyznała mu tylko o pokryjomu przed nim czynionych zabiegach u pacjentów; opowiedziała mu o księdze rejestrowej, którą odnalazły z Marcyną, o rachunkach, jakie przedstawiała a z których żaden przez nikogo nie został zapłacony. W innych okolicznościach byłby się Pascal rozgniewał i zmartwił najniezawodniej, słuchając wyznań podobnych, byłby urażony, iż tak postąpiono bez jego zezwolenia, wbrew obyczajowi, przyjętemu przez niego względem pacjentów. Dziś zamyślił się tylko i silnie był wzruszony, co wykazywało dostatecznie, jak odczuwał troskę groźnego ich położenia, mimo to, iż na-

pozór drwił z nadciągającej nędzy, traktrując ją nie-
dbale i jakby odniechcenia. Po chwili milczenia,
przebaczył Klotyldzie i przycisnął ją z rozczeniem
do piersi, mówiąc, że uczyniła dobrze, dłużej bo-
wiem żyć w takim niedostatku, było prawdzi-
wym niepodobieństwem. Przeszli do siebie mówić,
lecz Klotylda domyślała się a nawet pewną była, że
spać on nie może i przemyśla nad sposobami znale-
zienia pieniędzy potrzebnych dla opędzenia codzien-
nych wydatków. Była to pierwsza ich noc smutku
i zmartwienia, noc bezsenna. Ona rozpaczała, wi-
dząc go pogrążonym w przykrych rozmyślaniach, on
zaś nie mógł się uspokoić na myśl tę straszną, iż ona
chleba jutro mieć nie będzie!

Nazajutrz rano zjedli na śniadanie trochę owo-
ców. Doktor był cały ranek milczący, jakby sroga
walka toczyła się w nim wewnątrz. Dopiero oko-
ło godziny trzeciej, wydał się zdecydowanym stanowczo
i rzekł do Klotyldy:

— Trzeba się zacząć ruszać. Nie chcę, byś i dziś
wieczór poszła spać o głodzie. Idź włożyć kape-
łusz, wyjdziemy razem.

Patrzała na niego, chcąc odgadnąć jego postano-
wienie.

— Tak, wyjdziemy razem. Ludzie są mi winni
pieniądze i wam ich oddać nie chcieli, lecz należy
spróbować, czy i mnie osobiście oddać ich nie zechcą.

Powzięcie postanowienia tego rodzaju musiało
przyjść doktorowi z trudnością; po tylu latach bez-
płatnego leczenia, decydował się zmienić system

przyjęty i zawsze uprawiany. Ręce mu drżały, cierpieć musiał strasznie, chociaż siłą woli twarz miał uśmiechniętą i udawał zucha. Cierpienie jego widziała Klotyllda i sam głos jego niepewny, zacinający się od wewnętrznego wzruszenia, łzami napełnił jej oczy.

— Nie! nie, mistrzu, nie rób tego, nie chodź tam osobiście, zbyt wiele kosztować cię to będzie. Marcynę pošlijmy lepiej powtórnie.

Lecz Marcyna, obecna rozmowie, uznała, iż pan ma rację, chcąc sam załatwić tę sprawę.

— A to dlaczego pan nie ma iść sam? Nikomu wstydu nie czyni upominanie się o należność... Każdy powinien dbać o swoje i pilnować swego... Ja znajduję, że pan dobrze robi, chcąc tak uczynić, a nawet czas już doprawdy, by pan postąpił, jak na mężczynę przystało.

Tak więc o tej samej porze dnia, jak niegdyś, za czasów młodości, gdy wychodził z wizytami do chorych, wyszedł stary król Dawid—jak lubił się czasami żartem przezywać Pascal—wyszedł, ująwszy rękę Abisais. Nie byli jeszcze w łachmanach, on miał na sobie czarny tużurek ściśle opięty, ona ładną swą suknię z białego płócienka w czerwone grochy; lecz widmo nędzy widoczne było ich oczom i za biedaków uważali się oboje; idąc ulicą, szli samym jej brzegiem, chcąc jaknajmniej zabierać sobą miejsca. Słońcem zalane ulice miasta, puste były prawie. Lecz i ci, rzadka spotykani ludzie, oczami kłuli ich boleśnie; szli wszakże równo, nie przyspieszając kroku, chociaż serca mieli zalem ściśnięte.

Pascal postanowił wędrowkę swą rozpocząć od złożenia wizyty pewnemu byłemu urzędnikowi z magistratu, którego wyleczył z choroby krzyża. Wszedł a Klotylda usiadła tymczasem na ławce przy alei Sauvaire. Odetchnął, gdy zaraz na wstępie gospodarz domu, nie dając mu przyjść do słowa, rzekł, iż pobiera swoje dochody w październiku i nieomieszka wtedy odesłać swej należności. Drugą wizytę złożył siedemdziesięcioletniej staruszce, dotkniętej paralizem, lecz pani ta przyjęła go z miną obrażoną za to, że przysłał jej rachunek przez służącą, zachowującą się według niej niegrzecznie, tak iż musiał jej wyrazić swe ubolewanie, oświadczając, że załatwienie rachunku pozostawia jej uznaniu. Wszedł jeszcze na trzecie piętro do urzędnika, sprawującego urząd poborcy podatków, lecz zastał go cierpiącego, pogrążonego w niedostatku skutkiem choroby, więc się też nie odważył nawet wspomnieć o uregulowaniu rachunku. Był następnie u całej seryi ludzi zamożnych, kupców, adwokatów, u piekarza, lecz wszędzie napróżno, wszędzie znalazł się nawet pomiędzy nimi taki, który udawał, że nie rozumie o co rzecz idzie. Pozostawała jeszcze jedna wizyta u markizy de Valqueras, ostatniej przedstawicielki wielkiego arystokratycznego rodu, która, owdowiawszy, żyła w osamotnieniu z dziesięcioletnią swą córeczką; pani ta słynęła z bogactwa, ale zarazem i ze skąpstwa. Doktor odłożył wizytę u niej na sam koniec, tak mu się ona przykrą wydawała. Zadzwoił wreszcie przy bramie starożytnego jej pałacu,

którego monumentalne mury, wznoszące się na samym dole alei Sauvaire, pamiętać musiały jeszcze epokę Mazarina. Bawił on tak długo u markizy, iż w cieniu drzew spacerująca w oczekiwaniu na niego Klotylda poczęła się niepokoić.

Wyszedt wreszcie po półgodzinnej przeszło naradzie, i ucieszona jego nadejściem Klotylda zażartowała:

— No i cóż? Pewnie nie miała drobnych?

Lecz i ztąd wychodził z pustemi rękoma! Markiza skarżyła się przed nim, iż dzierżawcy nie płacą jej regularnie, lub nie płacą wcale.

— Wyobraź sobie, rzekł, tłumacząc się z przedłużonej swej wizyty, że córeczka jej jest bardzo chorą. Boję się, że będzie miała zapalenie płuc... Markiza prosiła, bym ją zobaczył, więc musiałem to małe biedactwo zbadać dokładnie...

Niedostrzegalny uśmiech okrążył usta Klotyldy.

— Więc zapisałeś jej lekarstwo?

— Naturalnie, czyż można było postąpić inaczej?

Ujęła go pod rękę, będąc bardzo wzruszoną, czuł, iż przycisnęła mocno jego ramię do serca. Przez chwilę szli, nie zdając sobie sprawy, gdzie idą. Nie mieli wreszcie już i gdzie iść, nie pozostawało im, jak wrócić do domu, nie zebrawszy susa jednego. Lecz doktor nie chciał wracać z niczem, nie chciał, by cały jej obiad stanowić miały kartofle z solą. Przeszli wzdłuż alei Sauvaire i zawrócili na lewo, w nową dzielnicę miasta; zdawało się, iż nieszczęście nad niemi zawisło i wiedzie krokami tych rozbitków...

— Posłuchaj, rzekł wreszcie, mam myśl... Spróbuję zająć do doktora Ramonda, on nam z chęcią pożyczycy tysiąc franków, które mu oddam, gdy się nasze interesa wyklarują.

Zrazu nie nie rzekła na te słowa Pascala. Odrzucony przez nią Ramond, ożeniony był teraz i mieszkał w ładnym domu pośród nowej części miasta; był on pięknym i w modzie będącym lekarzem, powodziło mu się wybornie. Na szczęście wiedziała dobrze o prawości jego charakteru, również jak o szlachetności jego serca. Jeżeli dotychczas nie był jeszcze u nich, to jedynie skutkiem wygórowanej swej delikatności. Przy spotkaniu kłaniał się im z życzliwym uwielbieniem, jakby się cieszył ich szczęściem.

— Może przykrość ci to sprawia?—zapytał z naiwną szczerością Pascal, który nietylko dom swój, lecz kasę swoją i serce, chętnieby roztworzył dla swego młodego kolegi.

Klotylda śpiesznie odpowiedziała:

— O nie! nie! Przykrości mi to nie sprawia żadnej. Przecież pomiędzy nami były zawsze najlepsze stosunki na szczerej życzliwości oparte... Zdaje mi się, że zrobiłam mu wielką przykrość swego czasu, lecz mi przebaczył... Tak, masz rację, nie mamy lepszego przyjaciela nad niego, więc chodźmy do Ramonda.

Lecz na wstępie doznali rozczarowania. Ramond bowiem wyjechał do Marsylii, wezwany na konsultację i dopiero nazajutrz wieczornym pociągami miał wrócić do Plassans. Wiadomości tej udzieliła im

młoda pani Ramond, dawna przyjaciółka Klotyldy o trzy lata on niej starsza. Pani Ramond była nieco zmieszana ich wizytą, lecz siliła się na wielką uprzejmość. Pascal nie wyjawiał jej rzeczywistego powodu swego przyjścia, pozorując je tęsknotą za towarzystwem Ramonda, którego dawno już nie widział.

Wyszedszy ztamtąd, Pascal i Klotylda uczuli się bardziej opuszczonymi i ostatecznie zgubionymi. Gdzież udać się teraz? Co począć? I szli znowu bez celu, bezmyślnie.

— Mistrzu—ośmieliła się wreszcie szepnąć Klotylda—nie mówiłam ci tego dotychczas, lecz Marcyna spotkała się temi dniami z babcią... Tak, babcia niepokoi się o nas i pytała się Marcyny, dlaczego nie udajemy się do niej, kiedy bieda nas ogarnia... A patrzaj, oto przed nami, tu niedaleko, drzwi jej domu...

I rzeczywiście z ulicy de la Banne, którą przechodzili, widniał plac Podprefektury. Lecz Pascal zadrżał na słowa Klotyldy, czem zmusił ją do umilknięcia.

— Nigdy! Czy słyszysz? Nigdy!... Ty sama czujesz, iż tam byś nie poszła. Mówisz mi o tem, bo ci smutno i przykro widzieć mnie na brukul. Mnie też smutno i przykro widzieć cię w tem położeniu. Tylko lepiej jest cierpieć, aniżeli uczynić krok niepowetowany, którego się potem wiecznie żałuje, i za który sumienie dręczyć nie przestaje... Nie chcę i nie mogę.

Minawszy ulicę de la Banne, weszli w biedną i starą część miasta.

— Woleę, stokrotnie woleę obcych poprosić o pomoc... Może mamy jeszcze przyjaciół, lecz są oni tylko między mieszkającymi tu biedakami.

Skazawszy się na chleb żebraczy, szedł Dawid wsparty na ramieniu Abisais; chodząc od drzwi do drzwi, stary król prosił o jałmużnę, bo jedyne dobro, jakie mu pozostało, była już tylko ta młoda postać uroczej oblubienicy miłości pełnej, dziś go swem ramieniem od upadku chroiąca. Była już godzina szósta i żary dnia opadały powoli a wązkie uliczki napełniały się ludźmi; mieszkańcy roboczej tej dzielnicy dobrze znali ich oboje, kochali ich, co widniało z powitań i przyjaznych uśmiechów. Do czci dawnej, przyłączyła się teraz litość, bo wszystkim była wiadomą ich utrata majątku.

Dziś więc wydawali się oni jeszcze piękniejszymi bo wznioślej pięknymi, on o głowie bielejącej srebrną siwizną, ona jasna i złotowłosa a oboje gromem nieszczęścia dotknięci. Biło ztąd od nich większe jeszcze zespolenie i zjednoczenie zupełne, szli z głową podniesioną, dumni promieniejącą swą miłością i chociaż rażeni losu zrządzeniem, szli wspólnie, on, choć zachwiany, to wszakże wsparty na młodem jej ramieniu, podtrzymany mężnem jej sercem. Przechoǳący koło nich ludzie w roboczych ubraniach, bogatszymi byli od nich, pieniądze pobrzękiwały w niejednej kieszeni! Lecz któżby ośmielił się dać im jałmużnę susową, której nie odmawia się nigdy zgłodniałym? Przy ulicy Cauquoin, chcieli wstąpić do wdowy Guirarde, lecz im powiedziano, iż umarła z ża-

lu po synie i w zeszłym tygodniu odbył się pogrzeb. Zaszli jeszcze do dwóch innych domów, lecz wszędzie napróżno. Przemysłiwali nad tem, gdzieby można chociaż dziesięć franków pożyczyć. Od trzech godzin szukali drobnej tej kwoty, błąkając się po mieście.

Ach to Plassans, trzema wielkimi ulicami przecięte: aleją Sauvaire, ulicą de la Banne i ulicą de Rome; to Plassans o trzech odmiennych dzielnicach, ileż ono mieściło w sobie domów o wiecznie przymkniętych żaluzjach, ile kryło rozpusty, gry hazardowej uocą po klubach kryjącej się, a z pozoru takie było spokojne, jakby słońcem tylko spalone; wędrowali oni po jego ulicach i uliczkach, coraz to wolniejszemi, bardziej ociężałemi krokami a słońce chyliło się już coraz niżej, kończąc skwarny dzień sierpniowy. W alei napotkali szereg starych wózków, rozwożących ludzi do sąsiednich górskich wiosek, stały one teraz odprężone i jakby w oczekiwaniu odpoczywające; przed kawiarniami, w cieniu jaworów alei, siedzieli liczni goście a między nimi tacy, którzy od siódmej godziny z rana nie ruszyli się ztąd na chwilę, patrzeli na przechodzącego Pascala z Klotyldą i uśmiechali się znacząco. Czuli, iż również nie wzbudzają sympatyj w nowej dzielnicy miasta, gdzie przed ładnemi domami i domkami stała służba, skierowali się więc ku pustym ulicom dzielnicy Saint-Mare, gdzie wysokie mury starożytnych pałaców, przyjazny spokój i ciszę słały dokoła. Ztamtąd znów skierowali swe kroki ku starym i biednym ulicom i doszli tak aż do

katedry św. Saturnina, której niższe framugi zasłaniał cień gęstych, wyniosłych drzew ogrodu, okalającego ją rozwartym wieńcem; rozkoszna cisza panowała przy kościele, lecz żebrak, dopominający się od nich jałmużny, spłoszył ich zaraz na wstępie. W sąsiedztwie dworca kolejowego, powstawała nowa część miasta, coraz więcej wyrastało tam domów, budowano je gwałtownie, z pośpiechem; szli teraz ku temu rodzącemu się przedmieściu. Potem cofnęli się nagle, aż do placu Podprefektury, jakby z odrodzoną nadzieją, iż spotkają wreszcie kogoś ze znajomych, i że ten ktoś, sam pierwszy zaproponuje im przyjsście z pomocą. Lecz spotkali się tylko z dobrotliwym uśmiechem miasta, przebaczającego im, w imię ich miłości i niezwykłego ich piękna. Ostre kamienie bruku kaleczyły im nogi. Postanowili wrócić do domu, do Sulejady. Wracali równie biedni i ubodzy, jak w chwili, gdy ją opuszczali. Wielkie im tylko obojgu przybyło znużenie; młoda, w rozkwicie piękności swej Abisais, z pokorą rozmiłowanej w panu swym niewolnicy, wiodła staroego, odartego ze skarbów króla Dawida, upadającego po żebraczej swej wędrówce, odbytej bez skutku żadnego...

Była już godzina ósma. Marcyna oczekiwała ich przyjsścia niecierpliwie, lecz ujrawszy ich, natychmiast zrozumiała, że w kuchni nic nie będzie miała do roboty. Powiedziała im, że jest już po obiedzie a Pascal, widząc ją niedomagającą, polecił, by zaraz poszła na spoczynek.

— Tak, tak, dorzuciła Klotylda, my się dziś bez

ciebie obejść możemy. Wszak kartofle już są na ogniu, więc gdy się ugotują, sami je sobie podamy.

Stara sługa w złym dziś była humorze, wreszcie uległa ich namowom. Manrotała zeicha pod nosem a z dolatujących wyrazów, domysleć się można było sensu: „gdy się wszystko już zjadło, niewarto siadać do stołu“. Przed pójściem do swego pokoju, rzekła jeszcze:

— Już niema owsa dla Bonhomme'a. I dziś konisko dziwnie jakoś wygląda, może pan pójdzie zobaczyć, czy nie jest chory.

Zaniepokoiłi się tą wieścią i zeszli natychmiast oboje do stajni. Zasłużony stary Bonhomme leżał na słomie i drzemał. Od sześciu miesięcy nie wyprowadzano go ze stajni, tak dalece cierpiał na zreumatyzmowane nogi; prawie też i ośleplł zupełnie. Wszyscy się dziwili, że Pascal pielęgnował to bezużyteczne ze starości stworzenie a Marcyna niejednokrotnie mówiła, iż przez litość trzebaby go już uśmiercić. Lecz tak Pascal, jak Klotylda, z oburzeniem odpierali podobne namowy, czyniące na nich wrażenie podszeptów do zbrodni, do uśmiercenia starego, niedołęznego krewnego, na czas umrzeć niechającego. Niel niel Bonhomme służył im wiernie całe ćwierć wieku, niechże dożyje w spokoju ostatnich dni swoich i niech umrze wśród tych, z którymi żył się od tak dawna! I z całą starannością doktor zbadał dzisiejszego wieczora stan zdrowia dogorywającego na słomie konia. Oglądał mu nogi, działa, osłuchiwał serce.

— Nie, nic mu nie jest, rzekł wreszcie. Starość

mu tylko dokucza... Ach! mój poczciwy stary, już ty nas wozić nie będziesz nigdy, jak to niegdyś bywało!...

Brak owsa zmartwił Klotyldę. Lecz Pascal upewnił ją, iż w wieku Bonhomme'a i przy ciągłym wypoczynku, byle co i w małej ilości, wystarczało na zaspokojenie jego głodu.

Podawała mu wówczas garstkę trawy, przyniesionej w wiązce przez Marcynę; ucieszyli się oboje, gdy koń chwycił wargami podaną sobie trawę i przez przyjaźń dla swoich państwa, gryźć ją począł z wolna.

— Oho—rzekła, śmiejąc się Klotylda—masz jeszcze apetyt, więc udając chorego, chciałeś nas tylko sprowadzić do siebie... Dobranoc ci teraz, śpij spokojnie!

I pozostawili go jego drzemce, lecz zwyczajem przyjętym z lat dawnych, pocałowali go kolejno nad prawe i lewe nozdrze.

Noc już zapadła, gdy weszli do domu i przyszła im myśl zamknięcia wszystkich drzwi na dole i zanieśienia obiadu na górę, do ulubionego pokoju Klotyldy a teraz wspólnej im sypialni. Szybko wyłożyła ugotowane kartofle i z półmiskiem pobiegła na górę, zeszła potem po karafkę wody i solniczkę; on zaś zaniósł tam kosz z winogronami pierwszego tegorocznego zbioru; zerwali je z najwcześniej dojrzewającego krzewu, rosnącego w dole tarasu. Zamknęli drzwi i nakryli mały stoliczek, w pośrodku którego stanął półmisek z kartoflami a po bokach karafka i solniczka; tuż obok na krześle, mieli pod ręką kosz z wino-

gronami. I zasiedli do uczty rozweseleni i szczęśliwi, wspominając sobie owe śniadanie wspólnie przyrządzone we dwoje, gdy nazastrz po nocy ślubnej, Marcyna, zagniewana, zamknęła się w swoim pokoju, nie chcąc im otworzyć, ani się nawet odezwać do nich. Taż sama błogość uczucia samotności we dwoje, ogarnęła nimi upajająco, usługiwali sobie wzajemnie, siedząc tuż obok siebie i jedząc z jednego talerza. I ten wieczór, gdy nędza uwidoczniła się im po raz pierwszy, chociaż z wysiłkiem starali się przez dzień cały jej zapobiedz, wieczór ten stał się dla nich najrozkoszniejszą chwilą ich istnienia. Odkąd weszli i zamknęli się w przyjaznych sobie ścianach ukochanego tego pokoju, zdawało się im, iż niezmierne przestrzenie oddzielają ich od świata i od miasta, które dzień cały przebiegali z trudem mozolnym; zapomnieli teraz o uciążliwych tych godzinach, straconych tak boleśnie i tak próżno. Lekceważyli obecnie wszystko, co było po za ich miłością, nie wiedzieli i wiedzieć nie chcieli o swoim ubóstwie, ani o tem, czy jutro znów szukać nie będą zmuszeni ręki przyjaznej, która z pomocą im przyjdzie, by z głodu nie zmarli. Pocóż bać się mieli nędzy i tyle się kłopotać, kiedy wystarczało im być razem, aby osiąść najwyższą rozkosz i szczęśliwość?

On wszakże jakby się przeraził ogarniającą ich radosną wesołością.

— I powiedzieć, żeśmy się tak bali dzisiejszego wieczoru! Ale czyż to rozsądnie poddawać się szczęściu? Czyż my wiemy, co jutro z nami będzie?

Lecz ona zakryła mu usta drobną swoją rączką.

— Nie mów tak, nie mów! Jutro kochać się będziemy, tak jak się dziś Kochamy... Kochaj mnie, Kochaj z całego serca, tak jak ja Ciebie Kocham.

Nigdy nie jedli z lepszym apetytem. Obrawszy sobie kartofle, gryzła je łakomie i ze śmiechem, mówiąc, że są wyborne, nieporównane, lepsze od najwytworniejszych potraw, wychwalanych przez wybrednych smakoszków! On również zjadał z dawno niedoznaną przyjemnością. Popijali wodę, która boskim nektarem wydawała się im obojgu. Przyszła kolej na deser i winogrona, świeżością swą i słodyczą zachwycali ich; porównywali je do życiodajnego soku ziemnego, przepelnionego złotem promieni słonecznych. Obfitość spożytego jada, wody i owoców oddziały na nich podniecająco a wesołość serc ich rozmówionych główną była tego przyczyną. Nie pamiętali aby kiedykolwiek taką ucztę mieli w swem życiu. Nawet owo pierwsze śniadanie, spożyte we dwoje, jakkolwiek z bogatszych potraw złożone, nie przyniosło im dzisiejszego ich upojenia, tej radości z życia płynącej, tego szczęścia pozostawiania we dwoje i zadowolenia ztąd właśnie czerpiącego swe źródło. Uczucie to zamieniało w złoto najszczerze całą zastawę przed nie- mi stojącego nakrycia, a ubogie jado w niezrównaną ucztę, bogom może tylko dostępną.

Jedli prawie w ciemności, bo nie chciało się im lampy zapalać i upojeni swem szczęściem szli na spoczynek. Okna zostawili otwarte a przez nie widniało letnie, piękne niebo; podmuchy wiatru płynęły swo-

bodnie, żar skwaru unosząc jeszcze w sobie wraz z lekkim zapachem ziół i lawendy. Na horyzoncie jaśniała wielka tarcza księżycowa w całej swej pełni a światło jej pokój napełniało srebrzystymi blaskami, przy których widzieli się dokładnie, lecz jakby w marzeniu niewysłowionego uroku i słodyczy.

Obnażona i światłem tem skąpana, padła w jego objęcia, królewskim darem swego ciała wieńcząc ucztę w upojeniu spędzoną. Nocy poprzedniej, po raz pierwszy zadrżeli z obawy nad swoją przyszłością, instynktem wiedzeni, trwożyli się przed niepewnością swego położenia. A oto teraz świat znikł dla nich zupełnie; żyli tylko sobą, zamieniając noc dzisiejszą w rozkosz błogostawioną a przez dobrą matkę naturę im zesłaną; po za łączącą ich miłością, pozostawała tylko nieświadomość.

Rozwarte miała ramiona, cała jemu oddana, i oddająca się jemu tylko.

— Mistrzul mistrzul chciałam pracować, lecz się dowiedziałam, iż praca moja żadnej nie ma wartości, nawet na jeden kąsek chleba dla ciebie zarobić nie potrafię!... Nie mogę więc, jak tylko kochać ciebie, być twoją i rozkosz ulotnej chwili dawać ci w ofierze. Lecz rozkosz twoja szczęście moje stanowi, mistrzul Żebyś wiedział, jak dalece szczęśliwą się czuję, widząc, że piękną ci się wydaję, i z tej piękności mojej dar mogę ci składać... Tylko ją posiadając szczęśliwą jestem, ponieważ w darze złożona, upojenie rozkoszy ci sprawa.

Tulił ją do siebie z najwyższem uniesieniem, szepcząc miłośnie:

— O tak! jesteś piękna! najpiękniejszą i najbardziej pożądaną! Wszystkie skarby świata niewarte są cząstki, najdrobniejszej cząstki ciała twójego! Każdy jego włoszek nieoszacowanym jest bogactwem. Chciałbym móżdż każdą rzęsę twej powieki, okryć pocałunkami, tak jak wierzący, relikwie całować zwykli!...

— Mistrzu! mistrzu! posłuchaj mnie jeszcze: radość moja jest tem większą, iż ty jesteś wiekowy a ja młodość ci moją przynoszę, bo dar, który ci z niej składam, większej nabiera dla ciebie wartości. Gdybyś był równy ze mną latami, ciało moje mniej byłoby cenną dla ciebie słodyczą i jabym przez to mniej była szczęśliwą... Młodość moja i piękność dumną maie dziś czynią bo twoje uszczęśliwienie stanowią, błogo mi, iż je posiadam, bo ku rozkoszy twojej oddać ci je mogę.

Drżał z przepętniającej go szczęśliwości, oczy zwilgotniałe miał łzami podziękii za to zupełne się mu oddanie, uwielbiał ją niewypowiedzianem uczuciem wdzięczności.

— Ty mnie najpotężniejszym czynisz bogaczem, ty mnie upajasz darami swojemi! Rozpływam się w źródle z ciebie płynącym boskich błogości, jakich nigdy żadne ludzkie nie zaznało serce!

— Bierz mnie, mistrzu! Niech zniknę, niech się rozpłynę w zjednoczeniu z tobą i w tobie... Bierz moją młodość, bierz ją całą i na raz jeden w pocałunku ust twoich! Niech upojeniem twojem się stanie i wyczerp ją całą, niechaj tylko jej słodycz na ustach two-

ich osiądziel! Szczęśliwą mnie tem uczynisz, tak iż wdzięcznością bezgraniczną dla ciebie zapłonę... Mistrzul Bierz moje usta, kiedy świeżemi są one dla ciebie! Bierz moje technienie, jeśli czystość jego miłujesz, bierz moją szyję, bo miłą jest dla ust twoich dotknięcia, bierz moje ręce i stopy, bierz ciało moje, kiedy ci się ono rozkwitającym kwiatem wydaje, bierz jego atlas, woniejący dla upojenia twego... Czy słyszysz, mistrzul Bierz mnie i ciałem się mojem napa- waj, jakoby kwieciem dla ciebie w bukiet twitem! Niechaj będę przedziwnym owocem, tobie na spożycie w świeżości swej podanym! Niechaj stanę się pieszczotą nieskończonej błogości, w której kąpać się nigdy nie przestaniesz! Ja jestem twoją, dla ciebie u stóp twoich wyrosłym kwiatem ku ukontentowaniu twemu, jestem wodą, płynącą ku odświeżeniu twemu, jestem krwią życia, ku odmłodzeniu twojemu dla ciebie kipiącą... A staję się niczem, jeśli mnie swoją mieć nie chcesz!

I znów była jego, nową miłością złączona. Promień księżycyca padł na nią właśnie, blaskiem swem odsłaniając wszystkie piękności, nagość jej bóstwem czyniące. Ukazała się jak nieśmiertelna bogini piękności kobiecej, o wiecznie wiosennym rozkwicie. Nigdy jej jeszcze nie widział tak młodzieńczą, tak białą i boską. Dzięki jej składał za dar wspaniały, który mu z ciała swego złożyła, dziękował jak za skarby nieoszacowanej i nieskończonej obfitości. Jakież dar równać się może z darem młodego ciała oddającej się mu kobiety, oddającej się całym swem jeste-

stwem, powodzią życia, nowej istoty początkiem. Marzenia ich temi obecnie pobiegły szlakami, marzyli o dziecku z miłości ich powstałem i opływające ich szczęście nowej jeszcze nabrało potęgi, nowe niosąc ponęty do królewskiej biesiady, której rozkoszy najpotężniejszy władca świata mógł pozazdrościć.

Lecz zaraz nocy następnej, bezsenność nużąca zawiła nad obojgiem. Nie zwierzali się sobie z dręczących utrapień swoich, i wśród ciemności, napętniających kirem smutku pokój ten kochany, leżeli obok siebie, sen udając, a w rzeczywistości pogrążeni w myślach nad pogarszającym się położeniem swoim. Zapominając o sobie, dręczyli się jedno o drugie. Zaczęli teraz robić długi. Marcyna brała na kredyt chleb, wino i mięso, czyniła to z zakłopotaniem i niezręcznymi kłamstwami chcąc ukryć nędzę swoich państwa, chociaż o niej wszyscy wiedzieli. Przyszła doktorowi myśl zaciągnięcia pożyczki hipotecznej na Sulejadę, lecz był to środek rozpaczliwy, ostatni. Wszak jedynym jego majątkiem była tylko Sulejada, wartująca co najwyżej dwadzieścia tysięcy franków a w razie sprzedaży ledwie piętnastu tysięcy mógł się za nią spodziewać; po za tem pozostawała już tylko nędza, ciężka, bezgraniczna nędza, życie na bruku, bez kąta własnego dla złożenia głowy. Klotylda błagać go nie przestawała, by zechciał się powstrzymać z powzięciem ostatecznej decyzji, pragnęła jeszcze czekać, dopóki ostatnia nadzieja nie zostanie im odjętą.

Minęło dni kilka. Z początkiem września po-

goda się zmieniała; szalonej gwałtowności burze szkody czyniły w całej okolicy; cała część muru ogrodowego runęła, i nie było za co zająć się jego poprawieniem, wyłom ten raną otwartą legł na Sulejadzie. Kupcy, niechętnem okiem patrzyli na Marcyne. A pewnego ranka stara służąca wróciła splakana ze swym koszem z miasta, mówiąc, że jej dają resztki, zamiast mięsa. Jeszcze dni kilka a jasnym było, że i taki kredyt urwać się musi. Trzeba było bezwzględnie temu zaradzić i znaleźć pieniądze na codzienne drobne wydatki.

W poniedziałek, wraz z myślą o rozpoczynającym się tygodniu, Klotylda bardziej niespokojną była, niż dotychczas. Zdawało się, iż toczy z sobą walkę zawziętą, wreszcie po drugim śniadaniu, przy którym zauważyła, iż Pascal nie chciał jeść swojego kawałka mięsa, powzięła jakieś postanowienie i tą decyzją wydała się nieco uspokojoną. Wywołała Marcyne, włożyła do jej koszyka naprędce zrobiony pakiecik i mówiąc, że chce zanieść komuś trochę starego ubrania, wyszła z nią na miasto.

W dwie godziny później wróciwszy, blada była bardzo. Ale wielkie, piękne jej oczy, pogodnym jaśniały blaskiem. Podeszła zaraz do Pascala i rozpoczęła swą spowiedź, patrząc na niego z ufnością.

— Przychodzę prosić o przebaczenie, mistrzu, bo nieposłuszną byłam względem ciebie i uczyniłam coś, co niezawodnie zmartwi cię bardzo...

Nie zrozumiał znaczenia tych słów i zapytał z niepokojem:

— Cóż takiego uczynić mogłaś?

Powoli, nie spuszczać go z oka, wyjęła z kieszeni kopertę i rozłożyła będące w niej bilety bankowe. Naraz odgadł wszystko i zawołał boleśnie:

— Tyś klejnoty moje sprzedawała! Podarki moje spieniężyłaś!

Zazwyczaj dobry i łagodny, uniósł się teraz gniewem, pełnym bolesnego wzruszenia. Chwycił ją za rękę i brutalnie ścisnął je nerwowo.

— Cóżżeś uczyniła, nieszczęsna! Serce moje zaprzedałaś! Toż miłość nasza, najdroższe nasze wspomnienia z klejnotami temi były złączone, a ty poszłaś je wymienić na te szmatki pieniądze! Klejnoty, które dla ciebie odszukiwałem z radością, pamiątki chwil niewypowiedzianie błogich, twoje dobro zmieniałaś na pieniądze, i myślisz, że ja zechcę z nich użytkować? Czyż to możliwe? Tyś chyba nie pomyślała nad ogromem bólu, jaki sprawić mi to może?

Odpowiedziała łagodnie:

— A ty przypuszczasz, mistrzu, że ja mogłam patrzeć obojętnie na smutne nasze położenie, na brak chleba w domu, mając pełną szufladę bransolet, naszyjników, pierścieni? Wzdrygałam się ze wstrętu sama na siebie, iż dotychczas nie zrobiłam tego, co się teraz stało, lecz dłużej trudno mi było wytrwać w roli skąpej egoistki... A jeżeli chcesz wiedzieć, jak przykro mi było rozstawać się z twojemi darami, mistrzu, to wiedz, iż cierpiałam tak bardzo na samą myśl o tem, iż lękałam się do chwili ostatniej,

azali odwagi mi nie zbraknie! Lecz uczyniłam, co uczynić byłam powinna, po za tem posłuszną ci być nie przestanę, jak również nigdy nie przestanę cię miłować.

On wciąż konwulsyjnie ścisnął jej rękę, tak iż łzy potoczyły się po jej policzkach z doznawanego bólu, więc dodała jeszcze po chwili z równą łagodnością i słabym uśmiechem:

— Nie ścisnąj mnie tak mocno, bo ból mi sprawiaasz silny.

Wstrząsnął się cały wielce wzruszony i zapłakał jak dziecko.

— Bydłciem jestem, że nie panuję nad moim gniewem... A gniew mój jest niesłuszny. Uczyniłaś dobrze a nawet inaczej uczynić nie mogłaś. Przebac mi, przebac. Lecz tak mi przykro widzieć cię ogołoconą z tego, coś lubiła! Daj mi już teraz rękę swe kochane, biedne rączki twoje, uleczyć je muszę...

Delikatnie ujął jej rękę i obsypywał pocałunkami, pieszcząc je i chwając, że jeszcze są piękniejsze bez ozdób i złota. Klotylda natychmiast odzyskała zwykłą swą wesołość i zaczęła opowiadać całą swą wyprawę do miasta z Marcyną, jak odnalazły kupcowę, od której ów piękny stanik koronkowy pochodził, jak po obejrzeniu klejnotów targowały się długo, bez końca, aż wreszcie zgodziły się sprzedać wszystkie za okrągłą sumę sześciu tysięcy franków. Znów doktor powstrzymać się musiał od wybuchnięcia. Sześć tysięcy franków! Kiedy tak niedawno koszto-

wały go one więcej, niż trzy razy tyle; przeszło dwadzieścia tysięcy za nie zapłacił!

— Słuchaj, rzekł wreszcie, biorę te pieniądze przyniesione przez ciebie, ale wiedz o tem, że one są twoją własnością. Przysięgam ci, że będę teraz skąpy, bardziej nawet skąpy od poczciwej naszej Marcyny, i dawać jej z nich będę tylko na najniezbędniejsze nasze wydatki a reszta, schowana w biurku, będzie zawsze gotowa na twoje zażądanie, mam nadzieję wszakże, iż zdołam z czasem dopełnić szczyrbę, jaką dziś musimy w tych sześciu tysiącach koniecznie uczynić.

Przygarnął ją do siebie i posadziwszy na kolanach, ścisnął z najwyższym uniesieniem. Zniżywszy głos, zapytał, szepcząc do ucha:

— I ty wszystkie, bez wyjątku wszystkie, klejnoty sprzedałaś?

Nie odrzekła nic, lecz cofnąwszy się nieco w tył, pełnym wdzięku giestem, szukać zaczęła końcami swych zgrabnych paluszków, w uchylonym pod szyją staniku. Cała zapłoniona, uśmiechała się ku niemu. Wreszcie wydostała z za stanika cienki, złoty łańcuszek, na którym zwieszało się siedem pięknych pereł, jak siedm gwiazd mlecznych. Od pereł tych wionęła odurzająca woń ciepłego jej ciała. Naszyjnik i ona, jedną całość tworzyć się zdawały, jedyny ten obecnie klejnot, ciało jej zdobiący, streszczał w sobie całe piękno tajemnych jej wdzięków. Ukazawszy go, błysnąwszy nim, czempredzej spuściła go na piersi i ukryła zazdrośnie.

Jemu również twarz cała spłonęła, tak gwałtowne

uczucie radości ozwało się w sercu. Chwycił ją uściskiem pełnym namiętnego szału.

— Ach, jak to pocziwiel! Jakże cię Kocham!..

Wszakże wspomnienie sprzedanych klejnotów wciąż mu ciężarem było bolesnym a ból ten wzmagał się, gdy roztworzywszy biórko, oczy jego spotykały zwitek banknotów otrzymanych za nie. Wtedy przedstawiał sobie w myśli grozę widniejącej przed nimi nędzy i wiek swój podeszły; mając już blisko lat sześćdziesiąt, nie mógł rozpoczynać rojeń zdobycia majątku swoją pracą, stawał się więc bezużytecznym. Nie mógł więc już zarobić na chlebdla ukochanej przez niego kobiety!... Cały szereg podobnych zapytań budził go do straszliwej rzeczywistości, napełniał niepewnością i niepokojem, przerywając sen jego czarownicy o wiecznie trwać mogącej miłości i szczęściu. Ocknąwszy się z dręczących go rozmyślań, czuł się starym i złamanym, ulęknionym przed nędzą a przedewszystkiem do szaleństwa cierpiącym i złym na siebie, jakby z wyrzutu za popełnioną jakąś zbrodnię. Tak, niewątpliwie, czuł, iż popełnił w życiu swem czyn, na potępienie zasługujący.

Teraz jaśniej ujrzał rzecz całą. Pewnego ranka będąc sam, otrzymał list z miasta, dziwił się więc, iż nie poznaje charakteru pisma. List nie był podpisany; po przeczytaniu pierwszych kilku wierszy, ogarnęła go ochota nie czytać dalej, lecz podrzeć i rzucić do kosza; zawahał się jednak, usiadł a drząc ze wzruszenia, doczytał do końca. List pisany był stylem przyzwoitym, długimi, umiejętnie rozwi-

jającemi się zdaniem, z umiarkowaniem, lecz stanowczo, jak nota dyplomatyczna, mająca za zadanie wyjaśnienie, przekonywające o słuszności swych wywodów. Dowodzone mu z obfitością argumentacyi, że skandal, mający miejsce w Sulejadzie, trwa już nadto długo. Jeżeli miłość namiętna może starczyć za tłumaczenie w pierwszych chwilach swego wybuchu, to wszakże człowiek w jego wieku będący, łatwo zrozumieć powinien, iż stan ten rzeczy trwać dłużej nie może, bez ściągnięcia ogólnego potępienia i pogardy, wobec faktu nadużycia niewinności młodej krewnej, jakiego dopuścić się na jej zgubę i nieszczęście. Znaną jest przewaga, jaką posiada nad jej umysłem, nie więc dziwnego, że w nią wmówić zdołał to pozorne szczęście, któremu się ona poświęcać może tylko przez litość; lecz czyż on może przypuszczać miłość z jej strony dla takiego, jak on starca? Żywi ona tylko ku niemu przyjaźń w połączeniu z wdzięcznością; czas już wielki uwolnić ją od tych spóźnionych zachcianek miłosnych zgrzybiałego kochanka, i tak już ucierpiała ona zbyt wiele, tracąc dobrą opinię, skazana na wieczną poniewierkę, ni żona, ni matka. Teraz, kiedy utracił posiadany majątek, miasto całe spodziewa się po nim, iż nie mogąc jej nawet dobrobytu po sobie zapewnić, postąpi natychmiast z uczciwością, na jaką go może stać jeszcze, i rozłączy z nią swe życie, by mogła się losem swym zająć i lepszą przyszłość dla siebie przygotować. List kończył się maksymą moralną, iż prędzej czy później, złe nie mija należnej mu kary.

Po przeczytaniu pierwszych zaraz wyrazów, Pascal domyślił się, iż anonimowy ten list pochodzi z rąk jego matki. Dyktowała go stara pani Rougon i Pascalo- wi zdawało się słyszeć intonację jej głosu. Z początku ogarnęła go złość wielka, a w miarę czytania bladł i trzął się cały, będąc już od jakiegoś czasu silnie zdenerwowanym obecnem położeniem. Tak, list ten nieubłaganą prawdę w sobie zawierał, jakże mógł dotychczas nie mieć srogich wyrzutów sumienia, on, stary, obecnie zrujnowany a przywłaszczający sobie Klotyldę na własność! Wstał, podszedł do lustra, i długo wpatrywał się w twarz swoją, pokrytą zmarszczkami a okoloną siwowłosą brodą; oczy mu zasły łzami rozpaczy na widok tej starości. Zimno przeszło go straszne a zimno to pochodziło z przekonania, iż powinien się rozłączyć z Klotyldą, rozłąka stawała się konieczną, nieuniknioną w swej fatalności. Odtrącał myśl tę od siebie, niemogąc przypuścić, by kiedykolwiek mógł się z nią pogodzić; czuł też zarazem, iż myśl owa natrętnie nasuwać mu się będzie, nie pozostawiając chwili wypoczynku; czuł, iż obecnie stanie się ofiarą walki pomiędzy rozumem a sercem i walka zakończy się poddaniem, wyczerpawszy w nim łzy i krew do ostatka. Drżał z obawy słabości swej przed straszną chwilą, gdy się na odwagę rozłączenia zdobędzie. Początek nieodzownego tego końca rozpoczął się teraz dla niego, zawiniwszy na tyle względem Klotyldy, tak młodej i tak pięknej, powinien przyjąć obowiązek

uratowania jej przed smutnym losem, jaki ją przy nim oczekuje.

Niektóre zdania listu brzmiały mu wciąż w uszach, męczarnię zadając srogą. Na mocy słów tych złowrogich, wmawiać w siebie począł, iż Klotylda nie kocha go i kochać nie może, okazuje tylko litość, wpływającą z wdzięczności. Przypuszczał, iż należy mu w to uwierzyć, dla ułatwienia sobie poświęcenia, do którego się przygotowywał, niechaj się więc czempredziej utrwalić w tem przekonaniu zdoła, by już dłużej nie korzystać z jej uczuć, służących tylko na zaspokojenie potwornie egoistycznej jego miłości. Postanowił badać ją bliżej, wystawiać na próby, lecz zawsze równie była czułą i namiętnie rozmiłowaną w jego objęciach. Rozpaczał, iż nie znajduje na tej drodze środka, mogącego ułatwić rozstanie; a w tych warunkach okazywana przez nią miłość, droższą ją tylko czyniła. Znów silić się począł na uchwycenie nowych powodów, wykazać mogących konieczność rozstania. Zbierał i rozpatrywał przyczyny. Życie, jakie wiedli od kilku miesięcy, bez zobowiązań i bez pracy, złem było samo przez się. Siebie uważał już tylko za człowieka dojrzałego dla ułożenia się w grobie, ale życie takie, jakże złem było dla kobiety w wieku Klotyldy; wyjdzie z niego zniedołężniała, zepsuta, pozbawiona i niezdołna woli. Sam ją marnował, tworząc z niej bóstwo, głuchy na ogólny skandal i pośmiewisko. To znów wyobrażał sobie nagłą śmierć swoją — wtedy ona pozostałaby na bruku, otoczona nędzą i pogardą ludzką. Niktby się nie zlito-

wał nad losem nieszczęsnej, skazanej na wieczne tułactwo bez męża i dzieci. Nie! nie! Nie powinien dalej trwać w spełnianiu tak szkaradnej zbrodni, i dla kilku dni szczęścia, jakie mu jeszcze życie może wymierzyć, skazywać ją na długie dnie hańby i niedoli, jakaby jej pozostała w całym po nim dziedzictwie.

Pewnego ranka Klotylda wyszła sama na miasto dla załatwienia kilku drobnych sprawunków, wróciła wzburzona, blada i drżąca. Gdy weszła na górę do sypialnego pokoju, padła prawie omdlona w ramiona Pascala. Słowa urywane wybiegały z ust jej bezładnie:

— Och Bożel... Bożel... te kobiety...

Przeląkł się i błagał, by powiedziała, co zaszło.

— Uspokój się! Uspokój się! powiedz co ci jest, ukochana?

Krew uderzyła jej do głowy i łuną twarz jej zalała. Przysunęła się do niego a ukrywszy oblicze na jego piersiach, opowiadała z wolna:

— Te kobiety! Te kobiety... Weszłam w cień, więc chciałam zamknąć parasolkę i wypadkiem zaczepiłam sukienkę dziecka, które upadło... Zbiegło się zaraz kilka kobiet; zaczęły one na mnie krzyżeć i wymyślać mi brzydkimi wyrazami... Och! co one mówiły, co mówiły! Że ja nigdy nie będę miała dzieci, gdyż istoty do mnie podobne, nigdy ich nie mają! Och i jeszcze wiele innych rzeczy, których nie chcę powtarzać, lub których nawet zrozumieć nie mogłam!

Mówiąc, płakała. On zbladł śmiertelnie, nie znajdując słów, mogących ją pocieszyć, więc pieścił ją i płakał, równie rzewnie jak ona. W umyśle jego uprzytomniło się całe zajście; widział, jak ją obrzucają grubiańskimi przytykami, jak kalają jej uszy nieznanymi dla niej, lecz bryzgającymi błotem słowami.

— To wszystko z mojej winy, cierpisz przezemnie... Słuchaj, ukochana, wyjedziemy ztąd, daleko, bardzo daleko, gdzie nas nikt znać nie będzie, gdzie otoczą nas szacunkiem, i kłaniać ci się będą, jak na to zasługujesz.

Ona, widząc jego cierpienie i chcąc łzy jego ukoić, wyrwała się z jego objęć i starała się wydać uspokojoną, odważną.

— Jakże niegodziwie słabą jestem, żeby tego nie ukryć przed tobą... Przecież chciałam i przyrzekłam sobie, że ci nic nie powiem. Ale wszedłszy do domu, roztkliwiłam się niepotrzebnie, rozbolełam i wypowiedziałam cały ciężar, zalegający mi serce... Ale widzisz, już skończone, już jestem spokojniejszą, nie martw się tylko... Kocham cię, kocham...

Uśmiechała się do niego i łagodną pieśczętą przytulona znów do niego, całowała go i uspakajała, chcąc usnąć ból przez nią wywołany.

— Kocham cię! Kocham tak bardzo, że zmartwienia żadne istnieć dla mnie nie mogą... Ty jesteś całym dla mnie światem, po za tobą nic dla mnie nie istnieje! Co mnie może obchodzić wszystko, co nie jest tobą! Tyś taki dobry, tak szczęśliwą jestem przez ciebie!

Łzy jego nie ustawały, więc i ona płakać poczęła na nowo, i tak na długie pograżyli się w smutku i żalu dotkliwym, przerywanym pocałunkami i słów pieszczotą.

Pascal, pozostawszy w pokoju sam, oburzał się na siebie, srogie sobie czyniąc wyrzuty. Czyż godzi się, by dłużej cierpieć miała przez niego ta, którą ukochał? Tego dnia wieczorem, zdarzył się wreszcie wypadek, przynoszący mu punkt wyjścia, którego szukał, jakkolwiek szukał z trwogą znalezienia. Zaraz po obiedzie odwołała go Marcyna na stronę, z miną wielce tajemniczą.

Widziałam się z panią Felicją, kazała panu oddać ten list i kazała jeszcze powiedzieć, że byłaby go sama przyniosła, lecz nie uczyniła tego ze względu na swoją dobrą sławę... Nie chcąc tu przychodzić, prosi, aby pan odesłał jej list pana Maksyma wraz z odpowiedzią, jaką da na list ten panna Klotylda.

Był to rzeczywiście list od Maksyma. Uszczęśliwiona z niego, Felicja postanowiła użyć go, jako niezawodnego sposobu dla przeprowadzenia swoich planów. Kiedy bowiem nędza nie wydała jej Pascala na łaskę, zmieniła plan kampanii, wracając do pierwotnej swej myśli, koniecznego rozłączenia syna swego z Klotyldą. List, nastęrczał jej wyborną ku temu okazyę. Maksym pisał nalegająco do babki, błagając ją, by się wstawiła za nim do siostry. Choroba kości pacierzowej rozwinęła się u niego w sposób zatrważający, i ruszyć się już z miejsca swego nie mógł, bez pomocy służącego. Przyczynę tego pogor-

szenia przypisywał pewnej czarnowłosej dziewczynie, która wśliznęła się do jego domu i w jej objęciach postradał resztę siły żywotnej; przekonał się, iż tę kusicielkę, wypijającą szpik z kości ludzkich, nastął mu rodzony ojciec w nieszczęsnym dla niego podarku. I tak rzeczywiście było; Saccard chciał wdziękami tej dziewczyny przyśpieszyć spadek majątku, jaki odziedzyczyłby w razie śmierci syna. Maksym wyrzucił wkrótce dziewczynę ze swojego domu, zamknął się w nim, zalecając, by służba nie dopuszczała do niego przedewszystkiem ojca; ale drżał jeszcze, by Saccard nie spadł mu niespodzianie, chociażby przez okno. Z drugiej zaś strony, samotność ciążyła mu bardzo i błagał siostrę, by chciała ją z nim dzielić; uważał ją za najlepszą obronę przeciwko podstępnyim usługom ojca, pewnym przytem będąc, iż ona najskuteczniej i najzręczniejsz dojrzy go w chorobie. List mieścił jeszcze zapewnienie, że jeżeli zgodzi się ona przyjechać i pielęgnować chorego, nagrodzoną sowiec zostanie za swoje poświęcenie; kończył wreszcie Maksym, przypominając siostrze obietnicę, uczynioną mu za widzeniem się ich ostatniem w Plassans, iż nieomieszka przyjechać, gdy zajdzie rzeczywista tego potrzeba.

Pascal zdreptał na tę wiadomość. Odczytywał powtórnie czterostronicowy list Maksyma. Oto właśnie zdarzała się okazyja rozłączenia; okazyja prosta i naturalna, na którą powinien się być zgodzić, bo i dobro Klotyldy miała na celu; pomimo wszelkich korzyści, jasno mu przez rozum wskazywa-

nych, czuł się obezwładnionym i tak dalece ze wzruszenia drżącym, iż musiał usiąść, czując, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Zawezwał całą swą energię na pomoc a uspokoiwszy się trochę, udał się do Klotyldy.

— Masz, przeczytaj ten list, który mi nadesłała twoja babka.

Klotylda przeczytała uważnie list cały aż do końca, nie czyniąc żadnej uwagi, nie zmieniawszy nawet wyrazu twarzy. Gdy skończyła, rzekła z prostotą:

— A więc odpowiesz, jak należy, prawda?... Odpowiesz, że stanowczo odmawiam.

Ledwie że powstrzymał okrzyk radości. Lecz zapanował i rzekł ze spokojną rozwagą, ale tak dalece wewnętrzną radością szczęśliwy, iż zdawało mu się słyszeć głos nie swój, lecz drugiego swego ja:

— Odmawiasz? Ależ to być nie może... Trzeba się zastanowić, poczekajmy do jutra z odpowiedzią; a teraz porozmawiajmy, jeżeli zechcesz?

Zadziwiła się i zawołała z uniesieniem:

— Jakto? Więc rozstać się mamy z sobą? I dla czego? Czy naprawdę mógłbyś się na to zgodzić? Ależ szaleństwem by to było! Kochamy się i mamy się rozstać? I ja mam jechać, gdzieś daleko, gdzie mnie nikt nie kocha? Czyż pomyślałeś nad tem, coś powiedział? Wyjazd mój byłby najzupełniejszą niedorzecznością.

Unikając wprost odpowiedzi na stawiane przez nią pytania, począł wspominać dane przyrzecze-

nie, oraz obowiązki, jakie ciążyą na nas względem rodziny.

— Czy pamiętasz, moja kochana, jak bardzo byłaś wzruszoną, gdy ci powiedział, co myślę o stanie zdrowia Maksyma? Otóż dziś pada on pod naciskiem choroby, jest kaleką, opuszczonym i niemającym przy sobie nikogo blizkiego, zwraca się więc do ciebie, prosząc, byś stanęła przy jego boku. Nie możesz i nie powinnaś go opuścić w smutnem położeniu, w jakim się znajduje. Tak, masz do spełnienia obowiązek przy chorym swoim bracie.

— Obowiązek! — zawołała z uniesieniem. Czyż mam jakiegokolwiek obowiązki względem brata, który nigdy nie zatroszczył się o mnie? Powinnam zostawać tam, gdzie mi serce nakazuje.

— Ale przyrzekłaś mu przecież. I ja przyrzekłem w twojem imieniu, mówiąc, że jesteś rozsądną... Przypuszczam, że nie zechcesz wykierować mnie na kłamcę?

— Rozsądną! To ty nie jesteś rozsądnym. Bo czyż należy rozłączać się z sobą, gdy tęsknota ztąd wynikająca, o śmierć mogłaby przyprawić każde z nas z osobna?

Ruch gwałtowny uczyniła i, jakby chcąc odegnać i zerwać przedmiot wszczętej rozmowy, dodała:

— Wreszcie, po cóż się mamy o to sprzeczać? Jedno słowo rozstrzygnie całą kwestyę. Czy chcesz się mnie pozbyć?

Krzykiem gwałtownym odpowiedział natychmiast:

— Wielki Boże! Ja ciebie pozbyć się! Czyż to możliwe?

— A więc skoro nie chcesz się mnie pozbyć — zostaj!

Śmiała się teraz i podbiegła z żywością do swego roboczego stolika, chwyciła czerwony ołówek i na ukos przez list cały wypisała wielkimi zgłoskami: „Odmawiam stanowczo!“. Zawołała następnie Marcyne i chciała wyprawić ją z listem tak zadokumentowanym do babki, ledwie go wsunawszy w czystą kopertę. On śmiał się wraz z nią ochoczo, uniesiony opływającą go radością, niezdolny do żadnego oporu. Nadzieja zatrzymania jej przy sobie szaleem swoim odjęła mu zdrowy sąd i władzę logicznego myślenia.

Tej samej nocy, gdy tylko zasnęła, wyrzuty sumienia opanowały go w całej swej potęgze. Jeszcze raz więc uległ, dla uchronienia szczęścia swojego, dla rozkoszy posiadania jej każdego wieczoru, przytuloną do boku, dla objęcia jej wysmukłego, delikatnego ciała, owiniętego w ciekawą bieliznę, z której ulatniała się luba woń jej młodości. Po niej, już on kochać nie będzie; i ta myśl właśnie, o niemogącej nastąpić już dlań nigdy miłości kobiety, tak go słabym w postanowieniu czyniła. Pot śmiertelny skraplał mu lica na samą myśl rozstania się z tą ukochaną istotą; jakże on zdoła wyżyć sam i pozbawiony jej obecności, jakże czczem i nędznem będzie dla niego życie bez pieśczęt, drgających w powietrzu przy niej oddychaniem, bez jej wesołości i prawości umysłu, bez całej jej istoty, tak fizycznej, jak moralnej a potrzebnej

mu niezbędnie, jak światło i powietrze! A wszakże znaleźć musi odwagę na to, by z nią się rozstać, skazując się zarazem na śmierć dobrowolną. Nie budząc jej, lecz tuląc ją do serca, nasłuchując oddechu jej łagodnego i prawie dziecięcego, rozmyślał, bolejąc i pogardzając sobą za brak potrzebnej mu odwagi; a widział wszakże jasno, co czynić jest koniecznem. Należy mu szczęście swoje uważać za skończone, gdyż tam, zdaleka od niego, czeka ją szacunek ogólny, majątek; czyż może wobec tego zatrzymywać ją przy sobie dłużej, skazując ją na nędzę i pogardę? I to tylko dla zaspokojenia żądz swoich egoistycznych? Konając z bólu i miłości, trzymając w objęciach tę uśpioną postać ukochanej oblubienicy, która z ufnością oddała się staremu królowi swojemu, przysięgał, że znaleźć musi odwagę potrzebną, by rozstanie nakazać dla jej dobra, dla powrócenia jej życiu i szczęściu, pomimo jej woli.

Rozpoczął więc z sobą walkę, chcąc zdobyć się na abnegacyę zupełną. Przez dni kilka silił się, by w niej żal wzbudzić za napisane na liście Maksyma słowa: „odmawiam stanowczo“; wreszcie wymógł, iż napisała długi list do babki, tłumacząc się, dla jakich powodów nie może uwzględnić proźby brata. Stanowczo bowiem nie chciała wyjeżdżać z Sulejady. Pascal stał się teraz niezmiernie oszczędny, chcąc jaknajmniejszy czynić uszczerbek w pieniądzach, za klejnoty otrzymanych; ona chciała go jeszcze w tem prześcignąć i jadła chleb suchy z głośnami wybuchami

wesołości i śmiechu. Pewnego ranka zastał ją, jak u-
czyła oszczędności Marcynę! A każdego dnia nie
skończoną ilość razy rzucała mu się na szyję, pa-
trząc bystro w oczy, w których czytała chęć wypra-
wienia jej z Sulejady, i pocałunkami myśl tę zagłuszyć
pragnęła. Naraz znalazła jeszcze jeden powód o-
parcia się wyjazdowi. Pewnego wieczoru po obiedzie,
Pascal doznał gwałtownego bicia serca i prawie że
omdlał. Zdziwił się, gdyż dotychczas nie cierpiał
na serce i przypuszczał, że wraca mu dawna choroba
nerwów. Po silnych wzruszeniach i doznanych rado-
ściach, uczuł, iż coś niedomagać w nim poczęło; do-
znawał dziwnego wrażenia, jakby nosił w sobie coś
niezmiernie delikatnego, mogącego rozbić się łatwo.
Zaniepokoiła się bardzo i starała przynieść mu
jaką ulgę. Ale teraz, nie będzie już żądał, by miała
wyjeżdżać! Gdy się kogoś kocha a ten ktoś jest cho-
ry, obowiązkiem jest być przy nim i pielęgnować go
starannie...

Utarczki tego rodzaju wynikały co chwila. Czułością
powodowani, bezustannie starali się zapomnieć o wła-
snem ja, dla zabezpieczenia szczęścia jedno drugiemu.
Lecz on, mimo wzruszenia i wdzięczności, jaką miał
za jej dobroć i miłość, czuł tem gwałtowniej potrzebę
jej wyjazdu, tego napawającego strachem niewymow-
nym wyjazdu, z każdym dniem trudniejszego a tem
niemniej nieubłaganie koniecznego. Wola jego w tym
względzie była obecnie stanowczo zdecydowaną.
Wahał się trochę i z niepewnością wybierał sposoby,

jakichby użyć należało, by wpłynąć na jej decyzję. Lękał się pomyśleć o łzach i rozpachy pożegnania. Cóż poczynie on wtedy? Co jej powie? Jakimi środkami dojdą oni do strasznej tej chwili, jakież będzie ten ostatni pocałunek, dzielić ich mający na zawsze? Dnie upływały a on nic nie znajdował i co wieczór oburzał się na siebie, ulegając wszakże czarowi jej uścisku, gdy go chłodnymi swemi rączkami obejmowała miłośnie, dumna i szczęśliwa, iż zażegnać zdołała grożący jej wyjazd.

Żartowała nawet czasem, mówiąc ze złośliwym przymileniem:

— Mistrzu! Wszak dobroć twoja nie pozwoli ci wypędzić mnie od siebie?

Gniewał się wtedy, oburzał na nią, lub wpadał w zadumę.

— Nie, nie mów o mojej dobroci! Gdybym naprawdę był dobry, jużbyś dawno była ztąd daleko, otoczona wygodami i szacunkiem, z widokami szczęścia i spokoju materyalnego; podczas gdy pozostając tutaj, skazujesz się na potwarze, na nędzę, jako towarzyszką starego waryata, jakim jestem niezawodnie. Jestem nikczemnym tchórzem i nieuczciwym człowiekiem!...

Gwałtownie mówić mu zabraniała. Wszakże rzeczywiście dobroć jego cierpiała, ta wielka, bezgraniczna dobroć, popychająca do kochania życia nade wszystko, do miłowania ludzi, zwierząt i rzeczy wszelkiej z pieczołowitą żądzą zapewnienia im jaknajwięk-

szej dozy możliwego szczęścia i dobrobytu. Być dobrym względem niej, czyż nie równoważyło się pragnieniu zdobycia dla niej lepszego losu, chociażby ceną własnego szczęścia? Tej dobroci poddać się był powinien, i czuł, że tak będzie, iż ona nim zawładnie, budząc stanowczość i żądzę poświęcenia się własnego. Lecz na wzór nieszczęsnych, skazujących się na śmierć dobrowolną, czekał okazji, nadarzającej się chwili i wybuchu swojej woli.

Jednego dnia wstał wcześniej, około siódmej i gdy Klotylda zeszła do dolnej sali, zadziwiła się bardzo, widząc go siedzącego przy stole, służącym mu dawniej do pracy. Od długich już tygodni nie roztwierał swych książek i pióra nie brał do ręki.

— Cóż to? Zabrałeś się do roboty?

Nie podnosząc głowy, jakby pogrążony w zajęciu, odpowiedział:

— Tak, gdyż nawet drzewo genealogiczne zaniedbałem, trzeba je dopełnić.

Przez kilka minut stała nieruchoma za nim i patrzyła na piszącego. Dopełniał notatki o ciotce Didzie, o wuju Macquarcie i o małym Karolku, wpisywał wiadomość o ich śmierci, stawiając odnośne daty. Ukończył, lecz z miejsca się nie ruszył, pisał coś innego, jakby jej nie było w pokoju, jakby nie wiedział, że przyszła i czeka, aby co rano powtarzające się przed śniadaniem pieśczęoty, pocałunki i śmiechy, wywołał podług zwyczaju. Podeszła wreszcie ku oknu, postąpiła tam, wróciła nazad, nie zabierając się do żadnego zajęcia, wreszcie spytała:

— Więc to na seryo zabieramy się do roboty?

— Zapewne; widzisz sama, że przeszło od miesiąca powinno być zapisane to, co teraz dopiero wpisałem o zaszłych wypadkach w naszej rodzinie. Wreszcie mam prócz tego bardzo wiele innych rzeczy, których nie powinienem dłużej zaniedbywać i wziąć się do napisania ich.

Patrzała na niego uporeczywie, badająco, jakgdyby pragnęła wyczytać w jego oczach rzeczywiste powody.

— Dobrze, pracujmy!... A jeżeli masz jaką robotę dla mnie stosowną, to mi ją daj, będę spisywała i przepisywała twoje notatki, jak to czyniłam niegdyś.

Od tego dnia począł udawać, iż tylko praca go zajmuje. Przypomniał sobie jedną ze swych teoryj, że beczynność zupełna jest nic niewarta i nikomu jej zalecać nie należy, nawet tym, którzy cierpią na zmęczenie, skutkiem zbytecznego wysiłku pracy. Człowiek żyje wrażeniami, odbieranemi z zewnątrz; przetwarzają się one i urabiają w myśli a następnie w czyn; jeżeli zaś skutkiem beczynności zupełnej odbierane wrażenia nie ujawniają się na zewnątrz pod przerobioną i przetrawioną postacią, następuje przeładowanie objawiające się utratą równowagi. On sam na sobie wypróbował niejednokrotnie, iż praca jest najlepszym regulatorem życia. Nawet niedomagając, przewycięzał się i brał do pracy, odzyskując za jej pomocą zdrowie i siły. Nigdy nie czuł się zdrowszym,

jak stosując się do zasady codziennego spełnienia obowiązku metodycznie zakreślonego sobie z góry; np. do napisania tylu a tylu stron co rano i zawsze o tejże samej godzinie. Pracę w ten sposób sobie wyznaczoną, porównywał do balastu podtrzymującego pożądaną równowagę, a wierny tej metodzie, ostał się prosto i niewzruszenie kłopotom życia codziennego, słabościom i błędom.

Pascal cskarżał lenistwo i bezczynność, w których się pogrążył obecnie, jako jedyne przyczyny doznawanego bicia serca i zawrotów głowy, dokuczających mu chwilami. Chcąc przywrócić sobie zdrowie, należało czempędzej rozpocząć zaniechane prace.

Teorye tego rodzaju, Pascal wykładał obecnie Klotyldzie godzinami całemi, wpadając w zapał gorączkowy, dochodzący do przesady. Zdawał się ulegać niepomahowanej żądzy zagłębienia się w pracy naukowej, która, ustąpiwszy miejsca chwilowo miłości, jaką wzbudziła w nim Klotylda, powracała zwycięzko, władnąc nim zdawna siłą, gdy życie swoje jej poświęcał. Utrzymywał, iż nie może przecież pozostawić prac rozpoczętych, że należy je ukończyć i wystawić sobie za ich pomocą pomnik niezatartej sławy. Porządkowanie i dopełnianie tek, na nowo się w nim rozbudziło; po kilkanaście razy dziennie otwierał wielką dębową szafę, wyjmował teki z półek, przeglądał je i dopełniał. Poglądy jego na prawa dziedziczności uległy teraz przekształceniu, pragnął dotychczasowe swoje prace przejrzeć starannie, przero-

bić i wreszcie sformułować wyciąg, będący syntezą historii naturalnej i społecznej, opartej na przykładzie własnej jego rodziny, a odnoszącej się w samej rzeczy do całej ludzkości. Prócz tego, chciał jeszcze się zastanowić i rozszerzyć metodę leczenia za pomocą wstrzykiwań podskórnych. Miał bowiem obecnie nowe teoretyczne poglądy co do tego sposobu leczenia, lecz sprawdzić i wypróbować należało je koniecznie; obecnie były to tylko marzenia, lecz opierał je na głębokiem przekonaniu wewnętrznem. Miały one łączność z teoryami leczenia pracą, co wreszcie na sobie zbadał, i co w praktyce wysmieri-te dawało rezultaty.

Zasiadając do biurka, wyrzekł głośno:

— Kiedyż ja zdążę to wszystko opracować! Życie stanowczo jest za krótkie!

Pracował zawzięcie, chwili czasu nie tracąc. Pewnego razu, podniósłszy głowę schyloną nad papierami, rzekł do Klotyldy, piszącej coś dla niego:

— Uważaj, co ci powiem... Gdy umrę...

Przerażona temi słowy, zawołała:

— Jak można robić podobne przypuszczenia!

— Gdy umrę—powtórzył—pamiętaj zamknąć wszystkie drzwi natychmiast. Teki tylko zachowasz dla siebie. Wszystkie inne papiery, notatki, zbierzesz starannie i oddasz Ramondowi. Czy słuchałaś uważnie? Pamiętaj, że taka jest ostatnia moja wola.

Lecz ona słuchać dalej nie chciała, wzbraniając mu zagłębiać się w podobne projekty.

— Nie chcę słuchać dłużej, bo zbyt wielkie mówisz niedorzeczności.

— Klotyldo, przysięgnij mi, że teki zachowasz dla siebie a resztę papierów oddasz Ramondowi.

Dotąd prosił, aż wreszcie przysięgła uczynić według jego woli; raptownie spoważniała i zalała się łzami. Pochwycił ją w objęcia, równie jak i ona wzruszony i obsypywał pieszczotami, jakby się miłość dla niej na nowo w nim odezwała. Zapanował jednak szybko i począł mówić o swoich obawach. Z chwilą, gdy zaczął pracować, obawy wracały; strzedz zaczął znów szafy z papierami, utrzymując, iż widział Marcynę, zbyt blisko niej chodzącą. Cóż bowiem było łatwiejszego, jak, trafiając do wierzeń i zabobonów starej dewotki, wmówić w nią potrzebę spełnienia złego uczynku, dla uratowania duszy jej pana, gubiącego się zapisywaniem papierów chowanych do szafy? Tyle już ucierpiał skutkiem tych obaw! Powracały one obecnie wraz z trapiącą go myślą samotności, której wkrótce ulegnie; cierpiał teraz, przeczuwając przyszłą srogą męczarnię uczonego, zagrożonego utratą swej pracy, wydartej przez najbliższych mu, a prześladujących go w własnym jego domu i rabujących owoc długoletniego wysiłku ciała i mózgu.

Raz wieczorem, rozmawiając z Klotyldą w tym przedmiocie, rzekł:

— Rozumiesz dobrze, iż gdy ciebie już tu nie będzie...

Pobladła nagle, słysząc te słowa a gdy zatrzymał się, drżąc cała, zawołała:

— O mistrzu, mistrzu! Więc nie przestałeś jeszcze myśleć o tem szkaradnem okrucieństwie? Widzę dobrze po twoich oczach, że masz przedemną coś skrytego, że masz jakąś myśl, nienależącą już do mnie... Lecz jeżeli mam ztąd wyjechać a ty wtedy umrzesz, to któż stanie na straży w obronie twoich papierów?

Zauważył, iż zaczęła się oswajać z możliwością wyjazdu, znalazł więc dość siły, by powiedzieć prawie wesoło:

— A więc ty myślisz, że pozwolę sobie umrzeć, nie zobaczywszy się z tobą?... Cóż u licha! Pisywać do siebie będziemy! Przyjedziesz zawsze dość wczesnie, by mi oczy zamknąć własnoręcznie...

Teraz Klotylda z płaczem i jękiem rzuciła się na krzesło.

— Boże mój! Czyż to możliwe? Czyż ty naprawdę chcesz, byśmy jutro, chociażby zaraz rozstać się mieli? My, co tak cenić umiemy szczęście pozostawania razem? My, co się nie opuszczamy na jedną chwilę, żyjąc wciąż przy sobie, w objęciach jedno drugiego! Ah! żeby dziecko było nam się urodziło...

— Ah! — rodzajem wyrzutu mówisz mi o dziecku! — zawołał, unosząc się wzburzony. Tak, żeby dziecko było się nam urodziło, niemożliwym stałby się twój wyjazd... Wszak to chciałaś powiedzieć?... Lecz przecież dobrze widzisz, że jestem zbyt stary, za

co pogardzam teraz sobą! Pozostając ze mną, musisz być bezpłodną, starość bowiem moja skazuje cię na bezdzietność! Z mojego powodu nigdybyś nie była kobietą w zupełności, bo nie byłabyś matką! Idź sobie zatem precz! Idź! Uciekaj odemnie, wszak musisz w końcu przestać uważać mnie nawet za mężczyznę!

Starła się uspokoić jego wzburzenie, lecz napróżno, i mówił dalej:

— O! wiem dobrze, co myślisz! Wszak często mówiliśmy o tem, że jeżeli dziecko nie jest celem miłości, to miłość w podobnych warunkach wstrętną się staje... Wszak nie tak dawno rzuciłaś rozpoczęte czytanie powieści z oburzenia na bohaterów romansu, którzy strapionymi się poczuli z powodu narodzić się mającego dziecka; zawadę im tylko sprawiało to niewiedzieć dlaczego zapowiadające się stworzenie i naradzali się we dwoje, jakby się pozbyć ciężkiego kłopotu... A ja... o jakżebym oczekiwał z radością przyjscia na świat twojego dziecka!... Jakżebym ja kochał dziecko! I to twoje jeszcze dziecko!

Dnia tego Pascal pogrążył się bardziej jeszcze w pracy. Siadywał za swym stołem po cztery i pięć godzin, całemi rankami, lub popołudniami, nie odrywając się na chwilę, nie podnosząc nawet głowy. Zabronił, by mu przerywano, pisał bez przerwy. Lecz czasami, gdy Klotylda wyszła na palcach z pokoju, by zejść na dół do kuchni, lub na miasto, rzucał okiem, by się upewnić, że jej nie ma i natychmiast

opuszczał głowę na stół, lub w dłonie, z giestem niesłychanego przygnębienia. Bywał to zwykły jego bolesny wypoczynek po nadludzkiem wysileniu, w jakim żył obecnie, nakazawszy sobie pracę i udając do niej zapał w obecności Klotyldy, podczas gdy gwałt sobie w rzeczywistości zadawał, by nie chwycić jej w swe objęcia; by długimi godzinami mógł całować ją bez końca. Ah tak! Wzywał pracy na pomoc, jako jedynej ucieczki, mogącej przynieść mu nieco ulgi i zapomnienia. Lecz najczęściej nie mógł się nagiąć do pracy i wtedy musiał grać komedję człowieka, czytającego coś uważnie, patrzył na rozwartą przed sobą książkę, lecz oczy zachodziły mu łzami, podczas gdy myśli zmacone i uciekające, wciąż mu tylko jeden nasuwały obraz. A więc praca, uzdrawiająca zawieść go miała w swej wierze, nie była ona wszechwładną i jedyną regulatorką z dolegliwości świat cały leczącą? Cóż mu tedy pozostawało? Rzucić pracę, żyć z dnia na dzień i może zacząć bałamucić dziewczęta uliczne? A może wszystkiemu winna była starość, nie był już zdolnym zapisać świeżej stronicy, równie jak nie był zdolnym zostać ojcem, mieć dziecko?... Życie całe lękał się doczekać niedołężnej starości. I teraz z twarzą opartą o deskę stołu, dumiał obezwładniony, strwożony, nie-szczęśny. Rojenia snuły mu się czasami, że ma lat trzydzieści i co nocy w pieśczościach Klotyldy, odnajduje siłę i odwagę do całodziennej pracy. Łzy bólu spływały mu na brodę białą, gdy ocknąwszy się, znaj-

dował inną rzeczywistość... Gdy tylko dały się słyszeć kroki wracającej Klotyldy, chwycił za pióro, by go znalazła w poprzednio zostawionej pozycyi, z miną zagłębionego w pracy człowieka, chociaż krył się pod nią ból i beznadziejne zwątpienie.

Była obecnie połowa września, a od dwóch długich, ciężarnych smutkiem tygodni, trwało to nowe życie w Sulejadzie, żadnej nie przynoszące zmiany, ani rozstrzygnięcia. Wtem, pewnego poranku, niemało zadziwiła się Klotylda, ujrawszy przybywającą do nich babkę swą, panią Felicję. W wigilię tego dnia Pascal spotkał się z matką na ulicy de la Banne, i pałając chęcią jaknajśpieszniejszego spełnienia poświęcenia swojego, zwierzył się jej, pomimo wstrętu, jaki mu to sprawiało, jak dalece pragnie wysłać Klotyldę do Paryża, prosił przytem, by zechciała przyjść do nich nazajutrz. Właśnie pani Felicja miała nowy list od Maksyma, bardziej jeszcze nalegający i proszący o przybycie siostry.

Rozpoczęła od wytłomaczenia powodu swego przyścia:

— Tak, to ja, moja kochaneczko. Ale rozumiesz, że kiedy zdecydowałam się na przyście do was, muszę mieć bardzo ważne do tego powody... Widzę, moja droga, że wpadasz w obłęd zupełny, marnując dobrowolnie całą przyszłość swoją, chcę zatem raz jeszcze wytłomaczyć ci wszystko.

I natychmiast odczytała głosem drżącym od łez długi list Maksyma. Nie poruszał się już ze swego

fotelu, choroba o władnęła nim, była groźniejszą i bólami dotkliwszą. Błagał więc siostrę o stanowczą i natychmiastową odpowiedź, zaklinając ją, by przybywała, nie zmuszając go do szukania obcej dozorczyńni. Lękał się niewypowiedzianie powierzenia się nieznannej kobiecie, a wszakże będzie zmuszony to uczynić, jeżeli go siostra nie uchroni swoją obecnością od tej strasznej dla niego konieczności. Skończywszy czytanie, pani Felicya dała do zrozumienia, jak wielką byłaby szkoda puszczenia nieopatrznie z rąk milionowego majątku Maksyma, lecz zatrzymała się głównie na poczuciu obowiązku, jaki mamy względem swych krewnych, przypominając przytem, iż była świadkiem przyrzeczenia uczynionego bratu przez samą Klotyldę.

— Kochaneczko moja, przypomnij sobie tylko. Wszak powiedziałaś mu najwyraźniej, że gdy będzie cię potrzebował, przybędziesz natychmiast. Słyszysz jeszcze, jak mu to mówiłaś... Ty również słyszałeś to, mój synu?

Od chwili przybycia matki, Pascal milczał, pozostawiając jej zupełną swobodę działania, błądy był i siedział z głową zwieszoną. Odpowiedział potwierdzającym ruchem głowy.

Poczem pani Felicya rozpoczęła przytaczać i wymieniać powody koniecznego wyjazdu Klotyldy z Plassans a były one też same, o których Pascal mówił jej niejednokrotnie; nieokreślony prawnie ich stosunek wywoływał skandal w całym mieście, narażając

ją na ustawiczne nieprzyjemności i obelgi; nędza, grozi im nieuniknienie a tem sroższa, że znosić ją muszą we dwoje; niemożliwość pozostawania nadal razem i prowadzenia bezcelowego i bezczynnego życia; przytem wiek Pascala wymagał większej powściągliwości, jeżeli nie chce popaść w chorobę i wycieńczenie a ona ze swej strony powinna pamiętać, iż jest młodą i nie należy dobrowolnie marnować całej swej przyszłości. A jakąż teraz może być przyszłość, gdy nędza rozgościła się w Sulejadzie? Upierać się dalej byłoby szaleństwem i okrucieństwem zarazem.

Śluchając słów babki, Klotylda stała prosto, z twarzą niewzruszoną, z postanowieniem uniknięcia sprzeczki. Lecz natarczywością Felicji zmuszona, rzekła wreszcie:

Raz jeszcze powtarzam, iż nie poczuwam się do żadnych obowiązków względem mego brata; moje obowiązki są tutaj. Majątkiem niechaj rozporządza, jak mu się podoba, ja pieniędzy jego nie chcę. A gdy zbyt biednymi będziemy, odprawimy Marcynę i ja mistrzowi usługiwać będę.

Dokończyła myśli swej gestem. Oh! tak, pragnęła chociażby jako służąca pozostać przy starym królu swoim! Poświęcić się bezgranicznie dla szczęścia swego mistrza! Żyć o żebranym chlebie, lecz idąc z nim ręka w rękę, byle módz, wróciwszy z żebraczej wędrówki, dokonanej od drzwi do drzwi, paść mu w objęcia, dar ze swej młodości czyniąc i rozgrzewając jego członki ciałem swoim!

Stara pani Rougon potrzęsnęła głową z niezadowoleniem.

— Zamiast chcieć być jego sługą, byłabyś lepiej uczyniła, zostając w pierw jego żoną... Dlaczego nie wzięliście dotychczas ślubu? Trzeba było tak uczynić, chociażby dla przyzwoitości.

Przypominała im, jak przyszła raz do nich, chcąc nakłonić do wzięcia ślubu, dla przygłuszenia skandalu w samym początku; lecz Klotylda przyjęła jej propozycję ze zdziwieniem, mówiąc, że ani ona, ani doktor, nawet o tem nie pomyśleli, lecz, jeżeli konieczna jest tego potrzeba, pobiorą się kiedyś, gdyż nie niema pilnego.

— Chcesz, babciu, abyśmy ślub wzięli?— zawołała teraz Klotylda. — Dobrze, może wreszcie i słusność masz w tym względzie...

I zwróciwszy się do Pascala, mówiła dalej:

— Tysiące razy powtarzałeś mi, że wszystko uczynisz, czego żądać będę... Więc teraz pragnę, abyśmy ślub z sobą wzięli. Będąc twoją żoną, będę mogła zostać przy tobie, bo żona nie powinna opuszczać swego męża.

Lecz on odpowiedział tylko ruchem głowy, który rozmaicie można było tłumaczyć. W rzeczywistości lękał się odezwać, wyraźnie czuł, iż głosu tylko użyje, by wybuchnąć wezbrałymi uczuciami wdzięczności za ten nowy dowód miłości z jej strony. Chciała się więc połączyć z nim nierozzerwalnymi węzłami, byle przy nim pozostać! Lecz ruch głowy, który u-

czynił, można było wziąć równie dobrze za wahanie się, jak i za odmowę z jego strony. Po cóż brać ślub in extremis, kiedy wszystko rwało się i kończyło?...

— Tak, zapewne, mówiła Felicja, bardzo to dobrzeo tobie świadczy, moja droga, że pragniesz ślubu. I bardzo ładnie o swoich uczuciach umiesz mówić. Lecz ślub nie przysporzy wam dechodów, a tymczasem wiedz, że bardzo drogo kosztujesz Pascala, ty jesteś największym ciężarem, jaki on ma do dźwignia...

Ostatnie zdanie wywarło na Klotyldę wrażenie nadspodziewane. Rzuciła się w stronę Pascala i, zalana łzami, z pałającymi policzkami, dopytywać się poczęła:

— Mistrzu, mistrzu! Czy możliwą jest rzeczą to, co babka powiedziała? Czyż ty naprawdę żałujesz pieniędzy na mnie dotychczas łożonych?

Pobladł bardziej jeszcze, lecz nie ruszył się, pozostając na miejscu w przygnębionej postawie. Wreszcie jakby głosem dalekim, nieswoim, szepnął prawie:

— Tyle mam zajęcia! Takbym pragnął uporządkować moje papiery, pozbierać notatki, dopełnić pracę całego mojego życia!... Gdybym był sam, łatwiejby mi było zabrać się do tego. Sprzedałbym wówczas Sulejadę; oh! wiem dobrze, iż niewielki za nią dostanę kawałek chleba! Lecz cóż ja sam potrzebuję? Byłem miał jaki pokoik gdziekolwiek wynajęty, to pomieszczę się w nim wraz z mojemi papierami. A pra-

cując od rana do wieczora, nie miałbym czasu być nieszczęśliwym...

Mówiąc, unikał jej wzroku; lecz w stanie wzburzenia, w jakim się ona znajdowała, tego rodzaju niejasne słowa, nie mogły jej zaspokoić. Przeróżnie jej wzrastało, czuła, iż wyrok stanowczy musi być wydany.

— Mistrzul Patrz mi prosto w oczy... I zaklinam cię, bądź odważny i wypowiedz się otwarcie. Wybieraj pomiędzy mną a pracami swojemi, powiedz szczerze, czy chcesz się mnie pozbyć dla swobodniejszego oddania się im?

Chwila heroicznego kłamstwa nadeszła nieodwołalnie. Podniósł głowę i spojrzał jej odważnie prosto w oczy; uśmiechnął się, jak umierający śmierci spragniony; wreszcie rzekł z niezrównaną łagodnością i dobrocią:

— Nie unoś się, kochana moja... Czyż nie potrafisz spełnić swego obowiązku z prostotą, jak czynią wszyscy? Ja mam wiele do roboty i potrzebuję być sam, a ty masz obowiązek jechać do brata i doglądać go w chorobie. Tak trzeba a więc wszystko skończone.

Zapanowało straszne i głębokie milczenie. Ona patrzyła wciąż na niego w nadziei, iż odwoła wydany przez się wyrok. Bo czyż mówił on prawdę? Czy tylko poświęca się dla mniemanego jej szczęścia? Przez chwilę głębokie miała o tem przeświadczenie, jakby jasnowidzeniem, ducha jego odgadła.

— Więc odprawiasz mnie od siebie? I na zawsze? Niewolno mi już będzie powrócić do ciebie?

Wytrzymał odważnie i tę nową próbę; odpowiedział tylko uśmiechem wyraźnie mówiącym, że ludzie się rozłączają nie dlatego, by się nazajutrz na nowo połączyć mieli. Zamęt już teraz powstał w głowie Klotyldy i zdawała sobie sprawę, że wybierał on pracę, o wiele przekładając ją nad jej obecność i wspólne im rozkosze miłosne. Pobladła z bólu. Wyczekiwała jeszcze chwilę w milczeniu; nareszcie wolno, głosem czułością wezbrany, rzekła z zupełnem poddaniem:

— Stanie się, jak tego pragniesz, mistrzu! Wyjadę, gdy zechcesz, a nie wiocę pierwej, aż mnie sam przywołasz...

Słowa te—przepaścią oddzieliły ich od siebie. Nieuniknione stało się i spełniło. Felicja zdziwiona, iż tak niewiele miała do mówienia z tej okazji, natychmiast dopytywać się poczęła o datę wyjazdu. Zadowolona ze swej stanowczości i uporu, sobie przypisywała w zupełności odniesione zwycięstwo, szybko, przebojem. Dziś był piątek, umówili się więc, iż Klotylda wyjedzie w niedzielę. Uprzedzono o tem Maksyma depeszą.

Od trzech dni mistrzał wiać nie przestawał. Wieczorem podmuchy bardziej jeszcze się wzmogły, a Marcyna zapowiadała, iż nie przestanie dąć, jak za dni trzy, bo tak twierdzi przysłowie, rozpowszechnione między ludem miejscowym. Wiatry panujące w dolinie Wiorny pod koniec września, odznaczają się

wielką gwałtownością. Marcyna obeszła wszystkie pokoje i sprawdziła uważnie, czy okna i okiennice dobrze są pozamykane. Sulejada, leżąca na wzgórzu, wystawioną była na szalejące podmuchoy mi-stralu, bardziej niż Plassans. Rozhukany, ostry i bezustannie wyjący wiatr, szturm się zdawał przypuszczać do starego domostwa, wstrząsając budynkiem jego od piwnic aż do strychów, tak dniami całemi, jak również i nocą. Dachówki zrywane siłą wiatru, fruwały w powietrzu, okucia okien wyłamane zostały w kilku miejscach a przez szpary od drzwi, oraz przez kominy, wciskał się wiatr, wyjąc żałośnie i przeciągle, jakby skargą bolesną i niedającą się utulić. Niedotknięte wypadkiem drzwi w pokojach zamykał z hałasem armatniego wystrzału. Był to szturm prawdziwy, podjęty wśród wrzawy i silnego udręczenia.

Nazajutrz w domu tym, pełnym rozgoryczenia i bóleści a wstrząsanym w swych posadach szalejącym w około niego wichrem hałaśliwym, rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu Klotyldy. Stara pani Rougon zapowiedziała, iż nie przyjdzie, aż na pożegnanie, w niedzielę. Marcyna, dowiedziawszy się o wyjeździe panienki, oniemiała z zadziwienia a w oczach jej błysnął jakiś dziwny płomyczek; odesłano ją do kuchni mówiąc, że zajmą się spakowaniem kuf-rów we dwoje; zajęła się więc zwykłemi, codziennemi sprawami, udając, że nie rozumie a nawet nie widzi zaszłej katastrofy, burzącej cały porządek dotychczasowego ich życia we troje. Na każde zawołanie

Pascala, przybiegała z niezwykłą żywością, z twarzą jasną, rozpromienioną szczęściem usłużenia panu, co czyniła z takim zapałem, jakby raptownie młodość przywrócona jej została. On zaś nie opuszczał Klotyldy, ani na chwilę, pomagając jej i przypominając, aby nie zapomniła nieczego, co przydać się może przy wyjeździe tak daleko. Dwa wielkie kufry stały otwarte w pośrodku pokoju w nieładzie dziś będącego; pakiety, pudełka, zawiniątka zajmowały stoły i stołki, mieszając się z rozłożonymi sukniami. Gorączkowy pośpiech, z jakim się zajęli składaniem, wyjmowaniem i pakowaniem rzeczy, przygłuszał i nie pozwalał się wyjawić dotkliwemu bólowi, nurtującemu ich wewnątrz. Wpadli jakby w odurzenie i on zdawał się przejęty jaknajstaranniejszem składaniem rzeczy i pilnowaniem, by jaknajmniejszy kącik nie pozostał bezużytecznie zmarnowany przy układaniu w kufrach; a więc dopełniał luki pozostałe drobniejszemi szmatkami, wsuwał pudełeczka pomiędzy bieleznię; ona zaś zdejmowała z haków swe suknie i składała je na łóżku, czekając z ich ułożeniem wstawienia wyższej przegrody w kufrze. Chwilami, gdy ze zmęczenia powstawali z nachylonej swej pozycyi, zdarzało się, że byli tuż koło siebie, uśmiechali się zrazu ku sobie, lecz czempredzej rzucali się ku nowej robocie, by akryć łzy, cisnące się do oczu wraz z przypomnieniem nieszczęścia rozłączenia, mającego nastąpić zaraz. Odważnie wszakże znosili cios srogi, chociaż krew broczyła się z serc obojga. Boże mój, czyż naprawdę rozdwojenie już między nimi nastą-

piło? I wiatr złowrogim świstem i jękiem przeciągłym, zdawał się wtorować, grożąc domostwu całemu zburzeniem i zagładą.

Ileż razy w dniu tym ostatnim podchodzili ku oknom, pociągnięci zawieruchą na dworze panującą, pragnąc, by wraz z szalonym podmuchem świat cały uleciał! Nawet podczas najgwałtowniejszego mistralu, słońce promiennie świecić nie przestaje i niebo bez chmur pozostaje błękitne; lecz błękit jego jest blady i jakby kurzawą zmacony a słońce wyblakłe, niby dreszczem wstrząsane. Patrzeli w dal na białe tumany pyłu, powstające wysoko po nad drogami; na drzewa rozczochrane i chylące się pod nawałnicą a wszystkie zdające się uciekać w jedną tylko stronę, gnane pościgiem wichru, wysuszającego całą okolicę; zniszczenie i wycieńczenie pozostawiał mistral po swym równym i potężnym oddechu, pędzącym wszystko przed sobą z łoskotem, równającym się biciu piorunów. Olbrzymie łomy gałęzi niósł wiatr na swych skrzydłach, zrywał dachy i pędził z nimi gdzieś daleko, gdzie już tylko drobne z nich szczątki rozsiewał. Dlaczegoż mistral nie poniesie ich razem w pędzie swym szalonym, by zanieść ich złączonych w dalekie krainy ku szczęśliwości ich wzajemnej? Pakowanie kufrów było już na ukończeniu, gdy wiatr z łoskotem rzucił zerwaną z zasuwki okiennicę; Pascal uchylił okno, chcąc okiennicę przytwierdzić, lecz prąd powietrza tak był niezmierny, iż Klotylda rzuciła się z pomocą. Całą siłą ciągnąc we dwoje, zaledwie zdołali złemu zaradzić i zasuwkę dom-

knąć na miejsce. Tymczasem wiatr w pokoju rozrzucał ostatnie niezapakowane jeszcze przedmioty a co gorsza, rozbił w drobne kawałki małe lustierko. Czyż miało to być przepowiednią blizkiej i nagłej śmierci, jak twierdzą zabobonne kumoszki w podobnych okolicznościach?...

Wieczorem, po spożytym w ponurem milczeniu obiedzie, w ulubionym niegdyś jasnym, strojnym w malowane kwiaty stołowym pokoju, Pascal zaproponował, by się dziś wcześniej udać na spoczynek. Klotylda miała wyjechać nazajutrz rannym pociągami około godziny dziesiątej; kłopotał się nad zmęczeniem, jakiego dozna w podróży, trwać mającej przeszło dwadzieścia godzin. W chwili, gdy już mieli spać się położyć, pocałował ją na dobranoc i uparł się pójść nocować do swojego dawnego pokoju sypialnego. Mówił, iż pragnie, by mogła spokojnie wypocząć przed oczekującą ją drogą.

Pozostając razem, nie zmróżyliby oka, napawając się smutkiem rozstania. Napróżno błagać go się zdawała oczami, przepęłnionemi czułością, napróżno wyciągnęła ku niemu cudnie piękne swe ramiona; znalazł siłę woli dostateczną, by oprzeć się pokusie, pocałował ją w obadwa oczy, otulił starannie kołdrą i polecił, by była rozsądną i zasnęła jak najprędzej. Czyż rozłączenie ich życia już nie nastąpiło? Groza gniewu i wstrętu na samego siebie, byłaby nim zawładnęła, gdyby słabym się okazał rzucając się w jej objęcia. Wszak wyrzekł się już szczęścia dla siebie. Lecz jakże strasznym wydawał mu

się obecnie powrót do dawnej swej kawalerskiej sypialni, opuszczonej, zwilgotniałej i zimnej, od tak dawna pustką stojącej. Zdawało mu się, iż wraz z przestąpieniem jej progu, ogarnęła nim dawna jego starość, zwaliwszy się na niego, jak ciężkie wieko ołowianej trumny. Bezsensowność przypisywał z początku szalejącemu wciąż na dworze wichrowi. Zdawało mu się, iż złowrogie, pełne gniewu świsty, oraz jęki przeciągłego bólu, łączą się ze szlochaniem straszliwym i odgłosami swojemi cały dom przepelniają. Złudzenie było tak silne, iż dwukrotnie wstawał i podchodził pod drzwi Klotyldy, lecz cisza w jej pokoju panowała głęboka. Zszedł na dół i zamknął drzwi, wiatrem otworzone a obecnie łomoczące z hałasem, natarczywie, jakby nieszczęście domagało się wstępu w miejscowe progi. Przeciągi wiały w ciemnościach pokojów; skostniały od zimna, wrócił do siebie, drżąc noc całą, trapiiony śmiertelnie trwożnymi widzeniami. Zrozumiał jasno, iż ogarniający go bezdenne niepokój i rozrywająca serce męczarnia, którą znosił wśród bezsennej nocy, nie mistral nań z sobą sprowadzał. Była to tęsknota i żal wielki, podniecający go do żądzy posiadania Klotyldy, czego wzbronil sobie jak zbrodni. Pragnienie to, ugasić się nie mogące, zawisło nad nim teraz męczarnią i zrozpaczeniem. Boże mój! Nigdy więc już ona nie będzie jego! A wszakże jednym słowem mógł ją jeszcze przywołać i na zawsze przy sobie zachować! Czuł się rozrywany, rozszarpywany w ciele swoim własnym, wydarciem sobie samemu młodzieńczego jej ciała. Gdyby o po-

łowe lat swoich był młodszym, mogłoby się dla niego znaleźć pocieszenie w objęciach innej kobiety. Lecz teraz, na schyłku sił swoich żywotnych, nieczem niezagojonym bólem, jest ta rozłąka, to wyrzeczenie się jej wdzięków uroczych a tak rozrzutnie mu oddawanych; ach, wszak i ona cała jego była własnością, jego dobrem najwyższym! Dziesiątki razy zrywał się z pościeli i biedz chciał ku niej, by ją ramieniem swoim otoczyć i przy sobie zatrzymać. Napady wzmagającej się gwałtownej tej chęci nie ustąpiły aż do rana, wtórował im szalony na dworze wichur, szturmami swemi dom oblegający, jakby go chciał zburzyć i wysadzić z posad szaloną swą siłą.

Była już godzina szósta, gdy Marcyna weszła do jego pokoju, będąc przekonaną, że pan ją wzywał, stukając w posadzkę do jej izdebki, położonej o piętro niżej. Weszła z twarzą rozradowaną, promienną a zwykłą jej od chwili, gdy wyjazd Klotyldy został zadecydowany i co do godziny oznaczony. Lecz zatrzymała się, jak wryta, spostrzegłszy Pascala leżącego w poprzek łóżka, rozebranego nawpół zaledwie; twarz miał do niepoznania zmienioną, gryzł poduszki, by nie krzyczeć z bólu i tamować jęki, wrywające się z piersi. Chciał się podnieść i ubrać, lecz zatoczył się bezprzytomnie, dysząc ciężko i powietrza złapać nie mogąc.

Zbyt gwałtowne bicie serca wywołało omdlenie, a gdy po chwili przyszedł do siebie, zaczął urywanymi słowami odkrywać swą męczarnię.

— Nie, nie mogę, cierpię zbyt wiele... Wolę umrzeć, o tak, wolę umrzeć natychmiast...

Poznał Marcynę i słów swych nie powstrzymał, spowiadał się, jak człowiek zbyt nim nawałem troski przygnieciony, zmiażdżony nią na zawsze, bezpowrotnie przepadający.

— O moja pocziwa Marcyno, jakże ja cierpię, serce mi się rozsadza wezbrane... To serce, które ona dziś z sobą unosi wraz z całą moją istotą. Żyć bez niej nie zdołam! Myślałem, że umrę tej nocy, i chciałbym umrzeć, nim ona dom ten opuści! Chciałbym umrzeć, by nie doczekać chwili straszliwej, gdy żegnać się nam przyjdzie... O Boże, ona odjeżdża, odemnie a ja pozostanę samotny, na zawsze...

Wierna stara sługa, dopiero co z promienną i wesołą twarzą stojąca, posmutniała nagle, przybrawszy wyraz ostry, bolesny. Przez chwilę patrzyła na niego, jak rwał bezwiednie płótno swej pościeli kurczem zaciśniętymi rękoma, jak wył jękiem najwyższej rozpacz, zatykając sobie usta dla stłumienia wyrrywających się z piersi krzyków. Nagle rzekła z wysiłkiem, lecz stanowczo:

— Ależ panie, to niewolno tak się poddawać zmartwieniu. Lecz kiedy tak jest, jak pan mówi, to pójdę po panienkę, niech wie, do jakiego stanu pan się doprowadza z jej powodu...

Na te słowa, powstał raptownie, chwiejąc się cały i pochwycił za poręcz krzesła, by nie paść bezwładnie:

— Zakazuję ci tego! Czy słyszysz, Marcyno, zakazuję!

— Nie mogę pana usłuchać w tym wypadku! Miałbym usłuchać, aby pana znów znaleźć kiedy na wpół tylko żywego i płaczącego z bóleści!... Nie, nie, pójdę po panienkę i powiem jej całą prawdę a nawet zmuszę, aby z nami została.

Lecz chwycił ją za rękę nie puszczając i ściskając z gniewem.

— Rozkazuję ci siedzieć cicho i krokiem się nie ruszyć. Czy słyszysz? Bo inaczej precz sobie z domu pójdziesz... Po co tu weszła?... Byłem chory, bo ten wicher o słabość mnie przyprowadził, lecz nikomu wtrącać się do spraw moich niewolno!

Zwolna zaczął się uspakajać, rozczulać, wreszcie dobroć jego zwykła zapanowała zwyczajko i uśmiechnął się łagodnie.

— Moja biedna Marcyno, oto rozgniewałem się na ciebie, sam nie wiem dlaczego! Ale pozostaw mnie samemu sobie, niech się stanie podług postanowienia mojego a ku dobru nas wszystkich. Tylko proszę cię, ani słówka nikomu nie rzeknij o tem, coś widziała i słyszała. Inaczej sprawisz mi bardzo wielkie zmartwienie.

Łzy nabiegły do oczu Marcyny. W porę ukończyli swą sprzeczkę, gdyż w tej chwili weszła do pokoju Klotylda; wstała dziś wcześniej, nie tracąc jeszcze nadziei, iż może jeszcze Pascal da się wzruszyć i zechce ją zatrzymać przy sobie. Powieki miała ciężkie po bezsennie spędzonej nocy, zatrzymała oczy swoje na Pascalu, patrząc nań badawczo a zarazem pytająco. Spostrzegła zmianę w jego twarzy, chociaż się uśmiechał i pytać zaczęła troskliwie.

--- Nie mi, nie. Upewniam cię, że zupełnie nic mi nie jest. Byłbym nawet spał wybornie, tylko mistral nieco mi przeszkadzał... Wszak toż samo tobie mówiłem, Marcyno?

Wyzwana w ten sposób Marcyna, kiwnęła potakująco, że tak mówił, nie inaczej. Klotylda z uległością przestała się pytać i zamilkła o własnej swej nocy, którą spędziła na walce i bólu, podczas gdy on śmiertelne męki ze swej strony ponosił. Obydwie kobiety dopomagały mu jednoznacznie w tej pracy zapomnienia o sobie samym.

— Poczekaj — zawołał, otwierając szufladę biurka, mam tutaj coś do oddania ci... Oto masz, w tej kopercie znajdziesz siedemset franków...

I pomimo oporu Klotyldy i jej proźby, wziął się na zdanie jej drobiazgowego rachunku z pieniędzy... Z sześciu tysięcy franków, otrzymanych za klejnoty, wydanych było zaledwie dwieście, zachowywał dla siebie sto, co przy oszczędności wystarczyć mu powinno do końca miesiąca. A potem, wszak ma sprzedać Sulejadę, wreszcie będzie pracował i da sobie radę najniezawodniej. A tych oto pięciu tysięcy nie ruszy, może być ona o to spokojną, bo uważając je za jej pieniądze, za jej własność, składa je oto tutaj w szufladzie, by w razie potrzeby mogła je z czasem odnaleźć.

— Mistrzu, mistrzul Po cóż mi dokuczasz swojemi słowami?

Przerwał jej.

— Ja tak chcę i nie opieraj się, gdyż byłoby to na-

próżno; więc mi nie dokuczaj słowami swojemi... No, a teraz jest już godzina wpół do ósmej, więc idę poprzewiazywać twoje kufry sznurami, bo zapewne zamknąć je musiałaś.

Gdy Klotylda z Marcyną pozostały sam na sam, patrzyły na siebie czas jakiś w milczeniu. Od zaszłej zmiany w stosunkach Klotyldy z Pascalem, dwie te kobiety wiodły z sobą głuchą, tajemną walkę; stara, wierna sługa, pełna była zazdrości względem przewagi, wywieranej na ukochanego jej pana przez młodą i piękną dawną swoją wychowankę. Dziś, zdawało się, iż Marcyna napowrót odzyska dawne stanowisko wpływowe. Lecz w nadchodzącej chwili rozstania, ogarniające wzruszenie zbliżyło je ku sobie.

— Marcyno, ty dbać o niego będziesz i postarasz się, by jadał trochę lepiej? Przrzekasz mi, że codziennie będzie miał mięso i wino przy jedzeniu?

— Niech panienka będzie o to spokojna.

— I wiedz jeszcze, moja dobra Marcyno, że te pięć tysięcy franków, które ma w biórku, są jego pieniędzmi a nie mojemi. Nie chcę, byście mieli głodzić się wzajemnie, mając w domu zasoby. Dogadzaj mu, jak tylko możesz.

— Powtarzam, niech panienka będzie spokojna. Przrzekam, iż panu na niczem nie zbraknie.

Zamilkły, patrząc wciąż jedna na drugą.

— Pilnuj go także, aby nie pracował zbyt wiele. Wyjeżdżam bardzo o niego niespokojna, od jakiegoś czasu znacznie podupał na zdrowiu. Będziesz go pielęgnować, wszak prawda, Marcyno?

— Tak, będę go pielęgnowała, niech się panienka o to nie kłopotce.

— Powierzam ci go. Teraz tylko ciebie będzie miał przy sobie; pocieszam się myślą, iż bardzo jesteś do niego przywiązana. Kochaj go teraz więcej jeszcze gdy wyjadę, kochaj go za nas obie.

— Tak, panienko, kochać go będę, o ile tylko siły mi pozwolą.

Łzy zabłyśnęły im w oczach a Klotylda jeszcze rzekła:

— Czy chcesz mnie uściskać, Marcyno?

— O panienko! Z całego serca.

Były w swoich objęciach, gdy wszedł do pokoju Pascal. Udał, że ich nie widzi, zapewne dla uniknięcia własnego rozczulenia. Głosem donośniejszym, niż zazwyczaj, dopytywał się, czy nic już nie zostało do zapakowania, nadając sobie wygląd człowieka, zajętego jedynie myślą, aby trafiono w porę na pociąg, nie zapominając czego. Kufry poprzewiązywał sznurami a stary Durieu, furman z Plassans, przyjechał z wózkiem dla zabrania ich na stację; nie będą już mieli z niemi do czynienia, aż dopiero na dworcu kolejowym. Była teraz godzina ósma, mieli więc jeszcze dwie godziny czasu do spędzenia razem. Godziny wlokły się zwolna, uciążliwie, a zarazem śmiertelnie dotkliwie, zaprawione goryczą wciąż powracającej myśli wiecznego rozstania. Śniadanie zajęło im zaledwie kwadrans. Poczem wciąż wstawali, by znowu zasiąść bezczynnie i trwożnie. Oczy ich bezustannie biegały ku skazówkom zegara. Minuty wydawały

się długie, nieskończenie długie, jakby konanie zawisło marą grobową, nad domem i ogrodem zionącym pustką.

— Ach, jakiż wiatr! — powiedziała Klotylda, za silniejszym podmuchem mistrala, od którego wszystkie drzwi jęknęły.

Pascal zbliżył się do okna i patrzył na kłaniające się drzewa, pochylone i jakby pędzące pod nawałą wichru.

— Tak, wzmógł się więcej jeszcze z dzisiejszym rankiem. Będę musiał obejrzeć dach cały, bo jestem przekonany, iż wiatr musiał go uszkodzić.

I już nie byli razem, chociaż stali blisko siebie. Słuchali tylko wichru, szumem i łoskotem napełniającego powietrze, rwącego po drodze wszystko a nawet ich życie.

Wreszcie nadeszła godzina wyjazdu; Pascal rzekł z prostotą:

— Już czas, Klotyldo.

Powstała ze swego krzesła. Chwilami zdawało się jej, iż zapomina o wyjeździe. A tu nagle, stanęła rzeczywistość sroga. Spojrzała na niego po raz ostatni, lecz on i teraz ramion swych nie wyciągnął do niej, by ją zatrzymać w swym uścisku. Koniec więc tak straszny następował. Twarz jej stała się martwą, jakby skamieniałą.

Zamienili z sobą kilka frazesów.

— Będiesz do mnie pisywał?

— Będę. Lecz i ty nie zapominaj o listach. Pisz do mnie jaknajczęściej.

— Zwłaszcza, gdybyś zachorował, przywołaj mnie natychmiast.

— Tak, obiecuję ci, że tak uczynię. Lecz się nie obawiaj, jestem zdrow i silny.

Należało się już śpieszyć z wyjazdem na stację kolejową, i Klotylda po raz ostatni rzuciła wzrokiem na ukochane ściany. Uniesiona wzruszeniem, padła na pierś Pascala i objawszy go obiema rękoma, rzekła:

— Chcę cię raz jeszcze uściskać. Mistrzu, dziękuję ci, żeś mnie zrobił tem, czem jestem. Tak, nieraz sam mi to mówiłeś, zdołałeś naprawić ciężące na mnie błędy dziedziczości. Czemże byłabym, gdybym rosła w otoczeniu, w jakim chowano Maksyma? Oh! Jeżeli jestem coś warta, to tylko dzięki tobie jednemu. Przesadziłeś mnie z grantu zatrudzonego do domu swojego, gdzie prawda i dobroć zawsze mieszkały i tu przy boku twoim wzrosłam, aby się stać godną przywiązania twojego. Dziś, jakkolwiek hojnie obdarzoną darami, wydałasz mnie z pod twojego dachu. Niechaj się stanie według woli twojej, lecz ja dla ciebie posłuszną nazawsze pozostaję. Kocham cię pomimo wszystko, i kochać nie przestanę.

Przycisnął ją do serca, odpowiadając:

— Pragnę tylko twojego szczęścia a w ten sposób spodziewam się zabezpieczyć ci je...

I przy ostatnim pocałunku, jaki zamienili z sobą, pocałunku rozzierającym całą ich istotę, ona szepnęła cichutko, westchnąwszy:

— Ah, gdyby dziecko było się nam urodziło!

A ciszej jeszcze, głosem przez łyzy tamowanym, zdawało jej się, że słyszy niewyraźnie dopowiadane jego słowa:

— Tak, tak, dziecko, o którym marzyliśmy, to jedyne dzieło dobre i pełne prawdy, lecz dla mnie już zbyt wielkie... Przebacz mi, i staraj się być szczęśliwą!

Starą panią Rougon już zastali na dworcu kolejowym. Była wesołą, niezmiernie ożywioną i niepomną swoich lat osiemdziesięciu. Patrzała tryumfująco, pewną teraz będąc, iż syna swego pochwyci w swoje ręce. Widząc ich prawie nieprzytomnymi, zajęła się sama kupieniem biletu, wyekspedowaniem rzeczy i wyszukaniem miejsca w wagonie, dla kobiet przeznaczonym wyłącznie. Następnie zaczęła mówić o Maksymie, dawała polecenia, żądając przyrzeczenia szczegółowych i częstych wiadomości. Pociąg stał na miejscu i upłynęło jeszcze do odejścia niezmiernie długich i mozolnych pięć minut, w czasie których już tylko patrzeli na siebie, nic nie znajdując do powiedzenia sobie wzajemnie. Wreszcie ruszyło wszystko, wymienili pożegnalne pocałunki, koła pociągu zaturkotały i wionęły chustki na znak ostatniego pozdrowienia...

Nagle, Pascal spostrzegł, iż stał już sam jeden przed torem kolejowym, pociąg już mu znikł z oczu na gwałtownym zakręcie. Wtedy, nie słuchając mówiącej do niego matki, puścił się pędem jak młodziak, przesadził kilku susami podmurowania z polnych kamieni, podtrzymujących stoki wzgórza, i w niespełna trzy minuty, znalazł się u siebie w Sulejadzie. Mi-

stral szalał z niesłychaną furią, odwieczne cyprysy, roszące po obu końcach tarasu, gięły się pod jego nawałą, jakby wiotkie trzciny. Wśród wyblakłego nieba zawisło słońce zmęczone, jakby chore od tej nawały, pędzącej po jego obliczu od sześciu dni bez przerwy. Pascal stał wszakże niewzruszenie przed domem a tylko ubranie obijało się o niego, jak chorągiew wiatrem miotana, białe jego włosy i broda rozwiane były burzą. Bez tchu, stał tak, przyciskając rękoma łomoczące w nim serce, i patrzył, ścigając wzrokiem uciekający w oddali pociąg, unoszący Klotyldę. Patrzył wciąż a wśród rozpościerającej się w dali płaszczyzny, pociąg kolejowy malał stopniowo i zdawał się pchany siłą mistralu, jak zeschnięty liść niezdolny stawić najlżejszego oporu.

Począwszy od dnia następnego, Pascal zamknął się w pustym swoim domu. Nie przestępował po za jego progi, zaniechawszy zupełnie odwiedzin u niektórych swoich chorych, żył w osamotnionem milczeniu, zamknawszy drzwi i okna. Wydał przytem stanowczy rozkaz Marcynie, by nie wpuszczała bezwarunkowo nikogo.

— Ale matkę pana, panią Felicję, można wpuszczać?

— Zwłaszcza matki mojej nie wpuszczaj. Mam do tego powody... Powiesz jej, że pracuję, że potrzebuję zupełnego spokoju, więc proszę ją, by tego za złe nie brała.

Raz po raz stara pani Rougon aż trzykrotnie nawiedzała Salejadę. Hałasowała na dole, słyszał gniew-

nie wzburzony jej głos, aż na górze, chciała koniecznie złamać wydany rozkaz Pascala. Powoli głosy na dole pocichły i reszta rozmowy pomiędzy nią a Marcyną toczyła się szeptem, widocznie spiskowały przeciwko niemu, głośno czasami wzdychając. Ani razu nie dał się odwieść od powziętego postanowienia i nigdy nie przyszło mu na myśl, by pochylić się nad schodami, prosząc matkę na górę.

Pewnego dnia Marcyna odważyła się zauważyć:

— To jednak bardzo źle z pana strony, nie dać matce przystępu. Tembardziej, że pani Felicja przychodzi tutaj z czułością i niepokojem, bo przecież wie, iż pieniędzy panu potrzeba a ona chętnie pragnie przyjść z pomocą.

Gniewnie zawołał:

— Pieniądzy od niej nie chcę, czy słyszysz mnie!... Będę pracował; cóż u diabła, bym sobie na życie nie miał zapracować!

Jednakże kwestya potrzeby pieniędzy stawała się naglącą. Przyrzekł, iż nie ruszy ani susa z pięćciu tysięcy franków, leżących w biórku. Teraz, kiedy był sam, życie materialne przestało go kłopotać, chleb i wodę uważał za zupełnie wystarczające pożywienie dla siebie; ilekroć razy Marcyna prosiła go o pieniądze dla zakupienia wina, mięsa, lub czegoś w tym rodzaju, wzruszał tylko ramionami—po co? Wszak został jeszcze kawałek wczorajszego chleba, czyż to nie starczy? Lecz stara sługa, pana swego nad wszystko miłująca, trapiła się jego bólem, który odczuwała, trapiła się również jego skąpstwem, o ileż

teraz większem od jej własnego, żył bowiem jak nędzarz, dom cały w tym kierunku popychając. Najbiedniejszy robotnik w Plassans dogadzał sobie więcej. Wewnętrzna walkę toczyła Marcyna sama z sobą, dnie całe miejsca dla siebie znaleźć nie mogąc. Wierne, łagodności pełne psie jej przywiązanie do pana mocowało się z namiętnem przywiązaniem do pieniędzy, zwłaszcza do swoich pieniędzy, zbieranych zwolna, cierpliwie i odłożonych na bok w miejsce bezpieczne, gdzie, jak mówiła, wysiadują swoje pisklęta. Byłaby wolała odciąć kawałek swojego ciała, aniżeli oderwać cząstkę z uciulanego skarbu. Dopóki jej pan pozostawał z Klotyldą i miał towarzyszkę swego ubóstwa, nie pomyślała nawet o możliwości poratowania go swemi pieniędzmi. Za czyn niezwykle heroiczny trzeba jej poczytać, iż pewnego ranka, ujrzawszy wygasły komin w kuchni, oraz pustki w spiżarni, wyszła z domu na godzinę i wróciwszy, dźwigała pełen kosz zakupionych prowizyj, mając w portmonetce resztę z rozmienionego stu frankowego papierka.

Pascal wszedł prawie jednocześnie do kuchni i zapytał się jej z zadziwieniem, zkąd wzięła pieniędzy, postanawiając wyrzucić wszystko przez okno, jeżeli pochodzą od pani Felicji.

— Ależ nie, panie — poczęła, jękając się niezręcznie — zaraz powiem...

I poczęła opowiadać zmyślony przez siebie koncept, który na wszelki wypadek przygotowała sobie zawczasu:

— Niech pan sobie wyobrazi, że interesa mają się na lepsze u notaryusza... Przyszło mi na myśl zająć tam dzisiejszego ranka, otóż zapewnili mnie, iż się coś okroi dla pana, i że zaraz nawet mogą mi dać sto franków... Dałam im pokwitowanie, czem się najzupełniej zadowolnili. Pan to ureguluje kiedyś później...

Doktór nie zadziwił się bynajmniej. Była ona prawie pewną, że nie pójdzie sprawdzać, ani dowiadywać się o bliższe szczegóły. W każdym razie ulżyło jej znacznie, widząc, z jaką łatwością uwierzył w prawdziwość jej opowiadania.

— No, tem ci lepiej!—zawołał. Zawsze mówiłem, że rozpaczać w takich razach niewarto. Będę zatem miał czas spokojnie się zabrać do zorganizowania moich interesów, oraz projektowanych zajęć.

Interesami swojemi nazywał myśl sprzedania Sulejady. Nie był jeszcze stanowczo zdecydowany, bo jakżeż straszne, bolesne będzie jego rozstanie się z tym domem, w którym wzrosła Klotylda, w którym żyła przy nim przeszło osiemnaście lat. Pozostawił sobie parę tygodni do ostatecznego namysłu. Lecz teraz, gdy błysnęła możność odzyskania części utraconych pieniędzy, zaniechał myśli o sprzedaży. Zdał się w zupełności na Marcyne, jadł co mu podała, nie spsstrzegając nawet powrotu pewnego dobrobytu; ona zaś w ubóstwieniu dla pana swojego, chętnieby mu podawała na klęczkach, byle jadł i był spokojny; cierpiała srodze nad uszczerbkiem, czynionym w ubieranych pieniądzech, lecz zarazem, jakże była

szczęśliwą, karmiąc go sobą, życiem i krwią własną głód jego zaspakajając!

A niejedną przykrość miała teraz do zniesienia ze strony Pascala. Żałował tego sam, następnie rozczulił się i przyrzekał sobie więcej panować nad ogarniającemi go łatwo uniesieniami gniewu. Lecz żył w stanie gorączkowego rozdrażnienia i rozpacz, trudno mu więc było wymódl na sobie więcej spokoju, unosił się też gniewem byle z jakiej przyczyny. Pewnego wieczoru, słysząc długą, przyciszoną rozmowę Marcyny z matką, wybuchnął szalonym gniewem zaraz po wyjściu starej pani Rougon:

— Marcyno, ja nie chcę, by ona nachodziła mnie! Czy słyszysz, Marcyno! Jeżeli raz jeszcze przyjmiesz ją w moim domu, oddalę cię natychmiast!

Słuchała go z osłupieniem. Od lat trzydziestu dwóch jak mu służyła, nigdy jeszcze nie groził jej wydaleniem ze służby. Oczy zaszczyły jej łzami.

— Och paniel! Czyżby pan miał serce wypędzać mnie z domu! Ależ jabym nie poszła, w poprzek drzwi ległabym na ziemi, nie ruszając się z miejsca.

Zawstydził się swej złości i rzekł już łagodniej:

— O bo ja wiem dobrze, co się dzieje. Ona przychodzi, by ci w głowie przewracać, by cię przeciwko mnie buntować—może nie?... Ona czyha na moje papiery, chciałaby je skraść wszystkie, zniszczyć wszystko, co mam na górze w mojej szafie. Znam ja dobrze jej charakter; jak czego zapragnie, nie przebiera w środkach, byle dojść do zamierzonego celu... Możesz jej powiedzieć, że się jej strzegę i pa-

pierów moich pilnuję, nie dam jej przystąpić do szafy, dopóki żywym będę. A klucz od niej mam zawsze przy sobie.

I rzeczywiście strach dawny, obawa uczonego o utratę owoców pracy życia całego, wróciły i dukały mu z całą dawną potęgą. Od czasu, jak żył w osamotnieniu, nie opuszczała go trwoga grożącego niebezpieczeństwa, zasadzki bezustannej przeciw niemu skierowanej i w cieniu ukrytej. Koło złowrogich spisków zdawało się zacieśniać, i jeżeli tak szorstko bronił się przeciw opanowaniu go przez matkę, jeżeli tak brutalnie odpychał szturmy przez nią przypuszczane, czynił to jedynie ze względu na pewność niezachwianą co do właściwego jej celu; lękał się, by go przebiegłością swą usidlić nie zdołała.

Gdyby jej otworzył wstęp do Sulejady, zawładnęłaby nim powoli, obezwładniając go nieznacznie dla ostatecznego odniesienia zwycięstwa. Męczarnie jego wzmagaly się, dnie całe był na straży, drzwi zamykał własnoręcznie każdego wieczoru a nocą wstawał kilkakrotnie dla przekonania się, iż nikt u szafy nie wysadził zamka. Lękał się, iż Marcyna ulegnie namowom i pokusom jego matki, uwierzy w potrzebę zbawienia jego duszy od piekielnych ogni pośmiertnych i wpuści ją cichaczem, drzwi nocą uchyliwszy. Zdawało mu się, iż widzi teki płonące w kominie i strzegł je, by zagładzie nie uległy; zbudziła się w nim dawna żądza namiętnego do nich przywiązania, podniecał w sobie bezgraniczną miłość do tych stosów zimnego, sztywnego papieru, który życie jego

pochłonał, pozbawiając i odrywając go od miłości, chciał więc kochać je na tyle, by o niczem więcej nie myśleć i nie cierpieć.

Od czasu wyjazdu Klotyldy z Sulejady, Pascal zagłębił się w pracy, chcąc w niej zatonać, zginać. A jeżeli zamykał się w domu i nigdy zeń nie wychodził, nawet na przechadzkę po ogrodzie, jeżeli zdobył się na odporną siłę, by nie przyjąć Ramonda, który go odwiedził, to czynił w celu, by zagłuszyć, znieczulić się na wszystko co nie było pracą, pragnął samotnością i znużeniem spokój sobie okupić. Jakże byłby serdecznie uścisnął Ramonda! Odgadywał bowiem delikatność uczucia w jego odwiedzinach; Ramond przybywał, by rozerwać i pocieszyć osieroczonego mistrza. Lecz dlaczego miał czas zabierać pracy? Dlaczego miał się narażać na wzruszenia i łzy w niemoc go wtrącające? Wraz ze świtem zasiadał do pracy, spędzając przy biurku ranki, dni i wieczory całe, do późna w nocey czuwając przy lampie. Pragnął wprowadzić w wykonanie dawny swój projekt, opracować podług nowego planu całą swą teorię o dziedziczności. Posługując się papierami i dokumentami, zebranymi o własnej swej rodzinie, chciał zestawieć prawa, podług których życie szereguje i matematycznie wywodzi jedną istotę od drugiej, oraz dojść, jaką rolę odgrywają, jak oddziałują okoliczności poboczne. Pragnął utworzyć rodzaj biblii, genezy rodzin, społeczeństw, ludzkości całej.

Miał nadzieję, iż sam obszar planu podobnego dzieła, wysiłek potrzebny do wykonania takowego, po-

chłonie go ogromem idei, przywracając mu zdrowie, oraz ufność w siebie; liczył, iż rozbudzona duma dostarczyć mu zdoła nieprzebranych otchłani wyższych rozkoszy, wypływających z pracy nad tak potężnem zadaniem. Lecz napróżno pragnął rozniecić w sobie podobne żądze; napróżno chciał się upoić pracą, wysiłek podobny był nad jego siły, męczył tylko nadmiernie całą swoją istotę; skupienie uwagi niepodobnem dlań było, sercem żył po za pracą, do której się przymuszał, codziennie był słabszym, bardziej chorym i bardziej zrozpaczonym. Miał więc stracić wiarę w dobroczynne i wszechpotężne oddziaływanie pracy? On, który życie swoje poświęcił i rzucił pracy w ofierze, on, który uważał pracę za motor najsilniejszy, dobroczynny i pocieszenie dający, będzież teraz musiał zmienić swe poglądy i uznać, że kochać i być kochanym — to najpotężniejsza dźwignia, światem rządząca?

Coraz wyraźniejszego doznawał uczucia, iż wszystko dla niego było skończone. Tęsknota za Klotyldą, ból iż jej mieć nie może, pewność, iż szczęście bez niej nie wróci już nigdy, opanowywały nim coraz silniej, zalewając go potokiem boleści, unoszącej wszystko na plany dalekie i coraz dalsze. Praca została pokonana bólem i coraz częściej teraz zdarzało się, iż pochylał głowę nad rozpoczętą kartą i płakał godzinami całemi, nie mając dość woli nad sobą, by pióro ująć na nowo. Przyrzekał sobie wszakże wytrwać w postanowionem zadaniu, lecz coraz częściej dzień upływał strwoniony w bólu, doprowadzając go do

nocy strasznej, bezsennej i gorączkowej; gryzł pościel, by głośnem wołaniem nie wzywać Klotyldy. A była ona wszędzie w tym pustym i głuchym domu, gdzie żył on jak w więzieniu. Odnajdywał ją w każdym pokoju, na każdym krześle, za każdymi drzwiami. Siadając do stołu w pokoju jadalnym na dole, wciąż mu się zdawało, iż widzi jej postać naprzeciw siebie. W sali na górze, gdzie pracował, towarzyszyła mu bezustannie; żyli tu oni tak długo razem, iż w każdej rzeczy odnajdywać się ją zdawał; obraz jej promieniował zewsząd ku niemu, ciągle i zawsze czuł ją wywołaną tuż obok siebie a smukła jej postać o czystym profilu, częstokroć pochyloną zdawała się być nad rysunkiem lub pastelem przed zwykłym jej stolikiem. A jeśli nie uchodził z domu przed tem drogiem, lecz męczącem go widmem, to tylko dlatego, iż wiedział na pewno, że odnajduje ją w ogrodzie, marzącą na tarasie, drobnym krokiem przechadzającą się po sosnowym asku, lub też siedzieć będzie w cieniu jaworów, wsłuchana w szmer kryształowego źródła. że wreszcie wpatrzoną w gwiazdy, spotka ją leżącą na ogrzanej promieniami słońca starem klepisku. Jedno było zwłaszcza miejsce, gdzie pragnął być zawsze a gdzie zarazem lękał się pozostawać; do świątyni tej wchodził i stawał przed ołtarzem ze drzeniem; miejscem tem był pokój Klotyldy i łóżko, gdzie tyle nocy rozkosznych przebyli w swych objęciach. Klucz od pokoju miał zawsze przy sobie, nic tu z miejsca nie ruszył od dnia jej wyjazdu, z czcią należną świętości, szanując pozostałe po niej pamiątki. Tutaj, zdawało mu się, że od-

dycha jej tchnieniem, jej lubą wonią młodości, przesycającą powietrze upajającym zapachem. Roztwierał ramiona, jakby widmo jej chciał pochwycić i uścisnąć, lecz widmo to rozpływało się w mrocznym półcieniu pokoju a przymknięte okiennice przepuszczały tyle zaledwie światła, by rozpoznać mógł sprzęty, koloru jutrenki, stojące pod ścianami. Płaczem wybuchał i skarżył się przed niemymi temi świadkami, całował łóżko i na pościeli odcisniętą jej postać o cudnie smukłych i uroczych kształtach. Radosne uczucie, jakiego doznawał w tej chwili, połączone ze smutkiem, iż Klotylda jest daleko, tak bardzo wstrząsały jego istotą i wyczerpywały mu siły, iż nie codziennie pozwalał sobie przebywać tutaj; w chłodnym jego sypialnym pokoju, pomimo bezsenności i gorączki, złudzenie nigdy nie zdawało się tak blizkiem i żyjącem, jak w świętym przybytku, gdzie mu się oddała.

Dnie tak płynęły wśród pracy i bólu, urozmaicone listami Klotyldy. Pisywała do niego regularnie dwa razy na tydzień, opisując na ośmiu lub dziesięciu stronicach szczegóły teraźniejszego swego życia. Zdawało się, iż bynajmniej nie zadawalniał jej pobyt w Paryżu.

Maksym, nie mogący ruszyć się z fotela, męczył ją kaprysami, właściwemi dzieciom lub chorym; z każdego jej zdania odczuć było można, iż żyła jak na uwięzi tuż obok niego, na chwilę nie mogąc się oderwać, by popatrzeć chociażby przez okno na przepływające wykwintne tłumy powozów i ludzi, dążących do

Bulońskiego lasku. Z niektórych jej wyrażen można było odgadnąć, iż Maksym, jakkolwiek domagał się jej przybycia, zaczynał ją podejrzewać, nienawidzić może, posądzając o wyrachowanie, przebiegłość, żył on bowiem w bezustannej obawie, iż każdy z otaczających chce go wyzyskać lub wprost okraść. Z ojcem widziała się dwa razy; był zawsze wesoły, niezmiernie zajęty, oddany Rzeczypospolitej, tryumfujący tak na polu finansowem, jak politycznem. Saccard wziął ją na stronę, oświecił do co przywar Maksyma i zapewnił, iż podziwia jej odwagę, by się dobrowolnie skazać na ofiarę tak nieznośnego człowieka, jakim mienił swego syna. Ponieważ przy chorym wiele miała do czynienia, ojciec przysłał jej do pomocy młode, osiemnastoletnie dziewczę, córkę swego fryzjera. Nazywała się Róża, była blondynką o naiwnym wyrazie twarzy. Klotylda unikała martwić Pascala i nie narzekała; przeciwnie, pisała, że jest zadowolnioną i stosującą się do nowych dla niej warunków. Listy jej były czułe, lecz pomijała w nich wspominać o trosce swej i bólu, skutkiem rozstania i nigdy nie zwróciła się do Pascala z prośbą, by przywołał ją do siebie. Mimo tego spokoju, odczuwał on w każdym jej słowie bunt i oburzenie przeciw losowi, szaloną tęsknotę i chęć rzucenia wszystkiego i przybycia do Sulejady. Wyczekiwać się zdawała niecierpliwie skinienia z jego strony!

Lecz wyczekiwała napróżno. Pascal postanowił być niezłomnym; niechaj uczyniona ofiara próżną się nie staniel Stosunek jej z Maksymem niemiłym jest

tylko chwilowo, przyzwyczai się i przywiąże z czasem do pielęgnującej go siostry. Niewolno mu słabnąć i poddawać się bólowi, wzywać jej do siebie i narażać na utratę korzyści, mogących dla niej wyniknąć z dokonanego rozłączenia. Nigdy podobno takiego wysiłku woli nie dawał dowodów, jak teraz, gdy odpisywał na listy Klotyldy. W czasie nocnych swych męczarni przywoływał ją całą istotą swoją, wstawał, by do niej pisać, błagając, by wróciła zaraz, natychmiast. Wraz z brzaskiem dnia gorączka opadała z ostatnimi łzami i odpisywał na list Klotyldy krótko, prawie obojętnie. Zważał na każde swoje wyrażenie i rozpoczynał list nowy, jeżeli dostrzegł, iż niedość surowym był dla siebie stróżem. Ale jakże go męczyły te listy, tak krótkie, lodowate, przeciwne uczuciom, napełniającym jego serce, pisane jedynie w celu zniechęcenia jej, oskarżenia się i wmówienia w nią, iż powinna go zapomnieć, kiedy on ją zapomina z dniem każdym. Kroplisty pot spływał mu po twarzy, kończył pisanie wyczerpany na siłach, jak po dokonaniu nadludzkiej czynności.

Nadszedł październik i miesiąc już minął od wyjazdu Klotyldy, gdy pewnego ranka Pascal gwałtownie zaniemógł. Kilkakrotnie doświadczał przykrego uczucia wielkiej duszności, braku tchu z osłabieniem, lecz kładł to zazwyczaj na karb nadmiernej pracy i zmęczenia. Tym razem wszakże symptomy były wyraźne i mylić się nie mógł co do ich doniosłości; kłójący ból w okolicy serca rozciągał się ku górze, obejmując całą klatkę piersiową i opuszczał się wzdłuż

lewego ramienia; towarzyszyło mu nieznośne uczucie niepokoju i przygnębienia, połączone z zimnemi, obfitemi potami. Był to oczywisty atak bolesnej dusznicy. Ból gwałtowny trwał nie dłużej nad minutę. Pascal był nim więcej zadziwiony, aniżeli strwożony. Ulegał on powszechnie przyjętemu przez lekarzy przekonaniu o nieskazitelności własnego zdrowia, i nigdy dotychczas nie posądził się o wadę serca.

Właśnie lepiej mu się trochę zrobiło, gdy weszła Marcyna, mówiąc, iż doktor Ramond jest na dole i pragnie widzieć się z nim koniecznie. Pascal, ulegając chęci dowiedzenia się z ust kolegi, co myśli o doświadczonym dopiero co ataku dusznicy, rzekł:

— Niechże przyjdzie, skoro tak się upiera. Zobaczę go z przyjemnością...

Rzucili się sobie w objęcia, lecz o nieobecnej nie rzekli do siebie nic, uścisk tylko wymowny i serdeczny wyraził im nawzajem, jak dalece rozumieli się w tym względzie.

— Nigdybyś nie odgadł, mistrzu, w jakim interesie do ciebie dziś zaszedłem, rzekł zaraz na wstępie Ramond. Sprowadziły mnie tutaj kwestye pieniężne... Tak, wczoraj jeszcze teść mój, pan Levêque, znany ci notaryusz, mówił mi obszerniej o twojej sumie, którą masz u pana Grandguillota. Radzi ci, mistrzu, byś się począł starać, gdyż są osoby, które zdołały coś swego uratować.

— Tak, tak, wiem coś o tem—odpowiedział Pascal. Marcyna już nawet otrzymała od niego około dwustu franków, o ile mi się zdaje...

Ramonda zdziwiła mocno ta wiadomość.

— Jakto, Marcyna? Bez żadnego twojego współudziału... Lecz mniejsza z tem, chcę tylko wiedzieć, czy upoważniasz mojego teścia, by zajął się twoją sprawą? On wyprowadzi rzecz całą na czystą drogę, kiedy ty, mistrzu, ani umiesz, ani chcesz się zajmować podobną robotą.

— Naturalnie, że upoważniam pana Levêque i powiedz mu, iż serdecznie jestem wdzięczny za pamięć o mnie.

Skończywszy rozmowę o intererach, młody doktor, widząc bladość na twarzy Pascala, począł się dopytywać o zdrowie, na co Pascal odrzekł z uśmiechem:

— Wyobraź sobie, mój drogi, że miałem atak bolesnej dusznicy. I to nie żadne urojenie, wszystkie symptomata na sobie odczułem. I kiedy już tu jesteś, bądź łaskaw i osłuchaj mnie uważnie.

W pierwszej chwili Ramond chciał ominąć tę propozycję żartem. Czyż taki prosty żołnierz, jak on, będzie miał śmiałość wyrokowania o swoim generale?... Zaczął go wszakże badać, znajdując zmianę w jego twarzy, jakby się jej rysy przeciągnęły, wycieńczyły, podczas gdy oczy zdradzały przestrah, lub brak przytomności. Osłuchał go wreszcie z wielką starannością, długo trzymając ucho przyłożone do jego piersi. Kilka minut upłynęło w najzupełniejszym milczeniu.

— No i cóż?—zapytał Pascal, gdy Ramond uniósł wreszcie głowę.

Młody doktor nie natychmiast dał odpowiedź. Czuliwem badawczo utkwiony w siebie wzrok Pascala. Oczu swych nie odwrócił i widząc spokojną odwagę mistrza, rzekł bez ogródki:

— Tak, to prawda, jest pewne stwardnienie.

— Bardzo jesteś poczciwy, że mówisz mi prawdę. Lękałem się, że zechcesz mnie uspakajać kłamstwem, i byłbym się tem bardzo zmartwił.

Ramond znów go osłuchiwać począł, mówiąc półgłosem:

— Tak, serce ma tętno zbyt energiczne, pierwszy ton jest głuchy, podczas gdy drugi przeciwnie, jest zbyt donośny... Wierchołek sercowy zbacza w kierunku linii pachowej... Tak, musiało się na pewno utworzyć stwardnienie...

Wreszcie rzekł, skończywszy badanie:

— Dwadzieścia lat z tem żyć można.

— Tak, czasami—odpowiedział Pascal. Tylko się też zdarza, iż można paść trupem raptownie, jak od pioruna...

Rozmawiali jeszcze dość długo, zastanawiając się nad szczegółami podobnej choroby, którą wzajemnie obserwowali u chorego w szpitalu w Plassans. Wreszcie Ramond pożegnał się, mówiąc, że przyjdzie, gdy tylko będzie miał nowiny od teścia w sprawie z panem Grandguillot.

Pascal, pozostawszy sam, zrozumiał, iż wyrok śmierci został już na niego wydany. Doznawane od kilku tygodni przykre bicia serca i zawroty głowy, wyjaśnionemi dłoń, zostały. Sam uczuwał, iż nie mo-

gło być inaczej, serce jego musiało uleść zniszczeniu, jako organy zbyt bowiem ustawicznie żył w ciągłym naprężeniu, skutkiem nadmiernej pracy i wszechstronnego uczucia miłości. Tak, to wielkie zmęczenie, jakiemu teraz ulegał, było zwiastunem blizkiego zgonu, ludzi się nie mógł i nie uczuwał tego potrzeby. Bogażni nie doznawał żadnej. Pierwszą jego myślą było, że i on spleca dług na nim ciężący prawem fizyologicznej dziedziczności, wada serca bowiem jest jednym z dowodów niedostatku i zubożenia czerstwości rasowej. Członkowie jego rodziny, ulegając newroznie, stali się cnotliwymi, albo występnyymi, zdradzali w sobie znamiona geniuszu, lub idiotyzmu, byli pijakami, mistykami; niektórzy pomarli z suchot, z epilepsyi, lub z wyschnięcia mlecza pacyerzowego; on zaś żył namiętnością pracy i miłości, umrzeć więc musiał z choroby serca. Nie drżał i nie złorzeczył, iż ulega z kolei ciężącej fatalności; uznając dziedziczność fizyologiczną za prawo naturalne, poddawał się mu, jako nieodzownej konieczności. Miał przekonanie, iż wszelki bunt przeciwko prawom natury zły jest i próżny, korzył się więc i z powolnością poddawał tajemniczemu prawidłu. Jakże mógł kiedyś tryumfować, radośnie zaznaczając, iż w niczem nie ma wspólności z resztą rodziny? Jakże mógł tak dalece różnym się mienić z ich krwi pochodząc? Brakło mu więc filozoficznego zastanowienia. Potwory tylko uważać można za wyjątki zwyrodnienia. Otóż teraz uważał się za członka swej rodziny ze spokojem wielce różnym od dawnego oburzenia; być z tej lub innej

rodziny, czyż nie wychodziło na jedno? Czyż wszystkie rodziny nie są do siebie podobne, tak jak ludzkość cała wszędzie jednaka i z tą samą dozą złego i dobrego? Zagrożony cierpieniami śmierć powodującymi, stawał się coraz bardziej pokornym i ulegającym prawom natury życiem rozporządzającej.

Pascal żył obecnie myślą, iż śmierć go zaskoczy lada chwila. Pod wrażeniem tej myśli, jeszcze wyszlachetniał i zdołał żyć w zupełnem zapomnieniu o sobie samym. Pracował równie usilnie, lecz sformułował się w nim pogląd, iż wysiłek powinien sam przez się zadowolenie przynosić, rezultat bowiem pracy, samo dzieło, jest tylko utworem przejściowym a nigdy słowem ostatniem.

Marcyna, pewnego wieczoru, podając obiad, powiedziała mu, iż Sarteur, dawny jego pacjent z przytułku w Tulettes, powiesił się niewiadomo z jakiej przyczyny. Cały wieczór zastanawiał się nad tą śmiercią kapelusznika, o którym przypuszczał, iż wyleczył go w swoim czasie z napadów szaleństwa, popychających go do zbrodni; okazuje się, że zastrzykiwania podskórne nie podziałały radykalnie i szaleństwo wróciło; pozostało wszakże przytomności jeszcze na tyle, iż Sarteur wołał sam sobie śmierć zadać, aniżeli wydrzeć życie pierwszej lepszej nawinąć mu się mogącej ofierze. Uprzytomniał sobie postać Sarteura, gdy uzdrowiony przyszedł mu dziękować; radził mu wtedy zając się rzemiosłem, by praca utrwalenie przyniosła w polepszonym jego zdrowiu. Lecz czemu była ta siła destrukcyjna? Potrzebą mordu zastąpioną wła-

snem morderstwem nieszczęsnego. Śmierć żniwo swe zbiera tak lub inaczej! Wraz ze śmiercią Sartheura, zniknął jedyny człowiek, mogący swem uzdrowieniem być dowodem słuszności jego metody zaskrzykiwań podskórnych; дума Pascala malała z dniem każdym, i zasiadając do pracy, czuł się poczynającym dopiero uczniem; rozpoznawał za ledwie pierwsze litery wiedzy, pragnął jej a ona, coraz bardziej oddalająca się, wzrastać się zdawała.

Pogodę umysłu Pascala zakłóciła teraz myśl, co się stanie z jego starym Bonhommem, jeżeli umrze w pierw niż poczciwe, wysłużone konisko. Biedne zwierzę oślepiło zupełnie a nogi tak miał sparaliżowane, iż nie ruszał się z legowiska. Gdy Pascal wchodził do stajni, Bonhomme odwracał głowę, zachowując dotychczas słuch i wrażliwość na pieczyoty swego pana, który całował go nad oba nozdrza, podług dawnego zwyczaju. Mieszkańcy Plassans śmieli się i ruszali ramionami na podobne dziwactwo doktora, pielęgnującego niedołączne zwierzę, jakby krewnego. Ale teraz, sam zagrożony śmiercią, czyż umrzeć ma on z myślą, iż nazajutrz zaraz sprowadzą oprawcę, by dobił starego jego przyjaciela? Pewnego ranka Pascal wszedł do stajni a Bonhomme nie zwrócił głowy ku niemu... Już nie żył; leżał w spokoju i jakby zadowolniony, iż śmierć mu ulgę przyniosła. Pascal pochylił się nad nim i, przykłonawszy, pocałował po raz ostatni a dwie wielkie łzy stoczyły się na trupa.

Tego samego dnia Pascal miał sposobność czynie

nia spostrzeżeń nad swoim sąsiadem, par-em Bellombre. Zbliżywszy się do okna, spostrzegł go, jak grzał się na bladym listopadowym słońcu, spacerując zwolna po swoim ogrodzie i widok tego ex profesora, żyjącego wciąż w zdrowiu i szczęśliwości, zadziwiał go.

Zdawało mu się, iż nigdy się nie zastanawiał, jakim sposobem ten siedemdziesięcioletni starzec, żyjący samotnie, bez żony, bez dziecka, nawet bez psa, mógł być szczęśliwym, czerpiąc swoje zadowolenie tylko w egoizmie i radości życia po za zwykłymi jego warunkami. Przypomniawszy sobie następnie, jak często oburzał się na niego, jaką ironią obrzucał jego unikanie obowiązków życiowych, jakie złorzeczenia mu przesyłał, nadzieję, którą się pocieszał, iż spadnie na niego kara w postaci jakiej dawnej kochanki lub krewnej, przybywającej niespodziewanie, dla wywarcia słusznej zemsty. Lecz nie! Oto żyje on czerstwy i zadowolniony i długie lata żyć będzie w skąpstwie, bezużyteczności, zakamieniały, ale szczęśliwy. Pascal nie czuł już dawnej dla niego pogardy, litował się raczej tak dalece, iż starzec ten wydawał mu się nędznym i marnym, bez przyjaznego dla siebie serca. Czuł, iż chorobę swoją i konanie, samotności przypisać powinien. Serce pękało mu z nadmiaru miłości dla drugich! Lecz o ileż przekładał śmierć, cierpienie, bezgraniczne cierpienie, nad egoizm swojego sąsiada, który był trupem chodzącym, wszystko bowiem, co tchnęło życiem i miłością, w grób złożył dobrowolnie.

Następnej nocy Pascal uległ nowemu atakowi choroby. Straszne duszenie trwało minut kilka, tak iż myślał, że skona, nie mając siły, by przywołać Marcynę. Gdy atak przeminął i swobodniej odetchnął, postanowił jej nie budzić a również milczenie zachować o pogarszającym się tak gwałtownie zdrowiu; widział teraz, iż koniec jest już blizki i za miesiąc może wszystko będzie skończone. Pomyślał o Klotyldzie. Dlaczegoż nie przywołać jej obecnie? Właśnie otrzymał list od niej i chciał odpisać dzisiejszego ranka. Wtem przyszła z kolei myśl o papierach w dębowej szafie zebranych. Jeżeli umrze nagle, to matka zagarnie je natychmiast; wpadną jej w ręce nie tylko teki z rodzinnymi dokumentami, lecz i inne papiery, owoc jego pracy od lat trzydziestu. I w taki to sposób spełnioną zostawie zbrodnią, którą powstrzymywał, stojąc niezmordowanie na straży, wstając nocami, by się przekonać, iż nikt nie wyłamuje zamka u szafy. Zimnym potem zalał się ze strachu, ujrzał się bowiem nagle ograbionym, sponiewieranym, widział popioły swych papierów, ulatujące z resztkami dymów, na cztery światy krańce. I znów myślą zwrócił się ku Klotyldzie; tak, należy ją przywołać, niechaj mu ona zamknie powieki i niechaj pamięci jego broni przed napaścią. Zasiadł do pisania listu, chciał go wysłać nieodzownie dzisiaj przed odejściem pociągu.

Ujrawszy się przed białym arkuszem papieru i z piórem gotowem do pisania, ogarały go skrupuły i niezadowolnienie z siebie samego. Czyż ta chęć

ocalenia rękopismów i rodzinnych dokumentów, rzeczywistym była powodem, skłaniającym go do przywołania Klotyldy? Nie byłż to raczej słabość, przybierająca pozory dbałości? Wymyślona racya dla odzyskania ukochanej? Egoizm był w tem postanowieniu. Myślał o swojej dogodności a nie o jej dobru. I widział ją, wracającą do tego biednego domostwa, skazaną na pielęgnowanie schorzałego starca; widział ją pełną trwogi i przerażenia, gdy konać będzie w jej oczach, lub jeżeli padnie niespodziewanie trupem, rażony śmiercią raptowną, tuż przy jej boku. Nie, nie powinien jej tego wyrządzić, powinien ją uchronić od męczarni żegnania się nazawsze, powinien ją ocalić od nędzy, która ją spotka w tych warunkach! Jeżeli tego nie uczyni, dopuści się zbrodni prawdziwej. Jej spokój i szczęście—to rzecz najważniejsza, o resztę dbać nie należy! Mniejsza z tem, iż zamrze samotnie w swej norze, lecz z pociechą, iż nie nie zaniedbał, aby jej szczęście zapewnić. Co do rękopisów, te najlepiej będzie złożyć Ramondowi, dość siły tylko mieć należy i na to rozstanie. A jeśli i papiery mają uleść zagładzie, niechaj przepadają, niechaj znika wszelki ślad i wspomnienie o nim, byle ona nie cierpiała, byle życie jej dalsze płynęło bez troskil

Począł więc pisać list, lecz pisał go w zwykły swój sposób, zmuszając się na banalność i chłodną obojętność. W ostatnim liście, Klotylda nie skarzyła się na Maksyma, lecz wyraźnie dawała do zrozumienia, iż brat jest dla niej coraz cbojętniejszym, o wiele

przekładając pieczę nad sobą Róży, owej córki fryzjera, przysłanej przez Saccarda; bawiła go ta blondynka z miną wesołą i pełną naiwności. Pascal odgadwał rzecz całą: przebiegłość Saccarda, nasyłającego dogorywającemu synowi tę młodziutką dziewczynę, w nadziei, iż Maksym, zepsutym będąc w latach jeszcze chłopięcych, poczuje skłonność ku lubieżnym zachciankom w chwilach swych ostatnich. Z zimną krwią i rozważą Pascal przesyłał Klotyldzie swe rady, wykazując jej ściśle, iż obowiązkiem jej jest nie zrażać się niczem i dbać przedewszystkiem o dobro brata, poświęcając się aż do końca. Zazwyczaj, gdy list kończył, łzy zaćmiewały mu wzrok zupełnie.

Zdawało mu się, iż wydał wyrok śmierci na samego siebie, naznaczając sobie skon samotny starego opuszczonego zwierzęcia, skon bez ostatniej pieczyoty, bez ręki przyjaznej, która spoczywałaby w jego dłoni. Gdy list już złożył, opanowało go znów zwątpienie: miałże on rację a nawet prawo, zostawiać Klotyldę w zgniliznie otoczenia, w jakim się znajdowała obecnie?

Co rano, około godziny dziewiątej, listonosz przynosił listy i dzienniki; Pascal, mając list do wysłania do Klotyldy, wyczekiwał jego nadejścia, osobiście chcąc mu takowy doręczyć, w obawie, aby korespondencya jego nie była przejmowaną. Otóż dziś, niezmiernie się zadziwił, gdy listonosz oddał mu niespodziewany dnia tego list od Klotyldy. Mimo to wszakże, list swój wyprawił. Wróciwszy na górę, zasiadł przed swoim stołem i rozdarł kopertę.

Po przeczytaniu pierwszych kilku wierszy, ogarnęło go niezwykle wzruszenie, połączone z osłupieniem. Klotylda donosiła mu, iż jest przy nadziei. Jeżeli ociągała się z doniesieniem tej nowiny, to jedynie dla tego, iż chciała być pewną. Lecz teraz nie miała już żadnej wątpliwości. Musiała zająć w ciążę w pierwszych dniach sierpnia, owej nocy, gdy wróciwszy ze smutnej wędrówki, od drzwi do drzwi wspólnie odbytej dla wydostania trochę pieniędzy, w miłosnych uściskach pamięć o swej biedzie postradali oboje, zatopieni w uczuciu niewymownych rozkoszy. Czyż nie odczuli oboje tego technienia życiem darzącego ich miłosne uniesienie, tę zapowiedź dziecka? W pierwszym miesiącu po przybyciu do Paryża, przypisywała zachodzące opóźnienie zwykłych fizyologicznych objawów, wstrząśnięciu, jakiemu uleż mogło jej zdrowie po doznanych wzruszeniach rozłączenia. Lecz teraz, gdy drugi już miesiąc upłynął, nabrała pewności co do swego stanu, wszelkie inne symptomata bowiem nie pozwalały wątpić już o tem. List był krótki, opowiadała o stanie swym z prostotą, lecz zarazem z najwyższą radością, z uniesieniem uczucia; pragnęła, by co rychlej zawezwał ją z powrotem.

Niespodziewane to szczęście odurzyło Pascala; czytał teraz list po raz drugi, lękając się, iż źle rozumiał. Dziecko, którego tak pragnął gorąco! I pogardzał sobą, iż niezdolnym jest spędzić to wielkie dobro! Wszak wyrzucał sobie to jeszcze w chwili pożegnania, łącząc swą skargę z jękiem, szalejącego w powietrzu mistrala, a był już wtedy ojcem, tak,

patrząc na uciekający po pustem błoniu pociąg kolejowy, unoszący gdzieś daleko Klotyldę wraz z dzieckiem! Ach tak, dziecko, to najlepsze i największe dzieło, którego pragnął być twórcą, przynosi mu teraz szczęście i dumę najwyższą! Prace rozpoczęte, poszukiwania i zestawiania praw, rządzących fizyologiczną dziedzicznością—wszystko ustąpiło teraz miejsca wielkiej jego radości. Zkąd wiedzieć można, jakim jego dziecko będzie! Rzecz główna, iż owe upragnione dziecko będzie jego własnym węzłem, łączącym go z przyszłością, przekazującym życie, istotą z jego powstałą istotą! Wzruszony był i rozczulony niewymownie. Śmiał się, mówił głośno sam do siebie, całował list z najwyższem uniesieniem.

Posłyszał zbliżające się kroki, opanował się więc chwilowo. Odwrócił głowę i ujrzał wschodzącą Marcynę.

— Doktor Ramond jest na dole.

— Poproś, niech wejdzie!

Z Ramondem nowe przybywało szczęście. Jeszcze w progu zawołał wesoło:

— Zwycięstwo, mistrzu, zwycięstwo! Będziesz miał swoje pieniądze, niewszystkie wprawdzie, ale z małą tylko stratą!

I opowiedział rzecz całą, jakim szczęśliwym zbiegiem okoliczności, teść jego, pan Levêque, sprawę całą wyjaśnił. Pokwitowanie świadczące, iż Pascal złożył u pana Grandguillota, notaryusza, sto dwadzieścia tysięcy franków, nie miało teraz żadnego znaczenia, ponieważ notaryusz ogłoszony został bankrutem.

Lecz zbawienną okazała się udzielona mu przez Pascala plenipotencya, mocą której notaryusz powinien był sumę umieścić na hypotekach, przedstawiających pewność. By to uczynić, notaryusz w nieczystych zamiarach skorzystał, iż plenipotencya została wydana bezimiennie, i wpisał w nią nazwisko jednego ze swoich urzędników; okazało się, iż urzędnik był człowiekiem uczciwym, bynajmniej niewmieszanym do nadużyć, czynionych przez swego pryncypała. Gdyby się Pascal więcej zajmował swojemi pieniężnemi sprawami, oddawna rzecz cała byłaby mu wiadomą; chociaż więc spóźniona, lecz wreszcie dochodzi jego uszu nowina, iż osiemdziesiąt tysięcy franków odzyskał, co zawsze przedstawia cztery tysiące franków rocznego dochodu.

Pascal z wdzięcznością uściskał zwiastuna tej wieści, oczy mając jeszcze zwilżone łzami radości poprzedniej wielkiej nowiny.

--- Drogi Ramondzie, żebyś ty wiedział, jaki jestem szczęśliwy! Ten oto list Klotyldy radością mnie dziś przepęlnia. Tak, chciałem ją przywołać, by teraz zemną była; lecz myśl, ile nędzy ją tutaj czeka, psuła mi radość moją... Ale teraz, kiedy odnajdują się moje pieniądze, niechaj wraca co rychlej, już nie mam obawy, by z niedostatku rodzina moja cierpiała.

I w radości swojej, nie mogąc dłużej zamilczeć, podał Ramondowi list Klotyldy, zmuszając go do przeczytania zawartej w nim nowiny. A gdy młody lekarz skończył czytanie i z łagodnym uśmiechem, oraz wzru-

szeniem, oddał list promieniejącemu Pascalowi, ten rzucił mu się w objęcia, jak bratu, jak ukochanemu przez siebie koledze. Ucałowali się serdecznie w oba dwa policzki.

— Jeszcze o jedno prosić cię będę, kochany Ramondzie! Wiesz, że się obawiam tutaj każdego, nawet Marcynie nie dowierzam. Może ty więc będziesz łaskaw wyprawić moją depeszę do Klotyldy....

Usiadł za stołem i napisał te proste słowa: „Oczekuję cię, wyjedź jeszcze dziś wieczorem“.

— Dziś jest szósty listopada, wszak tak? Jest teraz około godziny dziesiątej, odbierze moją depeszę mniej więcej o dwunastej. Będzie więc miała czas upakować swoje rzeczy, wsiąść na kolej wieczorem o godzinie ósmej, i nazajutrz na śniadaniu będzie w Marsylii. Tam będzie musiała czekać na pociąg do Plassans, tak iż przyjedzie tutaj jutro, siódmego listopada o godzinie piątej.

Złożył napisaną depeszę i wstał z krzesła.

— Boże mój, dopiero jutro około godziny piątej!... Jakże to jeszcze daleko! Cóż z sobą pocnę, czekając?

Wtem, jakby zaniepokojony, rzekł z powagą:

— Przyjacielu mój drogi, czy zechcesz być ze mną szczerzy, ale szczerzy zupełnie?

— Jakto, mistrzu? Dlaczego o to pytasz?

— Tak, zaraz to zrozumiesz... Pamiętasz, żeś mnie osłuchiwał i badał niedawno. Otóż powiedz mi, jak myślisz, czy mogę jeszcze żyć rok jeden?

I wpatrzył się badawczym wzrokiem w oczy mło-

dego swego kolegi, chcąc prawdę w nich wyczytać. Ten wszakże chciał ominąć powiedzenie mu tej prawdy i w żart obrócić pytanie Pascala: czyż doktor powinien stawiać kwestyę w ten sposób?

— Ramondzie, proszę cię, bądź szczerzy i odpowiedz, co myślisz.

Wówczas Ramond, przybrawszy wyraz poważny, zapewnił go, iż może się spodziewać żyć dłużej, niż rok, i poparł swe twierdzenie uwagą, iż choroba serca rozwinęła się niedawno a wszystkie organa miały zupełnie zdrowe. Za nic ręczyć wszakże niemożna, gdyż zdarzają się niespodziewane wypadki.

Rozpoczęła się wtedy między nimi dysputa i szczegółowe badanie choroby, jak gdyby wezwani dwaj lekarze na konsultacyę, naradzali się wzajemnie nad dolegliwością kogoś trzeciego. Mówili spokojnie, rozważając i przytaczając wszystkie za i przeciw, oznaczając okoliczności, mogące przyspieszyć koniec i nagle go wywołać, przypominając sobie spostrzeżenia słynnych lekarzy i opinie najwięcej ustalone.

Pascal zapomniał zupełnie o sobie i wyrokował z zimną krwią i rozmysłem.

— Tak, szepnął wreszcie, masz racyę, jeszcze rok jeden życia jest prawie zapewniony... Ale jakże pragnąłbym żyć jeszcze ze dwa lata, lecz jest to żądać rzeczy niemożliwej, dwa lata szczęścia! Toż to nieskończoności się równa...

I począł głośno marzyć:

— Dziecko przyjdzie na świat w końcu maja...

O jakże rozkosznie byłoby patrzeć na jego budzenie się pierwsze, niechbym je widział po roku jeszcze, do dwóch lat za długo, niepodobna, lecz jak będzie miało osiemnaście, dwadzieścia miesięcy... Niechajbym ujrzał pierwsze jego kroki... Wszak niezbyt wiele wymagam, chciałbym je widzieć na nogach a potem, no niech będzie, co chce...

I ruchem ręki dokończył zdania. Lecz znów począł się ożywiać nadzieją:

— Ależ ja mogę żyć jeszcze i dwa lata!

— Miałem pomiędzy moimi chorymi pewnego cieślę z przedmieścia, który miał tę samą zupełnie chorobę i ku wielkiemu zdziwieniu memu, żył z nią przeszło lat cztery. A ja pragnę dla siebie lat dwóch, tylko dwóch! I muszę sobie życia przydłużyć na tyle!

Ramond spuścił głowę i milczał. Stał zakłopotany, obliczał się, czy czasami zbyt optymistycznego nie wydał świadectwa; ta radość i gorączkowe usposobienie Pascala niepokoiło go coraz mocniej; bolesną mu była egzaltacya mistrza, egzaltacya przyćmiewająca trzeźwość zwykłych jego poglądów; to osłabienie mózgu ostrzegać się zdawało, iż gorzej jest, niż sądził, niebezpieczeństwo staje się groźne i wybuchnąć może lada chwila.

— Więc mam wysłać tę depeszę natychmiast?

— Tak, tak, idź już i wyślij ją co najprędzej a po jutrze czekać będziemy na ciebie. Klotylda już będzie i pragnę, byś przyszedł radować się z nami.

Godziny dnia tego dłużyły mu się niezmiernie. No-

całą spać nie mógł, lecz marzył rozkosznie i cieszył się nadzieją ujżenia Klotyldy nazajutrz. Usnął dopiero nad ranem, lecz wkrótce zbudził się gwałtownie, skutkiem raptownego bólu. Zdawało mu się, jakoby dom cały zwałił się i tłoczył mu piersi, ból był wprost nie do zniesienia; uczuwał ciśnienie deski piersiowej, tak silne, iż zagłębioną być się zdawała wewnątrz korpusu, złączoną nieledwiez plecami; temu złapać nie mógł i ból rozprzestrzeniał się ku ramionom, szyi, paraliżując całą lewą rękę. Przytomność umysłu zachował zupełną i zdawał sobie sprawę, iż serce prawie w nim bić przestało a życie jakby zamarło; był pochwycony, jakby w kleszcze olbrzymie, miażdżące go do uduszenia. Nim atak doszedł kulminacyjnego swego punktu, zdołał unieść się z łóżka i zastukać laską w podłogę dla przywołania Marcyny. Upadł następnie na pościel, nie mogąc się już ruszyć, ani rzec słowa a zimny pot wystąpił na całe jego ciało.

Marcyna na szczęście usłyszała pukanie, rozlegające się donośnie wśród nocnej ciszy i pustych pokojów. Narzuciła na siebie spódnicę i chustkę, zapaliła świecę i pośpieszyła na górę. Noc jeszcze była zupełna, świtać zaledwie poczęło na wschodzie. Gdy ujrzała pana swego leżącego bezwładnie, z zaciśniętymi wargami, oniemiałego, z twarzą do niepoznania zmienioną bólem, wśród której oczy tylko jeszcze o życiu świadczyły, przeraziła się i, zestraszona, rzuciła się ku niemu, wołając:

— Panie, panie, co tobie?... Odpowiedz mi, błagam cię, co tobie? O jakże się boję!

Jeszcze z minutę trwała męczarnia Pascala tak silna, iż ostatnią się być zdawała. Powoli ciśnienie stało się mniej bolesne, schwytał trochę powietrza i szepnął cichutko:

— Pięć tysięcy franków, znajdujące się w biórku, należą do Klotyldy... Powiesz jej, że u notaryusza sprawa załatwiona, będzie więc miała żyć o czem...

Wówczas Marcyna, przerażona słowami jego, myśląc, iż na jej twierdzeniu a raczej na zmyślonej przez nią bajce opiera on to przypuszczenie, wyznała swoje kłamstwo, nieświadomą bowiem była nowiny przyniesionej przez doktora Ramonda.

— Panie, przebac mi, skłamałam. Ale teraz widzę, że grzechem byłoby skrywać prawdę dłużej... Lecz gdy widziałam cię tak nieszczęśliwym w osamotnieniu, nie chciałam, byś głód jeszcze cierpiał... Więc wzięłam trochę moich własnych pieniędzy na potrzeby domowe...

— Dobra moja Marcyno, tyżes to zrobiła!

— Tak... ale przyznaję się, iż zawsze miałam nadzieję, że pan mi odda zczasem, co moje...

Bóle uspakajały się coraz znacznie, mógł już teraz zwrócić głowę w stronę Marcyny. Patrzył na nią z podziwieniem a zarazem z czułością. Jakie przyczyny skłonić mogły tę skąpą kobietę, która przeszło od lat trzydziestu składała swoje pieniądze, nie wydając ani na siebie, ani na drugich susa jednego, by dobrowolnie takie poświęcenie uczyniła dla niego? Nie rozumiał tego dobrze, lecz pragnął być wdzięcznym i dobrym za okazane mu przywiązanie.

— Dobrą jesteś kobietą, moja droga Marcyno. I bądź spokojna, pieniądze będą ci zwrócone... Ale teraz pewnie umrzeć mi przyjdzie...

Nie pozwoliła mu dokończyć rozpoczętego zdania, cała wzburzona, zbuntowana do głębi swej istoty przypuszczeniem możliwości blizkiej dla niego śmierci.

— Umrzeć pan by miał! Przedemną! Nie, ja nie chcę, to być nie może, ja śmierć od pana odpędzę i przystępu jej nie dam!

I rzuciła się na kolana przed łóżkiem, chwytając Pascala rękami swojemi, jakby chcąc znaleźć miejsce chorobą dotknięte, jakby własnem życiem chcąc go ratować i zło z niego zabrać, usunąć, chociażby na siebie przyjąć je w całości.

— Panie, powiedz mi, gdzie ciebie boli, co ci dolega a ja cię uzdrowię, wyratuję! Jeżeli mego życia na to potrzeba, zabieraj je, panie, oddam je z rozkoszą. Jeżeli tylko opieki potrzebujesz, dniem i nocą siedzieć przy tobie będę... Ja silną jestem i silniejszą się okażę nad ból, który ci dokucza... Zwalczę go. Ale umrzeć ci nie pozwolę! Tybyś miał umrzeć! Ale to wprost jest niemożliwe! Pan Bóg nie dozwoli na podobną niesprawiedliwość! Tyle się przecież do Boga modliłam przez całe moje życie, że mam chyba prawo żądać, by mnie wysłuchał i zdrowie ci przywrócił! Tak, panie, On mnie wysłucha i ty wyzdrowiejesz!

Pascal na nią patrzył, słuchając uważnie i raptem zrozumiał wszystko. Ależ ona go kochała, ta nędz-

na, stara, zasuszona kobieta! Ona zapewne życie swe całe tylko jego kochała. I uprzytomnił sobie długi szereg lat, wraz z nią spędzony. Słuchała go ślepo, dbała o niego z ubóstwieniem milczącym, gdy była jeszcze młodą a później z głuchą zawiścią zazdrosną była o Klotyldę. Ileż ta biedna kobieta wycierpieć musiała, jeżeli tak było rzeczywiście! A oto teraz klęczy przed nim i śmiertelne jego łożo ołtarzem modłów stało jej się obecnie. Na obsłudze przy nim posiwały jej włosy, oczy wyblakły i kolorem swoim do popiołu są podobne; twarz ma bladą, woskową bladością zakonnice z tymże samym wyrazem ostupienia, jakie wyciska z latami powściągliwość zmysłów nieskalanych. Widział, iż naiwność nawet zachowała zupełną, żyła w nieświadomości, nie wiedząc nawet, jakim przywiązaniem kochała go namiętnie, dając swoją miłość dla szczęścia miłowania go niepodzielnie, znajdując swą radość w zamkniętem przy nim życiu, i w bezustannej myśli obsługiwania go z namaszczeniem.

Łzy stanęły w oczach Pascala. Bolesna litość nad zrząceniami spraw ludzkich, rozczerzenie niewymowne wezbrało sercem jego biednym, prawie że rozsypanem i zmiażdżonem już śmiercią! Przemówił do niej głosem wzruszonym:

— Moja Marcyno, moja biedna Marcyno! Zbliź się do mnie i pocałuj mnie jak możesz najczulej, tak jak mnie kochaś!...

Plakała. Głowę swą złożyła na piersi swego pana a siwe jej włosy, okoliły zwiędłą twarz, wynisz-

czoną długoletnią służbą. Uścisnęła go, całując namiętnie, życie swe wlewając w ten pierwszy i ostatni pocałunek kochania...

— A teraz, nie rozczulajmy się już dłużej, bo widzisz, moja droga, śmierci mnie wydrzeć nie zdołasz... koniec mój jest bliski... I jeżeli chcesz mi dowiedzieć, że kochasz mnie szczerze, będziesz mnie dziś słuchać we wszystkim, co zażądam...

Rozpoczął od tego, że nie chciał dłużej pozostawać w tym pokoju. Mówił, że jest mu tutaj zbyt chłodno, pusto i smutno. Pragnął bowiem umrzeć w pokoju Klotyldy, w tym świętym przybytku miłości ich wzajemnej, gdzie wchodząc, odczuwał, jakby dreszcz ich pieśczęt i uniesień. Marcyna z poddaniem się zupełnem pomogła mu powstać, podtrzymywała chwiejne jego kroki, by go doprowadzić z wolna do łóżka, gdzie ciało Klotyldy odeisniętem zdawało się być po ostatniej przespanej na niem nocy. Opuszczając swój pokój, Pascal wziął klucz od szafy, ukryty pod poduszką i wsunął go obecnie pod poduszkę łóżka Klotyldy, chcąc nad nim czuwać do ostatniego swego technienia. Świtało zaledwie, więc Marcyna postawiła na stoliku zapaloną świecę tuż obok spoczywającego Pascala.

— Teraz, kiedy już tu jestem i swobodniej nieco oddycham, pobiegnij Marcyno, by sprowadzić doktora Ramonda... Obudź go, ale koniecznie zabierz go z sobą.

Już miała wyjść, gdy z obawą powstrzymał ją:

— Tylko pamiętaj, że zakazuję ci, abyś matkę

moją widzieć miała. Nie chcę, by wiedziała, że chorą.

Zakłopotana się widocznie i błagalnie podeszła ku niemu:

— Oh panie, ja przyrzekłam, pani Felicya wymogła, bym przyrzekła, że ją w razie czego natychmiast zawiadomię...

Lecz prośba Marcyny nie odwiodła go od powziętego postanowienia. Całe życie starał się być synem pełnym szacunku, myślał więc, że w godzinę śmierci wolno mu się ustrzedz jej widoku, bronić się przeciw jej zamiarom. Nie chciał jej widzieć. Marcyna musiała mu złożyć przysięgę, iż nie rzeknie słowa o niemocy swego pana. I teraz dopiero odzyskał swój uśmiech.

— No, idźże prędzej, bo pilno, tylko bądź spokojną, zastaniesz mnie jeszcze, ręczę ci, że zastaniesz mnie przy życiu.

Dniało już obecnie i do pokoju wciskało się blade światło smutnego, listopadowego poranka. Przed wyjściem Marcyny, kazał jej roztworzyć okiennicę; i gdy pozostał sam, przypatrywał się wzmagającemu światłu dziennemu, z myślą, iż jestto dzień jego ostatni. Dzień wczorajszy był dżdżysty, chociaż ukazujące się chwilami słońce ciepłe przesyłało promienie, pomimo przyćmiewającego je oparu. Z sąsiednich jaworów dolatywały go świergotania budzących się ptaków a gdzieś zdała, z głębi pól drzemiących, słyhać było przeciągły i monotony świst lokomotywy kolejowej. I był sam zupełnie w pustem, pełnem

smutku domostwie, czuł jego pustkę i wstuchiwał się w jego ciszę. Światło dzienne coraz wyraźniej stawało się, śledził wzrastającą jego siłę na bielejących szybach okna. Świeca została światłem dziennym przyćmiona i sprzęty pokoju wystąpiły wyraźnie. Pragnął tego, przypuszczając, iż to mu ulgę jakąś przyniesie i tak było; pocieszenie spłynęło ku niemu z różawego jak jutrzienka obicia ściennego, sprzęt każdy uśmiechać się zdawał ku niemu i rozejrzał się po łóżku, na które legł, by ducha wyzionąć, będącym świadkiem tylu nocy miłości pełnych... Powietrze tego pokoju aż pod sufit wysoki, napełnionem zdawało się być wonią miłości i piękności Klotyldy; jakże łagodnie i dobrotliwie ogarniała go zewsząd atmosfera przesycona i drgająca jeszcze słodyczą ich pieszczoty! Pokrzepionym się poczuł wspomnieniem czaru, jaki dlań roztaczała.

Chociaż atak przeminął, Pascal cierpiał wszakże ból srogi. Pod piersiami doznawał wciąż klucia a lewa ręka zdrętwiała była zupełnie, ciężąc przy ramieniu, jak bryła ołowiu. Oczekując na powrót Marcyny i na ratunek ze strony Ramonda, postanowił skupić myśl całą na symptomata doznawanego bólu, na męczarnię swego ciała. Ból znosił cierpliwie, bez buntu, który ogarniał nim zazwyczaj, gdy patrzył na bóle fizyczne swoich chorych, uważając ból za potworną i bezpotrzebną niesprawiedliwość natury. Lecząc zastrzykiwaniami podskórnymi, pragnął tę niesprawiedliwość przykrócić, zwalczyć i usunąć. A teraz, gdy sam cierpiał srodze, poddawał się złemu bez

szemrania, czyż miało to oznaczać, że wzniósł się wyżej jeszcze w swej wierze w życie? Czyż był u szczytu, z kąd patrzy się z pogardą niewzruszoną i życie jakie jest, dobrem okazuje się w całej swej pełni? Nawet z ciążącą nad nim fatalnością nieuchronnego cierpienia? A może właśnie cierpienie jest główną i jedy-ną jego dźwignią? O tak, życiem takim jak jest, żyć należy. Żyć i cierpieć bez buntu, bez tej uludy, iż z usunięciem cierpienia, lepszemby się stało. Tak, wi-dział to jasno oczami swojemi, konającemi dziś z bólu. Jakże wyraźnie widział obecnie, iż na tem właśnie polega cała mądrość i odwaga; przyjmować życie, ja-kiem ono jest i cierpienie uważać za życie samo! A je-żeli człowiek im wyżej się wznosi na cywilizacyjnej drabinie, tem dotkliwiej odczuwa cierpienie, twier-dzić można również, iż tą drogą potęguje się jego siła moralna, staje się on zbrojniejszym i bardziej podatnym do oporu. Mózg takiego człowieka rozszerza swą działalność, rozwija się i nabiera siły, pod wa-runkiem wszakże, aby równowaga nie została naruszona pomiędzy odbieranemi wrażeniami a przeróbką ich i wydajnością na zewnątrz. A więc czyż marzyć niemożna, iż ludzkość dożyje chwili, w której suma pracy równoważyć się będzie z sumą wrażeń a cierpienie, w tem znajdując zużytkowanie właściwe, zni-knie w znaczeniu dzisiejszego o niem pojęcia?

Słońce błysnęło pierwszemi swemi promieniami, gdy Pascal snuł tego rodzaju myśli w półśennem uśpieniu bólu, trapiącego i szarpiącego jego ciało. Wtem poczuł, iż nowy atak się zbliża. Śmiertelny

zdział go niepokój: czyż to śmierć już? Czyż umrze tak samotny i opuszczony? Lecz właśnie kroki rozległy się na schodach i wszedł do pokoju Ramond a za nim Marcyna. Chory zdążył jeszcze wyrzec:

— Zastrzyknij mi czempredzej wody, dziesięć gramów w dwóch porcjach!

Na nieszczęście Ramond musiał dopiero szukać szpryczki i przygotować wszystko należycie. Trwało to kilka minut; atak był niezmiernie silny. Ramond, patrząc na wzmagające się zło, lękał się, czy nie przybywa zapóźno. Twarz Pascala zmiętą była bólem a usta przybrały odcień fioletowy. Po zastrzyknięciu, stan w pierwszej chwili niezmienny, począł się polepszać, cierpienie stawało się znośniejszym. Tym razem jeszcze katastrofa została żegnana.

Gdy oddech wrócił, Pascal spojrzął na zegar i powiedział spokojnym, lecz słabym bardzo głosem:

— Jest teraz godzina siódma. Za dwanaście godzin, o siódmej godzinie wieczorem żyć już nie będę...

Ramond chciał przeczyć, lecz Pascal mu przerwał:

— Nie, nie, po co masz się silić na kłamstwo? Byłeś obecnym i widziałeś atak, więc wiesz równie dobrze, jak ja, co on złączy... Dalszy przebieg choroby posuwać się będzie ze ścisłością matematyczną; i godzina po godzinie, wiem a i ty wiesz, jakie zachodzić będą zmiany...

Urwał swe słowa, by odetchnąć, co przychodziło mu z wielką trudnością, a potem dodał:

— Wreszcie i tak dobrze, Klotylda przyjedzie o piątej, więc jeszcze ją zobaczę i umrę na jej rękach.

Raptowne objawiło się polepszenie. Skutki zastrzyknięcia wprost zadziwiająco poczęły się objawiać; mógł usiąść na łożku wsparty plecami o poduszki. Mówił z łatwością a jasność jego myśli wykazywała niezwykły polot.

— Wiedz o tem, mistrzu — rzekł Ramond, że ztąd się dziś nie ruszę. Uprzedziłem moją żonę, by na mnie nie czekała; spędzimy dzień dzisiejszy razem; a cokolwiek zechcesz mi w tym względzie powiedzieć, to mam niezachwiane przekonanie, iż dzień ten nie będzie ostatnim... Wszak pozwalasz, mistrzu, bym pozostał z tobą?...

Pascal uśmiechnął się tylko z wdzięcznością i przyjaźnią. Zwrócił się do Mareyny, by się zajęła przygotowaniem śniadania dla Ramonda. Jeżeli zaś będzie potrzebna, to ją przywołają. Pozostali teraz sami we dwóch w pokoju; Pascal leżał a głowa jego i broda siwa, odpowiedniami były do słów, głoszonych przez usta jego; Ramond siedział na krześle u wezłowania, słuchając z wielką uwagą, jak uczeń słucha mistrza, któremu ufa zupełnie.

— Działanie tych zastrzykiwań — szepnął mistrz jakby sam do siebie, jest zdumiewające w swych skutkach...

Po chwili dodał głośniejszym i prawie wesoło:

— Mój drogi, niewielki to może podarek, ale tobie oddaję na własność wszystkie moje rękopisma i no-

tatki. Klotylda wie o tem, bo musiała nawet przyrzec przed wyjazdem, iż w razie mojej śmierci, tobie oddać je należy... Przejrzysz je a może tam i spotkasz coś ciekawego. A jeśli dopełnisz jaką myśl moją, tem lepiej, bo ogół na tem skorzysta...

Po takim wstępie, skreślił swój testament naukowy. Zdawał sobie sprawę, iż był tylko samotnie pracującym pionierem, zwiastunem przyszłości, szkicującym niewyraźnie przyszłe teorye a mylącym się i ślepo działającym w praktyce, z powodu swej metody w niemowlęctwie będącej jeszcze. Wspominał chwile swoich uniesień, gdy przypuszczał, iż wynalazł lek zdrowie ludzkości niosący, w postaci zastrzykiwań podskórnych substancyi nerwowej; uniesienia tryumfu jakże były krótkie! Nastąpiło niebawem rozczarowanie i rozpacz zwątpienia; odbolał śmierć karczmarza Lafouasse'a; nie wyleczył także i Walentego z suchot, ani też zdołał przezwyciężyć obłąkania Sarteura, którego szaleństwo na nowo wybuchło i ku samobójstwu popchnęło! Nie więc stałego w swem życiu nie zbudował i teraz na łożu śmierci pełen jest zwątpienia; wiarę dawną w lek uzdrawiający utracił bezpowrotnie od dłuższego już czasu; pozostała mu tylko miłość i wiara w życie i tą drogą a nie inną ludzkość ustalić zdoła szczęście swe, zdrowie i siłę. Teoryom wszakże leczenia, nie chciał zamykać przyszłości; owszem, czuł się szczęśliwym, iż może hipotezy swoje przekazać młodszym w spuściznie. Mniej więcej co lat dwadzieścia teorye się zmieniają; jedynie prawdy stwierdzone pozostają niewzruszonymi, a na nich opierająca

się wiedza toczy bój o nowe zdobycze. Jeżeli zatem zestawiane przez niego hipotezy, przejściową chociażby uzyskać zdołają wartość, już praca jego życia nie będzie daremną, wszelki bowiem postęp zależny jest od wysiłku popchnięcia naprzód przez możliwe wyężdżenie władz naszych umysłowych. Wreszcie, co wiedzieć i przewidzieć można? Umierał znudzony i pełen zwątpienia w pokładane niegdys nadzieje, niezisściwszy i niedopełniwszy teoryj, pojętych swym umysłem; lecz po nim przyjsć mogą inni, pełni zapału i ufności, młodzi pracownicy, którzy podejmą jego metodę, rozszerzą jej zakres i wysświetlą dopełniając odczute tylko przez niego tajniki. A może wtedy stanie się on początkiem nowej ery, ku której wiedza postępować zacznie...

— Ach mój drogi — mówił dalej Pascal — żeby to można życie swoje przeżyć powtórnie!... Niezawodnie popchnąłbym dalej uchwyconą moją ideę, bo nie tak dawno jeszcze a jakże byłem zadziwiony, jak gorączkowo zastanawiać mnie poczęła okoliczność, iż zastrzykiwania, czynione filtrowaną wodą, równie były oddziaływającami, jak tamte... A zatem jakość użytej cieczy niema tego znaczenia, jaką odgrywa przy wstrzykiwaniu akcja czysto mechaniczna... Przez miesiąc ostatni zbierałem właśnie odnoszące się do tego notatki; znajdziesz pomiędzy nimi bardzo ciekawe spostrzeżenia... Byłbym doszedł zapewne do utrwalenia mej wiary w pracę jedynie; zdrowie jest zależnem od równomiernego funkcyonowania wszyst-

kich organów; na tej zasadzie byłbym wytworzył może nową teorię.

Mówił ze wzrastającą siłą, zapominał o śmierci, groźnie nad nim stojącej, uniesiony zapałem zagłębiania się w tajniki zagadnień życia. Rzucił szeroko kreślone swe ostatnie teorye. Człowiek żyje skąpany w ośrodku, jakim jest natura, mając kończyny dotykowe nerwów wiecznie podrażnione napotykaniami zatknięciami. Ztąd powstaje w nim wielorakie działanie nie tylko zmysłów jego, lecz całej powierzchni ciała tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Wrażenia te odbijają się w jego mózgu i centrach nerwowych, by przekształcone w sprężystość, wywołały poruszenia się naszego ciała i myśli. Twierdził, iż zdrowie zależy od normalności tych przeróbek: odbierać wrażenia, wydzielać je za pomocą myślenia i ruchu, porządkować maszynę ludzką popychaniem do działania składowych jej organów. Praca zatem stawała się jedynym wielkim prawem, regulującym wszechświat istot żyjących. W razie naruszenia normalnie istnieć winnej równowagi, wytraconej skutkiem niedostatecznej ilości przyczyn, wywołujących podrażnienie, nauka tworzyć powinna sztuczną, dla przywrócenia pożądaną sprężystość, od której zdrowie pozostaje w zależności bezwarunkowej. Marzył o nowych sposobach leczenia, za pomocą sugestyi a zatem wszechmocnej władzy doktora na zmysły, za pomocą elektryczności, nacierania, masażu, jako działania na skórę i mięśnie; dobranej umiejętności pożywienia w chorobach żołądka; zmiany powietrza, pobytu w górach przy do-

legliwościach płucnych; dolania krwi obcej, zastrzykiwań podskórnych w razie wadliwości naczyń krwionośnych. Mechaniczne oddziaływanie czynionych przez niego zastrzykiwań doprowadziło go do tych wniosków różnorodnych, hipotezę ztąd powstałą rozszerzył, szukając jej zastosowania w innych kierunkach. Czynił to skutkiem właściwości swego umysłu skłonnego do uogólniania każdego danego wniosku i widział już na tej drodze przyszłe zbawienie, skutkiem możności dowolnego przywracania równowagi w maszynie ludzkiej; wydajność pracy zależną była od wrażeń otrzymanych; ruch światem rządzący unormowany był w swym niestrudzonym biegu.

Wtem zaczął się śmiać szczerze i wesóło:

— No masz, dałem się znów unieść moim marzeniom!... Ja, co w głębi mego sumienia uważam za mądrość najwyższą, pozostawić bieg rzeczy naturze nie psując jej harmonijnej pracy naszym niedołęzmem przeciwstawieniem!

Ramond pochwycił obie jego ręce, ściskając je z czułością i zachwytem:

— Mistrzu, mistrzu, marzenia i uniesienia podobne twoim, znajdują się tylko w umysłach genialnych! Słuchałem cię z nateżoną uwagą i siłą całych dołóżę, by się stać godnym spadku, jaki mi przekazujesz. Wiedz o tem, że na równi z tobą wierzę, iż w rzuconych przez ciebie poglądach, spoczywa przyszłego jutra zaranie!

I w cichym, pełnym rzewności pokoju, spoczywający na łożu śmierci mistrz siwowłoso, począł znów

mówić w filozoficznem swem oderwaniu, ostatni swój wykład przed uczniem, czei pełnym. Obecnie zwrócił się do zaznaczenia spostrzeżeń nad sobą samym czynionych. Niejednokrotnie wyleczył się i powstrzymał grożącą mu niemoc za pomocą regularnej, metodycznej pracy bez przeciążenia. Wtem godzina jedenaasta wybiła, przestał mówić przez chwilę, chcąc, by Marcyna podała śniadanie Ramondowi, następnie wrócił do przerwanej kwestyi i rozwijał swe myśli z polotem, z wysoka. Słońce poczęło przebijać gęstość chmur porannych i promienie jego złote, jakkolwiek jeszcze niepewne, załały komnatę, oświetlając ją i grzejąc. Pascal napił się trochę mleka i potem zamilkł.

Ramond kończył właśnie śniadanie, jedząc gruszkę.

— Mistrzu, czy bóle się zwiększyły, czy cierpisz?..

— Nie, nie, kończ jeść spokojnie.

Lecz kłamać chciał napróżno. Atak go straszny porwał. Duszność spadła nań gromem, powalił się na poduszki, cały już zsiniały. Pochwycił kódrę rękoma i szarpał nią, jakby chcąc znaleźć punkt oporu i powstać, by zwalić z siebie olbrzymi, przytłaczający go ciężar. Przerażony, konwulsyjnie zmieniony, utkwiał szeroko rozwarte oczy w zegar, patrząc na godzinę, z wyrazem twarzy pełnym rozpacz i bóleści. Przez minut dziesięć trwała męczarnia, w której o mało, że nie skołał.

Zaraz w pierwszej chwili Ramond uczynił nowe zastrzyknięcie. Polepszenie następowało zwolna i w słabszym o wiele stopniu.

Z odzyskaniem pierwszych śladów przytomności, ukazały się dwie wielkie łzy w oczach Pascala. Jeszcze nie mógł mówić, lecz płakał. Po kilku minutach, patrząc wciąż na skazówki zegara, rzekł:

— Przyjacielu mój, ja umrę o czwartej. Już jej nie zobaczę...

Ponieważ zaś Ramond upierał się, chcąc go uspokoić, że mylnie przypuszcza, oraz zaręczał mu, iż śmierć tak gwałtownie nie nastąpi, Pascal dał się uwiesić swemu zamięłowaniu do ścisłej obserwacji i postanowił wyłożyć ostatnią swą lekcję, demonstrując ją na sobie samym. Kilkakrotnie leczył ludzi, cierpiących na chorobę serca, przypominał sobie zwłaszcza sekcyę trupa pewnego biedaka, zmarłego w szpitalu w Plassans, który cierpiał na podobną dolegliwość.

— Widzę serce moje... Nabrało koloru zeschniętych liści, włókna jego stały się kruche i jakby wychudłe pomimo iż zwiększyły swą objętość. Skutkiem zapalenia stwardniały i z trudnością przyszłoby je krajać...

Mówił teraz głosem znizonym, jakby czuł, iż serce zdawało się w nim mieszkać tylko i, coraz słabiej wykonywając swą funkcję, traciło sprężystość. Zamiast krwi normalnej wydobywała się z niego czerwona piana. Żyły przepełnione krwią czarną, nadmiarem jej wywoływały duszenie, wzmagające się skutkiem drętwienia głównego organu, regularnością kurczowego swego ruchu utrzymującego całą maszynę w należytych porządku. Pomimo cierpienia, śledził na sobie

wpływ wywierany zastrzyknięciami; serce zdawało się budzić stopniowo, jakby ulatujące życie weń wstępowało i pobudzone z uspienia rozpoczynało przynależną mu funkcję; zdawał sobie sprawę, iż przyjmaje na nowo przyniesioną krew w żyłach zawartą a wydziela krew czerwoną w arterye jej spragnione. Lecz mechaniczne działanie zastrzyknięcia może być tylko chwilowe i nowy atak wkrótce nadejdzie. Zapowiedzieć go może nieomylnie kilka minut przed gwałtownością wybuchu. Dzięki zastrzyknięciom przenieść ich trzy jeszcze zdoła. Lecz trzeci atak będzie śmiertelnym, przypadnie około godziny czwartej.

Stopniowo głos Pascala stawał się coraz eichszym. Jeszcze wszakże mówił z uniesieniem o niestrudzonej działalności serca, wciąż pracującego bez przerwy, nawet w czasie snu, gdy inne organa leniwieją i używają spoczynku.

— O serce, ty dzielny pracowniku! z jakimże heroizmem walczysz niestrudzenieli... Z jaką wiarą nigdy niespoczywających mięśni... Lecz zbyt gwałtownie nadwyrężyłem ja cię! Rozsadzone jesteś zbyt miłością, lecz jeszcze roztrzaskane twoje szczątki pragnęłyby pracować dalej, opierasz się śmierci i drgasz w ostatnich wysileniach!...

Zapowiedziany pierwszy atak chwycił mówiącego. Przebył go, lecz głos miał zmieniony, chrypliwie świszczący, a cały był zdyszany, jakby nieprzytomny. Wyrwały mu się teraz głuche skargi: o kiedyż skończy się ta męczarnia! A mimo tych słów, pragnął przedłużyć konanie, pragnął dożyć chwili przybycia

Klotyldy... O gdyby się był pomylił w swem obliczeniu! A może Ramond ma rację, twierdząc, że śmierć nie nadejdzie jeszcze zaraz! O gdyby mógł dożyć do godziny piątej! Oczy jego znów były utkwione w zegar, śledząc badawczo i pilnie poruszenia wskazówek; minuty nabierały wartości, każda wiecznością być się wydawała! Kiedyś, za czasów szczęścia, ileż razy żartował z Klotyldą z tego starego zegara z czasów pierwszego cesarstwa! Ileż razy patrzeli, wspólnie się śmiejąc, na ozdoby jego z brązu złoczonego! Przedstawiły one płotek a wsparty na nim Amorek patrzył figlarnie na uśpioną postać Saturna. Była teraz godzina trzecia. Wreszcie zegar uderzył godzinę wpół do czwartej. Ach jeszcze tylko dwie godziny życia... oby przeżyć jeszcze je zdołał...

Słońce chylić się poczęło na horyzoncie a w powietrzu panowała cisza spływać się zdająca z wyblakłego zimowego nieba; Pascal wsłuchiwał się w dolatujące odgłosy z sąsiedniego dworca kolejowego.

Otóż teraz lokomotywa świstem zapowiadała w pustem jeszcze polu przybycie swoje, był to pociąg z Tulettes. Lecz kiedyż nadejdzie pociąg z Marsylii, i wreszcie, czy na czas przyjdzie!...

Dwadzieścia minut przed czwartą, Paskal skinął na Ramonda, by zbliżył się do niego. Nie mógł już mówić dość głośno, by go słyszeć można było w oddaleniu.

— Puls mam zbyt słaby. Miałem nadzieję, lecz widzę, że napróżno, już wszystko skończone...

I cichutko wyszepnął imię Klotyldy. Był to rodzaj przesłanego jej pożegnania, rozpaczliwa boleść, iż nie ujrzy jej więcej.

Potem ogarnęła nim trwoga o całość papierów, zamkniętych w wielkiej dębowej szafie.

— Nie odchodź odemnie... Klucz znajduje się pod moją poduszką. Powiesz Klotyldzie, by go zabrała ona wie, co dalej ma uczynić...

Dziesięć minut przed czwartą, Ramond zastrzyknął lekarstwo ponownie, lecz skutku nie wywarło już żadnego. Właśnie czwarta godzina uderzyć miała, gdy uległ gwałtownemu atakowi. Wraz ze schwytaniem pierwszego tchnienia, zerwał się niespodziewanie z łóżka, chcąc chodzić, jakby przebudziły się w nim ukryte jakieś siły. Chciał światła, powietrza, przestrzeni, pchało go coś naprzód, wrywając się pójść koniecznie. Pochwycony żądzą utrzymania się przy życiu, zdawało mu się, iż cały zasób tegoż pozostał w sąsiedniej wielkiej sali, gdzie tyle lat przebył, niezmordowanie pracując. Biedz tam postanowił, i, chwiejąc się, słaniając, dysząc, zgięty osłabieniem i bólem, tam się kierował, czepiając się ścian i sprzętów.

Ramond podszedł żywo, by go powstrzymać w tym pochodzie.

— Mistrzu, mistrzu! Błagam cię i zaklinam:—wróć do swego łóżka!

Lecz w niezłomnym uporze Pascal postanowił umrzeć na nogach, stojący. Pragnął wiedzieć, iż jeszcze istnieje a myśl porwała go i wiodła ku miejscu, gdzie żył i pracował. Uniesiony myślą o pracy, sunął się całym swem ciałem, bełkocząc chrapliwie:

— Nie, nie... tam chcę, tam...

Ramond go podtrzymawał i przeszli, potykając się, do wielkiej sali a w głębi jej przed samym stołem, Pascal opuścił się na krzesło; chwycił rozpoczęty przez siebie arkusz, jakby w zamiarze dalszego pisania.

Przez chwilę dyszał ciężko z opuszczonemi powiekami. Rozwarł je i drżącemi rękoma zaczął szukać wśród papierów nagromadzonych na stole, jakby w chęci rozpoczęcia pracy. Zniedołężniałe te ręce napotkały arkusz z drzewem genealogicznym. Przedwczoraj właśnie przeglądał i uzupełniał w niem daty. Poznał, co trzyma w ręku, podsunął bliżej i rozłożył kartę swojej rodziny.

— Mistrzu — zabijasz sam siebie, mówił Ramond ogarnięty czią i litością.

Pascal nie zważał nań i jakby go nie słyszał. Poczul ołówek pod palcami na stole. Chwycił go i pochylił się cały nad rozłożonym papierem, jakby napół zagaste już oczy dojrzeć nie mogły miejsca, którego szukał. I po raz ostatni zrobił przegląd członków swego rodu. Przy nazwisku Maksyma zatrzymał się i nakreślił słowa: „Tabetyk. Zmarł w r. 1873.“, pewnym będąc zupełnie, iż siostrzeniec jego nie doczeka końca roku. Tuż obok stało wypisane imię Klotyldy, zatrzymał się nad niem i uzupełnił notatkę słowami: „W r. 1874 zrodziła syna z wuja swego Pascala“. Wreszcie wynalazł i siebie. Ręka drząc mu przestała i literami wyraźnemi, śmiałemi napisał: „Umarł z choroby serca, 7 listopada, 1873 r.“ Wy-

siłek był to ostatni, chrapliwość się zwiększała, dusił się, lecz wtem spostrzegł nad nazwiskiem Klotyldy, sporą przestrzeń czystego, niezapisanego papieru. Palce odmawiały mu posłuszeństwa, ołówek ledwie się w nich trzymał. Zdołał wszakże skreślić nierównymi, chwiejnymi literami myśl swoją ostatnią, w której przebijała się miłość i męczarnia nieznanego uczucia ojcowskiego: „Nieznane mi dziecko a zrodzić się mające w r. 1874—jakiem ty będziesz...” Osłabł bezprzytomnie. Z wielkim trudem Ramond z Marcyną zanieśli go na łóżko.

Atak trzeci pojawił się o kwadrans po czwartej. W ostatecznych tych męczarniach, twarz Pascala wyrażała najśrodsze cierpienia. Lecz myśl pozostawała swobodna, by tortura w całej pełni odczuta została przez człowieka i dominującego po nad nim uczonego. Zmęczonemi już oczyma szukać się zdawał zegara, by sprawdzić godzinę. Ramond, widząc iż porusza ustami, mocno przyłożył do nich swe ucho. I rzeczywiście szeptał on słowa, lecz tak powiewnie dolaływały one młodego lekarza, iż oddechem tylko być się zdawały.

— Godzina czwarta... Serce prawie przestaje funkcjonować, nie wydziela już krwi czerwonej... Ściany jego miękną, zatrzymuje się...

Strasliwe śmiertelne chrapanie wstrząsnęło nim całym, lecz szeptem coraz oddalającym się, domawiał słowa:

— Przedwcześnie, zbyt raptownie... Nie opuszczaj mnie, nie odchodź, klucz jest pod poduszką... Klotyldo... Klotyldo...

Marcyna padła na kolana w nogach łożka i zanosila się od płaczu. Widziała od rana, iż pan jej umiera. Pomimo gwałtownej chęci, nie śmiała jednak zawezwać do niego księdza; szeptała więc sama modły za umierających i błagała Boga, by panu jej przebaczył śmierć bez sakramentu, by zlitował się nad nim i wpuścił wprost do raju.

Pascal skonał. Twarz jego była cała sina. Przed śmiercią, miał kilka sekund bez bólu, przetrwał je w bezwładności zupełnej, chciał odetchnąć i wysunął nieco usta, uchylwszy wargi, jak ptak, szukający powietrza w ostatniem swoim tchnieniu.

*

*

*

Klotylda otrzymała depeszę Pascala dopiero o godzinie pierwszej w południe. Właśnie tego dnia Maksym kaprysił i ze wzrastającą siłą dokuczał jej swojemi gniewami i rozdrażnieniem chorobliwym. Prawie zaraz począł żałować, że ją zawezwał; uważał ją za niezdolną do uprzyjemnienia i rozweselenia jego życia i począł się zamykać przed nią sam na sam z Różą, ową młodą blondynką o naiwnej mince, która bawie go umiała. Od czasu, jak rozwijająca się gwałtownie choroba przykuła go do fotela, zapominać się zdawał o tak długo przestrzeganej przez siebie ostrożności unikania kobiet, które wypijają krew i życie. Z tego też względu, gdy Klotylda zaczęła pukać do jego pokoju, nieprędko drzwi się przed nią roztworzyły, Róża bowiem zajęta była nacieraniem chorego. Maksym, dowiedziawszy się, iż wuj wzywa Klotyldę do Plassans, uznał za właściwe, by tam na-

tychmiast jechała, prosił jednak, by wracać zechciała do Paryża, gdy tylko ukończy swe interesa; mówił to przez grzeczność, chcąc się okazać uprzejmym względem siostry.

Klotylda całe popołudnie składała swoje rzeczy. Czyniła to pośpiesznie, gorączkowo, przejęta niespodziewanem wezwaniem, pogrążającym ją w wielką radość i uciechę. Zjadłszy czempredzej obiad i pożegnawszy się z bratem, wsiadła do dorożki, by przebyć ogromną przestrzeń Paryża z alei Bois de Boulogne do dworca kolei lyońskiej. Gdy wreszcie dostała się do wagonu, przeznaczonego dla dam wyłącznie i pociąg wyruszył o godzinie ósmej, by pogrążyć się w ciemną, dżdżystą noc listopadową, Klotylda ochłoneła z pośpiechu pędzącego nią od południa i uspokoiwszy się nieco, zaczęła myśleć; rozmyślania jej wkrótce zamącił niepokój, mimowoli w umyśle powstający. Dlaczego ta depesza była wysłaną tak gwałtownie i tak była krótką: „Oczekuję cię, wyjedź dziś wieczorem“? Tak, zapewne, była to odpowiedź na list, przez nią pisany a o stanie jej i nadziejach donoszący. Lecz była tak pewną, iż Pascal cieszy się z jej pobytu w Paryżu, przypuszczając, iż bardzo jest szczęśliwą przy bracie, iż nie rozumiała pośpiechu, z jakim wzywał ją obecnie. Nie spodziewała się depeszy, ale listu, przypuszczała, iż kilka tygodni minie na porozumiewaniu się co do jej powrotu do Plassans. Czyż było zatem jeszcze coś innego, co wpłynęło na decyzję Pascala? Czy zastał, lub też zapragnął koniecznie ujrzeć ją natychmiast? Od

tej chwili trwoźne myśli i przeczucia ogarniać nią poczęły coraz uparciej, aż wreszcie zawładnęły nią zupełnie.

Całą noc deszcz rześisty chłostał szyby pociągu, pędzącego przez równiny Burgundyi. Ulewa ustała dopiero w Maçon. Za Lyonem dzień już poczęło. Klotylda miała przy sobie wszystkie listy Pascala. Oczekiwała poranku z wzrastającą niecierpliwością chcąc pismo jego rozejrzeć dokładnie, bo zauważyła, iż pisał on obecnie zmienionym nieco charakterem. I rzeczywiście, rozłożywszy listy, uczuła jakby szarpnięcie w okolicy serca, widząc jak chwiejuemi i niepewnymi były niektóre litery, jak niewyraźne składały one słowa. Tak, on był chorym, może nawet bardzo chorym; przeczucie zamieniało się teraz w pewność, narzucającą się jej z nieomylnością, której tłumaczyć logicznie niepodobna było, wynikała bowiem jedynie z nieokreślonego daru jasnowidzenia, intuicji. Reszta części podróży wydała się Klotyldzie niesłychanie długą, twoga jej wzrastała, w miarę zbliżania się do kresu. A niestety, przybywszy do Marsylii o godzinie wpół do pierwszej, musiała czekać na pociąg, edehodzący do Plassans aż do wpół do czwartej. Trzy godziny oczekiwania! Zjadła śniadanie na dworcu, i załatwiwszy to z pośpiechem, będąc w obawie spóźnienia się na pociąg, wyszła do ogrodu, siadła na ławce, lecz po to, by za chwilę powstać i przenieść się na inną. Słońce błado przyświecało na niebie a w okół panował ruch tłumny powozów i omnibusów, przybывających na dworzec. Wsiadła nareszcie do wa-

gonu, lecz pociąg zatrzymywał się teraz prawie co kwadrans na wszystkich małych przystankach. Wychyłała głowę przez okno, rozglądała się po miejscowości, niemogąc wyjść z podziwienia nad powolnością swej podróży, trwającej lata nieskończonej długości. Wreszcie minąwszy stację Sainte Marthe, ujrzała daleko na skraju horyzontu ukochaną swoją Sulejadę a raczej dwa jej olbrzymie cyprysy, rosnące po obu stronach tarasu, wiekowe cyprysy, ukazujące się o trzy mile w promieniu.

Zmrok począł zapadać, była już godzina piąta. Pociąg zatrzymał się na stacyi w Plassans i Klotylda wyskoczyła z wagonu. Zaniepokoiła się niezmiernie, nie widząc Pascala. Od Lyonu powtarzała sobie ustawicznie: „Jeżeli nie będzie na mnie czekał na stacyi, to się znaczy, iż jest chory“. Może jest w głębi dworca, albo też został przy powozie na podwórzu... Wybiegła, lecz zastała tam jedynie starego Durieu, zwykłego przy okazji furmana Pascala. Zaczęła się go wypytywać z żywością, ale stary nie był skory do gawędy i odpowiadał urywaniem słowy. Wskazał jej swój wózek i prosił, by dała kwit dla odebrania rzeczy; chciał się najpierw zająć kuframi. Drżącym od wzruszenia głosem powtórzyła swe pytanie:

— Czy zdrowi wszyscy w Sulejadzie?

— Tak, panienko.

I długo jeszcze musiała go badać, nim się dowiedziała, że zamówiła go wczoraj Marcyna około szóstej wieczorem, mówiąc, by nie zapomniiał przybyć na

pociąg po panienkę. Oddawna nie widział nikogo, a pana doktora nie spotkał od dwóch miesięcy. Zdaje mu się, że doktor jest chory i położyć się musiał, bo słyszał ludzi mówiących, iż źle wygląda.

— Niech panienka zaczeka, aż odbiorę rzeczy, to ustawię je na wózku tak, żeby się miejsce i dla panienki znalazło.

— Bardzo ci dziękuję, ale zbyt długo musiałabym czekać. Pójdę piechotą...

I szybko puściła się pod górę. Serce jej biło gwałtownie, wstrząśnięte złowrogiem przecuciem. Słońce już zaszło za wzgórze Sainte-Marthe a z szarego nieba jakby drobny popiół pruszył ku ziemi wraz z chłodnym listopadowym podmuchem wiatru; wszedłszy na drogę, ujrzała Sulejadę i jakiś mroźny dreszcz przebiegł ją całą; dom widniał w zmroku wieczornym smutno i głucho, okiennice były pozamykane, wiało od niego opuszczenie i żałoba.

Cios prawdziwy spadł na nią, gdy poznała stojącego przed domem Ramonda, jakgdyby wyczekującego jej przybycia. Wyglądał jej rzeczywiście i wyszedł przed dom, chcąc ją spotkać, nim wejdzie, by choć trochę była przygotowaną na straszną katastrofę, która ją miała spotkać w Sulejadzie. Przybyła przed dom mocno zdyszana, przecięła ogród na ukos, obok źródła i jaworów, chcąc przybyć jaknajśpieszniej, lecz ujrzawszy Ramonda, zamiast Pascala, przecucie nieszczęścia stawało się pewnością. Ramond był bardzo blady i zmieszany, chociaż starał się spokój pozorny zachować. Nie rzekł słowa, czekając

na zapytanie z jej strony. Nadmierne wzruszenie tamowało głos na jej ustach. Weszli wewnątrz domu milcząc, i zatrzymali się w stołowym pokoju na dole. Przystanęli, patrząc na siebie kilka sekund, lecz mówić nie byli zdolni.

— On chory, wszak tak?— niewyraźnie, ledwie wymawianemi słowy zapytała Klotylda.

Odpowiedział jej:

— Tak, chory.

— Zaledwie pana spostrzegłam, pewną tego byłam. Tak, jeżeli nie wyszedł na moje spotkanie, musi być chory.

Zaczęła się natarczywie dopytywać o szczegóły.

— On chory, bardzo jest chory?

Ramond nie odpowiadał, lecz bladość jego wzmożła się bardziej, co nie uszło oka Klotyldy. Szarpnęło ją przecucie śmierci. Widziała ją teraz na licu Ramonda, w niepewności jego rąk zmęczonych wysiłkiem niesionej pomocy przy łożu konającego, w jego rozpaczliwym wyrazie twarzy i oczach jakby błędnych a widmo śmierci w sobie odbijających; rozpacz i znużenie odbijało się wreszcie w całej postaci młodego doktora, który od dwunastu przeszło godzin walczył, ratując umierającego mistrza i został pokonany.

Z nadmiaru bólu krzyknęła:

— On umarł!!

Zachwiała się, jakby gromem rażona i padła w ramiona Ramonda, który w braterskim uścisku przytulił ją do swej piersi. Nie rozłączając się z uściskiem, oboje płakali.

Po chwili, posadził ją na krześle i, trochę ochłoniwszy, rzekł:

— Mnie on polecił wczoraj przed południem, by wyprawić depeszę do ciebie. Jakiż on był wówczas szczęśliwy i pełen nadziei! Marzył o przyszłości, obliczał, iż żyć jeszcze będzie rok a może i dwa lata. Lecz dziś nadedniem chwycił go pierwszy gwałtowny atak i natychmiast po mnie przysłał. Nie miał już żadnej nadziei utrzymania się przy życiu. Ale przypuszczał, iż żyć będzie do szóstej i jeszcze się z tobą pożegna... Choroba rozwinęła się z niezwykłą szybkością. Zaznaczał jej postępy aż do ostatniego swego tchnienia, mówiąc o tem spokojnie, jak profesor dysekujący trupa w amfiteatrze. Umarł, mając twoje imię na ustach. Dzień cały dogorywał, zrozpaczony twoją nieobecnością a zarazem cierpliwy, bohaterski.

Klotylda pragnęła biedz na górę, do pokoju, gdzie leżały martwe zwłoki, lecz siły nie miała, by powstać, zrosniętą się zdawała z miejscem, które zajmowała. Słuchała słów Ramonda a wielkie łzy spływały strumieniami po jej bladych policzkach. Każde zdanie słyszanego opowiadania o szczegółach śmierci Pascala, wrytem się stawało w jej sercu. Odtwarzała w swym umyśle całą okropność dnia przebytego. Obraz ten pozostać miał na zawsze dla niej obecny.

Lecz rozpacz jej stała się bezgraniczną z nadejściem Marcyny, witającej ją słowami:

— Słuszuie panienka płacze, bo jeżeli pan umarł, to tylko z winy panienki...

Stara sługa stanęła na uboczu, prawie przy swoich drzwiach kuchennych, zrozpaczoną była i znękaną boleścią; rada więc była rzucić na kogoś grom posądzenia, iż ktoś wydarł jej ukochanego przez nią pana i zabił rękoma swojemi; nie znalazła słowa ku powitaniu i współczuciu względem Klotyldy, którą wszakże wychowywała od lat dzieciennych. Nie obliczając doniosłości słów swoich i wrażenia, jakie wyrzecz one mogą, ulgę niosła bólowi własnemu, wypowiadając ostro, ponuro, co czuła w tej chwili.

— Tak, pan umarł, bo panienka opuściła go i wyjechała tak daleko...

Pomimo swego przygnębienia, Klotylda poczęła się bronić.

— Ależ to on chciał, on mnie zmusił do wyjazdu.

— Wiem ja dobrze, że panienka miała ochotę. Gdyby nie to, byłaby panienka jaśniej rzeczy widziała. Wszak w nocy poprzedzającej wyjazd panienki, zastałam pana prawie konającego z rozpacz; chciałam biedz i powiedzieć panience, co się dzieje, lecz pan mnie powstrzymał i zabronił... Ale potem, wszak ciągle pana widziałam po tym wyjeździe... Nocami chorował, lecz całą siłą się bronił, by nie pisać, wzywając panienkę z powrotem... I oto z tego umarł, jest to prawdą rzeczywistą.

Rozświetliły się teraz w umyśle Klotyldy różne niejasne dotychczas wspomnienia, budząc w niej błogie a zarazem ciężkie uczucia. A więc prawdą były przypuszczenia przez nią czynione? A ona, pomijając je, uwierzyła zaręczeniom Pascala, twierdzącego, iż

pracy oddać się musi w całości! Ze przekładą pracę, zamiłowanie wiedzy, ponad miłość i szczęście jakie ona mu dać mogła. Okazuje się, że kłamał z zaparciem się siebie, zapominając o sobie, poświęcając się całkowicie dla uludy, w której upatrywał jej tylko szczęście i dobro. Okoliczności wykazały wszakże, iż złudzenie jego było zupełne, mylił się i przyprowadził ich oboje o niepowetowaną zatrutę ich szczęściem...

I znów Klotylda broniła się, pełna boleści.

— Zkądże mogłam o tem wszystkim wiedzieć?... Byłam mu posłuszną, bo całą miłość moją posłuszeństwem chciałam mu wyrazić.

— O ja na miejscu panienki—zawołała Marcyna—byłabym niezawodnie odgadła, co jest rzeczywistą prawdą!...

Ramond przerwał łagodnie przykrą tę rozmowę. Ująwszy rękę Klotyldy, tłumaczył jej, iż zmartwienie mogło rzeczywiście przyspieszyć zgon Pascala, lecz od dawna był chory i na śmierć rychłą skazany. Choroba serca, na którą cierpiał od lat dawnych, była w zarodku, pochodziła częściowo z wady, odziedziczonej po przodkach a rozwinęła się skutkiem nadmiernej pracy, egzaltowanych uczuć i miłości, które serce jego rozsadziły ostatecznie.

— Chodźmy na górę, chcę go widzieć.

Zamknięte okiennice pokoju nie dopuszczały światła dnia już zapadającego. Dwie gromnice gorzały w świecznikach, postawionych u stóp łóżka. Żółtem swem światłem opromieniały leżącą postać Pascala; ręce miał skrzyżowane na piersiach a wyciągnięte

nogi zwarte były ze sobą. Powieki jakaś ręka z czcią mu zasunęła. Twarz miał jakby uśpioną, chociaż z sinym odcieniem; wyraz oblicza był pogodny. Białe włosy i broda w obfitości swej twarz mu okalały. Już półtorej godziny, jak skonał. Nieskończona błogość i spokój, tchnęły z jego postaci.

Ujrawszy go na śmiertelnem łożu, ze strasznem przeświadczeniem, iż jej ani widzieć, ani słyszeć nie może, że samą, opuszczoną jest teraz na świecie, Klotylda rzuciła się na jego piersi, bełkocząc niezrozumiałe słowa miłości. Słysząc tylko było:

— Mistrzu, mistrzu, mistrzu...

Usta jej spoczęły na czole zmarłego. Ciało jego jeszcze nie zastygło, mogła więc mieć chwilę złudzenia, iż odczuł ostatnią jej pieśczętę, ostatni jej pocałunek, którego wyczekiwał z takim upragnieniem. Czyż nie dostrzegła, jakby słodkiego uśmiechu na tej twarzy kochanej, uspokojonej wreszcie jej przybyciem, jej i dziecka jego, które w sobie nosiła? Osłabła wszakże przed straszną rzeczywistością i zaniósła się spazmatycznym łkaniem.

Marcyna weszła do pokoju, niosąc zapaloną lampę, ustawiła ją na marmurowym blacie kominka. Posłyszała właśnie słowa Ramonda, starającego się uspokoić Klotyldę, zaniepokojony był bowiem bezmierną jej boleścią, mogącą zły wyrzecć skutek na stan, w jakim się znajdowała.

— Urowadzę cię z tego pokoju, albo zachowuj się spokojniej... Myśl o tem, że nie jesteś sama, że dbać powinnaś o dziecko, którego zapowiedź on przyjął

z taką niewymowną radością; mówił mi o przyjsie mającem małości z uniesieniem szczęścia...

W ciągu dnia Marcyna słyszała w rozmowie Pascala z Ramondem słowa, których jasno nie pojmowała. Teraz zrozumiała wszystko, chociaż nie tu nie miała do roboty, wyjść niemogła obecnie z pokoju, chciała słyszeć coś więcej.

Ramond mówił głosem niższym:

— Klucz od szafy jest pod jego poduszką. Kilkakrotnie zalecał mi, bym ci o tem powiedział. Wiesz podobno, co pozostaje ci dalej uczynić?...

Klotylda starała sobie przypomnieć.

— Co mam uczynić?... Pewnie o papierach chcesz mówić? Tak, przypominam sobie, mam zachować teki z dokumentami rodziny dla siebie, resztę zaś papierów złożyć w twoje ręce... Nie lękaj się, pomimo wszystko jestem przytomna, i postaram się być rozsądną. Ale chcę noc dzisiejszą spędzić koło niego, i zachowam się spokojnie, przyrzekam ci.

Tak była zbolełą a zarazem silną w powziętem postanowieniu nieopuszczenia Pascala, aż do chwili, gdy go poniosą z domu, iż Ramond nie śmiał jej za bronić tego.

Przyrzekłaś mi, iż się zachowasz spokojnie; odchodzę więc, by zająć do siebie, a następnie zajmę się ułatwieniem nieuniknionych formalności pogrzebu, chcąc cię w tem wszystkiem wyręczyć. Jutro, gdy tu wrócę, zdam ci sprawozdanie.

Pocałowali się na pożegnanie i Ramond wyszedł. Wtedy dopiero i Marcyna wysunęła się z domu ukrad-

kiem a zamknąwszy drzwi domu za sobą, puściła się pędem w stronę miasta.

Klotylda pozostała w pokoju sama; czuła, iż w domu niema nikogo, że cisza i pustka zapadły dokoła. Była sama ze zmarłym Pascalem. Przysunęła krzesło tuż do boku łóżka i siadła u wezglowia, zdrętwiała, bez ruchu, jakby sama martwą już się stała. Po przybyciu zdjęła z głowy kapelusz; o wiele później, spostrzegłszy rękawiczki na swych rękach, ściągnęła je ruchem machinalnym. Pozostała wszakże w podróźnem swem ubrauiu jakkolwiek suknia jej zgniecioną i zapyloną mocno była, po dwudziestu godzinach jazdy koleją. Durieu już oddawna musiał przywieźć kufry z kolei; zapewne ustawił je na dole w sieni. Lecz nawet przez myśl jej nie przeszło, by umyć się i przebrać — opadła tylko nieruchomie na krzesło, tuż przy ukochanym. Dręczyła się do katuszy myślą: dlaczego była mu posłuszną? Dlaczego zgodziła się na wyjazd? Niezachwianie pewną była, iż nie byłby umarł, byłby żył szczęśliwy przy jej boku. Wszak miłością swoją i pieczęcią, niosła zawsze uzdrowienie jego. Co wieczór byłby usypiał, kołysany w jej objęciach, ogrzany jej młodością, pokrzepiony jej pocałunkami, życie w sobie niosącami — życie własne jemu w darze przez nią składane. Nie chcąc, by śmierć wydrzeć nam mogła ukochaną istotę, strzedz jej i nieodstępować należy z gotowością ofiary krwi swojej własnej — przed taką potęgą śmierć nawet ustępować zwykła. Tak, jej jest winą, że umarł jej ukochany, iż nie może go już teraz zbudzić pocałunkiem, bo usnął na zawsze

i nigdy się nie zbudził... Wzburzona temi myślami, miotała się gniewem na siebie za swój brak przenikliwości; miała się za podłą i nieumiejącą odgadnąć poświęcenia! Jakże winną się czuła za swój wyjazd z Sulejady, wszak prosty rozsądek, jeżeli już nie serce, nakazywał jej wiedzieć, że miejsce dla niej jedyne było przy boku mistrza, przy boku biało-włosego króla dobrego, przy którym jako wierna i czułości pełna poddanka wytrwać była obowiązana.

Wśród niezmaconej wielkiej i poważnej ciszy, Klotylda na chwilę oderwała oczy od twarzy Pascala i spojrzała w około siebie. Komnatę niewyraźne załęgały cienie; lampa, stojąca na kominku, rzuciła swe światło skośne ku wielkiej „Psyche“ a lustro potyskiwało taflą matowego srebra; palące się gromnice odbijały się na suficie, dwoma drżącymi płamami o dziko ryżych falujących tonach. Przypomniała sobie krótkie i chłodne listy Pascala, i pojęła męczarnię, jaką sobie musiał zadawać dla stłumienia uczuć, rwących się pod pióro. A jakąż moc woli okazał, przeprowadzając plany usnutej dla niej szczęśliwości! Zajęty jedynie jej dobrem, czynił wysiłki dla usunięcia siebie z jej drogi; chciał ją jedynie wybawić od siebie, od swej starości i nędzy; widział ją wzamian zdała od siebie wolną i szczęśliwą, mogącą dowolnie pokierować swem życiem; z zapomnieniem o sobie, chciał się unicestwić z wielkiej ku niej miłości. Serce Klotyldy rozpływało się w podzięcie a słodycz tego uczucia zatrzuwała myśl o losie okrutnym. Przypomniała sobie lata swego szczęśliwego wieku dziecięcego, la-

ta późniejsze, gdy rosła przy nim, otoczona jego wesołością i dobrocią niezrównaną. Przywiązanie jej zmieniać się zaczęło z latami, uczuła, iż wyłącznie do niego jednego należeć będzie a jednak jakież walki i bunty przechodzili wspólnie, aż wreszcie z porywem szaleńczej radości oddała mu się sama, by wiedział, iż jego wyłączną jest ona własnością, by poczuł, iż dobrowolnie oddaje mu się cała, wiedząc, iż jej pożądał i pokój, w którym teraz spoczywał martwy i z życia stygnący, wydał się jej ciepłym i drgającym miłością i pieczęcią ich wspólną.

Wybiła godzina siódma a na ten odgłos Klotylda drgnęła. Zdawało się jej, iż ktoś przemówił. Lecz oprzytomniała i rzuciła oczyma na zegar, który tyle godzin szczęśliwych dla niej wydzwonił. Dźwięk zegara był przyciszony i drżący, jakgdyby odgłos starością znękanego przyjaciela; ileż razy wsłuchiwali się w tę jego właściwość, gdy nie śpiąc, czuwali łączeni w swych objęciach. Z każdego sprzętu zaczęły się ku niej wysuwać wspomnienia. Odbicie postaci ich obojga zdawało się wychylać ze srebrnej, bladej toni lustra, widziała siebie uśmiechniętą, rumieniącą się, jakby spłoszoną, gdy wiódł ją przed lustro dla przystrojenia jej w nowo przyniesiony podarek. Ach a ten stolik, na którym goreją gromnice, wszak on im służył w czasie owego pamiętnego wieczoru, gdy jedli obiad, pozbawieni chleba kawałka a tacy szczęśliwi, taką niezrównaną miłością płonący! Nawet z tą komodą o białym marmurowym blacie, obwiedzionym brązową galeryjką, ileż drobnych a miłych łączyło

się wspomnień! Ileż śmiechu budziło się zawsze w chwili, gdy zdejmowała, lub kładła pończochy, siedząc na staroświeckiej kanapie o sztywnych liniach i nogach! Obicie pokoju o wypłowiałej czerwonej barwie, przypominające kolor jutrzeńki, słało ku niej tysiączne swe zwierzenia; wszystkie drobnostkowe nawet, lecz miłością tchnące rozmowy ich obojga, zapach jej włosów, który Pascal przyrównywał do zapachu fiołków, ubóstwiając je, jak wszystko, co było z nią związane. Oddźwięk zegaru dawno już przebrzmiał a Klotylda pogrążona w zadumie, znów oczy miała utkwione w nieruchomą twarz Pascala.

W kilka minut później, oddana znękanui, Klotylda posłyszała po za scbą stłumione szlochanie. Ktoś wszedł niespodziewanie a zwróciwszy się, poznała babkę swoją, Felicję. Nie drgnęła, nie przemówiła, tak dalece obezwładnioną bólem była. Uprowadzając wszelkie polecenia, Mareyna pobiegła zawiadomić starą panią Rougon o śmierci jej syna; rażona wieścią tak niespodziewanej katastrofy, wzburzona cała, przybiegła, ujawniając głośno swe zmartwienie. Jęczała płaczliwie nad zwłokami syna, pocałowała Klotyldę, która również pocałowała ją nawzajem, nie zdając sobie sprawy z niczego. Od tej chwili wszakże Klotylda, jakkolwiek odosobniona swą boleścią, czuła i słyszała, iż nie jest już samą, bezustannie dochodziły ją szepty i ruch krążących po pokoju kroków. Pani Felicja bowiem, płacząc, wchodziła i wychodziła bez przerwy, stąpała na palcach, wciąż układając, przysuwając, lub odstawiając, rzucała się

na krzesło, by prawie równocześnie z niego powstać. Około godziny dziewiątej, umyśliła namówić swą wnuczkę, by się posiliła koniecznie. Dwukrotnie nacie-
rała na nią, by coś zjadła. Znów się zbliżyła, mówiąc jej do ucha:

— Klotyldo, kochaneczko moja, zaręczam ci, iż źle czynisz, nie chcąc mnie posłuchać... Trzeba, abyś miała siły, inaczej sama rozchorujesz się z wycień-
czenia.

Klotylda ruchem głowy znak jej dała, by zostawić ją w spokoju.

— Przyznaj się — szeptała dalej Felicja, iż nie w ustach nie miałaś od śniadania w Marsylii, które zjadłaś zapewne na stacyi?... Czyż to rozsądnie?... Nie chcę, byś się rozchorowała, kochaneczko moja?... Marcyna ma w kuchni rosół... Powiedziałam jej, by, prócz zupy, upiekła kurczę... Zejdź na dół i zjedz cośkolwiek, ja przez ten czas zastąpię cię tutaj...

Klotylda tym samym zbolałym gościem prosiła po-
nownie, by ją zostawiono w spokoju. Wreszcie wy-
rzekła powoli:

— Babciu, błagam cię, nie męcz mnie... Jeścbym nic nie mogła, nie przełknęłabym.

Odtąd zamilkła. Z oczami utkwionemi w twarz Pascala siedziała nieruchoma. Godziny mijały a ona nie drgnęła, pogrążona w swych myślach gdzieś da-
leko, bardzo daleko, zjednoczona z umarłym. Około godziny dziesiątej posłyszała jakiś hałas, była to Marcyna, zmieniająca lampę. Około godziny jedena-

stej, zagłębiona w fotelu, pani Felicja znów poczęła się niepokoić i wyszła, lecz wkrótce już była z powrotem. Znów rozpoczął się szelest ustawiczny, niecierpliwie chodzono i szeptano w około Klotyldy, wciąż nieruchomo siedzącej z oczami patrzącemi na zwłoki Pascala. Wybiła północ a w głowie Klotyldy jedna i ta sama myśl szarpała ją boleśnie, sen spędzając z jej powiek, dlaczego odjechała, dlaczego była mu posłuszna! Zostając wówczas przy nim, byłaby go uchroniła od śmierci własną swą młodością, on żyłby obecnie! Dopiero w godzinę później, myśl ta zacierać się i słabnąć w umyśle jej poczęła, mającąc coraz niewyraźniej. Wreszcie zasnęła snem ciężkim, wyczerpana z sił zmęczeniem i boleścią.

Gdy Marcyna, przybiegłszy, oznajmiła pani Rougon o śmierci jej syna, przerażona niespodziewaną tą wieścią, Felicja powstrzymać się nie mogła zrazu od wybuchu złości. Nawet umierając, nie chciał jej widzieć, przysięgać kazał tej służącej, iż jej nie zawiadomi o niebezpieczeństwie! Wzburzyło ją to niewymownie, więc niezgoda, która za życia jego trwała, ciągnąć się miała nawet po śmierci! Ubrała się szybko i pobiegła do Sulejady; zajęta już prawie wyłącznie myślą, jak zagarnąć papiery i teki z dokumentami rodzinnymi. Teraz, gdy stary Macquart, ciotka Dida i mały Karolek—leżeli już w grobie, pani Felicja uspokojoną była co do jątrzącej się rany rodzinnej w Tulettes; boć nawet mały Karolek zniknięciem swem przyniósł niemałą ulgę upokorzonej jego istnieniem dobrej sławie rodzinnej. Pozostawały więc obecnie

tylko papiery, te wstrętne papiery, stanowiące groźbę i urągające świetności legendy tryumfującego rodu Rougon-Macquartów; one mogły jedne zaszkodzić czystości tej legendy, której wytworzeniu, uzupełnieniu, Felicja całe swe życie oddała, która była jedynym jej celem obecnie, jedynym dziełem, godnym usiłowań i zabiegów pełnego rzutkości umysłu. Od lat dawnych siła się powstrzymać Pascala w swej pracy zbierania wiadomości, dotyczących wszystkich członków rodziny, chciała mu następnie wydrzeć ukłasyfikowane papiery, czyhała na nie uparcie, rozpoczynając walkę w chwili, gdy można było przypuszczać, iż myśleć o tem przestała. O, gdyby teraz je pochwyć zdołała i zniszczyć nazawszel! Plamy, ciężące na przeszłości rodu, ustąpiłyby wówczas miejsca sławie, nieskazitelnej! Wolną poczułaby się wreszcie od wszelkiej pogróżki, promieniałaby spokojnie, kłamstwo narzucając historii. I widziała już Felicja, najdumniejsze czoła pochylone ku niej z czcią jej zasługom należną; widziała się przebywającą miasto Plasans, jak królowa, nosząca z godnością żałobę upadłego skutkiem nieszczęść cesarstwa. Gdy Marcyna uwiadomiła ją o przybyciu Klotyldy, przyspieszyła kroku, dążąc ku Sulejadzie; lękała się, by nie przybyć zapóźno.

Gdy weszła do domu i rozejrzała się trochę, wstąpiła w nią otucha. Nic nie nagliło, całą noc miała przed sobą. Postanowiła upewnić się co do przychylności Marcyny; wiedziała, jakich ku temu użyje sposobów, i co najskuteczniej oddziała na prosty u-

mysł, zasklepiającej się w ciasnych religijnych formułkach starej dewotki. Gdy tylko zeszła do kuchni, będącej teraz w wielkim nieładzie, Felicya, patrząc na pieczące się kurczę, zaczęła głośno utyskiwać, jak dalece jest zboląta, iż syn jej umarł bez pogodzenia się z kościołem. Zarzucała Marcynę pytaniami, żądając najściślejszych szczegółów. Lecz ta, potrząsała tylko głową rozpaczliwie, powtarzając: nie. Księdza nie było przy umierającym i pan się nawet ani razu nie przeżegnał! Ona jedna tylko ukłękła i odmawiała modlitwy za umierających, lecz czyż to mogło być dostateczne dla zbawienia duszy! Napewno—nie! Modliła się wszakże bardzo żarliwie, błagając Boga, by wpuścić zechciał pana wprost do raju.

Patrząc wciąż na piekące się na różnie kurczę, pani Felicya poczęła mówić przyciszonym głosem a potem jakby już tylko sama do siebie:

— Ach moja kochana Marcyno, najtrudniej będzie mu się dostać do raju z powodu tych wstrętnych papierów, które nieszczęsny nagromadził w swej wielkiej szafie na górze. Pojąć doprawdy nie mogę, iż dotychczas ogień niebieski gromem w tę szafę nie uderzył, by papiery obrócić w niwecz, w popiół zamienić!... Jeżeli wyjdą one z tego domu, największe plagi sprowadzą na nas wszystkich, pokryją nas hańbą a jego wtrąca do piekieł na zawszel...

Marcyna, słuchając tych słów, coraz to więcej bladła.

— Więc pani przypuszcza, iż dobrym byłoby uczynkiem zniszczyć te papiery? I że dusza pana zyskałaby wówczas spokój wiekuisty?

— Boże mój! Czy ja przypuszczam! Ależ pewną tego jestem! Gdybym miała tylko te nędzne papiery, rzuciłabym je własnymi rękoma do tego ognia, co jest przed nami. O mogłabyś nie dorzucać wtedy drzewa, dość on tych papierów zebrał na swoją zgubę! Nie jednego, ale ze trzy kurczaki mogłabyś przy nich upieć!...

Marcyna właśnie długą łyżką polewała pieczone masłem, z niego ociekłem. Ona także zamysliła się głęboko. Wreszcie rzekła:

— Bieda, iż nie mamy owych papierów. Słyszałam nawet coś o nich, co mogę pani powtórzyć... Doktor Ramond pytał się panny Klotyldy w pokoju na górze, czy pamięta, jakie ma polecenie względem papierów; pewnie pan musiał jej o tem mówić przed wyjazdem; ona odpowiedziała, że pamięta, że teki mają zostać przy niej a doktorowi Ramond ma oddać wszystkie inne papiery.

Felicja słuchała tych słów z natężoną uwagą i zaniepokoiła się widocznie. Poczęła się lękać, iż znów nie pochwyci papierów Pascala. Pragnęła posiadać nie tylko teki, ale wszystko, cokolwiek on napisał. Chciała zniszczyć całą jego pracę spisana a dla siebie nieznaną i ciemną, lecz z której, jej zdaniem, nie mógł wyrość jak tylko skandal i zgroza. Twierdziła to stanowczo i szczerze, taki bowiem ciasny horyzont myśli przystępnym był dla jej strupieszalej, burżuazyjnej mózgownicy.

— Trzeba zatem działać natychmiast—zawołała. Jutro może być zapóźno.

— Ja wiem, gdzie jest klucz od szafy—rzekła Marcyna półgłosem. Słyszałam, jak doktor mówił o tem panie Klotyldzie.

Felicja podchwyciła z żywością:

— Klucz—a gdzie on jest?

— Pod poduszką, na której głowa pana leży.

Pomimo płonącego ognia i buchającego od komina żaru, jakiś powiew zimny wionął na mówiące z sobą kobiety; obie zamilkły. Słychać teraz było tylko smarzące się w brytwannie krople tłuszczu, spadające z dopiekającego się kurczęcia.

Pani Rougon zjadła obiad naprędce i żywo wraz z Marcyną poszły na górę. Nie mówiąc nic z sobą więcej, działać się zdawały wspólnie, zdecydowane tej nocy zagarnąć papiery w swe ręce, nie przebierając w środkach, byle celu nie chybić. Najprostszą rzeczą byłoby wziąć ów klucz z pod poduszki. Przecież Klotylda zaśnie, zbyt jest zmęczoną i z sił wyczerpaną, by sen jej wreszcie nie zmorzył. Trzeba więc tej chwili czekać spokojnie. Zaczęły wtedy chodzić z pokoju do pokoju, podpatrując i wyczekując chwili, gdy rozwarte oczy Klotyldy przestaną wpatrywać się w Pascala i ulegną zmęczeniu. Zawsze szła na zwiady jedna, podczas gdy druga czekała, niecierpliwiąc się w wielkiej sali, lub poprawiając filującą lampę. Oczekiwanie takie trwało przeszło do północy. Śledzone jednak co kwadrans oczy Klotyldy wciąż były rozwarte i boleścią niezmierną ściemniałe. Trochę przed północą, Felicja zasiadła w fotelu u nóg Pascala, postanawiając nie ruszyć się z miejsca,

dopóki nie ujrzy wnuczki swej uśpionej. Nie spuszczała jej z oka, gniewając się i niecierpliwiąc, iż powieki Klotyldy wciąż były nieruchome, jakby już nigdy zamknąć się nie miały. A co gorsza, pani Felicya czuła, iż senność ją samą ogarnia. Zrozpaczona, nie mogła już dłużej usiedzieć na miejscu. Poszła do Marcyny.

— Napróżno czekamy — rzekła — ona nie zaśnie. Trzeba obmyśleć coś innego...

Przychodziła jej myśl oderwania drzwi od szafy. Lecz dębowy, staroświecki ten sprzęt, mocno był zbudowany, drzwi wydawały się grubości nadzwyczajnej a bogato kute zawiasy, nieprzełamany stanowiły opór. Czemby można zamek oderwać? Lecz przy oderwaniu zamka, hałas był nieunikniony, więc i niebezpieczny, gdyż Klotylda posłyszycy go z sąsiedniego pokoju...

Felicya stanęła wprost szafy i dotykała jej wszędzie palcami, jakby chcąc wymacać miejsce, słabszy stawiające opór.

— Ach, gdybym tylko miała jakie narzędzie!

Lecz Marcyna, przezorniejsza, przerwała jej, mówiąc:

— Niech pani zaczeka; nie trzeba się dać schwytać. Pójdę zobaczyć, może wreszcie zaśnęła...

Poszła na palcach do sąsiedniego pokoju i wróciła prawie natychmiast.

— Zasnęła!... Oczy ma zamknięte i śpi głęboko.

Poszły teraz razem, by się o tem przekonać; szły powoli, unikając starannie najlżejszego szmeru. Klo-

tylda rzeczywiście zasnęła, zniweczona nadmiernie, zdawała się być odrętwiała, co dwom starym kobietom dodało otuchy. Bały się wszakże, potrącić ją za zbliżeniem się do łóżka, krzesło jej bowiem stało tuż przy poduszce Pascala. Trwoga ogarnęła niemi na myśl świętokradztwa, jakie zamierzały spełnić, kradnąc klucz z pod głowy zmarłego! Czyż go nie poruszą w jego spokoju? Czyż on nie drgnie, gdy okradać go będą? Bładły pod wrażeniem tych myśli, opływających je wzajemnie.

Felicja już się zbliżyła z wyciągniętą ręką. Lecz cofnęła się natychmiast.

— Jestem za małą—szepnęła. Sprobuj ty, Marcyno.

Podeszła teraz Marcyna. Lecz stanąwszy obok łóżka, drzeć tak poczęła, iż musiała się cofnąć, by nie paść na trupa.

— Nie mogę. Lękam się, iż pan oczy roztworzy, gdy sięgnę pod poduszkę...

Trwożne i drżące stały w pośrodku pokoju jak grób milczącego, stały przelęknięte przed obliczem nieruchomie leżącego Pascala, mającego przy swym boku obezwładnioną bólem Klotyldę. Szlachetny majestat całego życia pracy promieniami swemi oświecać się zdawał niemą na zawsze głowę Pascala, która całym swym ciężarem spoczywała, straż pełniąc i broniąc przystępu. Gromnice blado i migotliwie stały swe światło. Przerażone wielkością i świętością miejsca, pierzchały obydwie.

Nieulekniona dotychczas przed niczem Felicja,

brnąca bez namysłu przez strumienie krwi, byle dojść do swego celu, uciekała obecnie, jakby ścigana pogonią.

— Chodź, Marcyno. Znajdziemy inny sposób. Poszukamy narzędzi.

W sali dopiero odetchnęły swobodniej. Marcyna przypomniawszy sobie, iż klucz od biórka leżał na nocnym stoliku w pokoju Pascala, tam go bowiem widziała, gdy przywołał ją nad ranem. Poszły zobaczyć. Felicja, pochwywszy klucz, otworzyła szufladę. Lecz znalazła tam tylko owe pięć tysięcy franków i zostawiła je na miejscu, nie pieniędzy bowiem szukała. Naprózno chciała odnaleźć arkusz z rysunkiem drzewa genealogicznego, wszakże wiedziała, iż zazwyczaj tutaj spoczywa. Jakże chętnie byłaby rozpoczęła od tego zamierzone zniszczenie! Pozostało ono na wierzchu, na stole Pascala w wielkiej sali; nie było danem Felicji posiąść je; gorączkowo wzburzona i chciwa zniszczenia, uwzięła się uporczywie na szukanie w szafach i szufladach zamkniętych, nie mogąc opanować się dostatecznie, by przeglądać wszystko z kolei systematycznie.

Żądza pochycenia papierów sprowadziła ją znów przed wielką szafę dębową. Stała przed nią, mierząc i ważąc ją oczyma, pironącemi chęcią zawładnięcia jej wnętrzem. Pomimo lat osiemdziesięciu, wrzała pragnieniem zdobyczy, wspinała się na palce, obchodziła szafę z pośpiechem i z zadziwiającą energią.

— Ach! żebym miała pod ręką jakie narzędzia!

Powtarzając te słowa, podpatrywała na wszystkie

strony kolosalnych rozmiarów szafę, śledząc, czy szczeliny jakiej nie ujrzy, by palcami chociażby nadwyręzoną deskę rozsadzić i wyłomem dostać się do wnętrza. Przez umysł jej przebiegały coraz to nowe plany podboju i gwałtu, pragnęła wymyśleć fortel dość podstępny, by podwoje szafy rozwarły się same, jakby czarodziejskiej ustępując sile.

Nagle, oczy jej błysnęły, znalazła!

— Marcynol—wszak prawda, iż haczyk podtrzymuje pierwszą połowę drzwi wewnątrz?

— Tak—objaśniła służąca.—Zaczepia się o środkową półkę... Niech pani patrzy na tę rzeźbę, półka środkowa w tem właśnie miejscu przypada.

Felicya patrzała tryumfująco, pewna zwycięstwa.

— Musisz mieć świderek gruby, jaknajgrubszy, dawaj go co żywo!

Służąca zbiegła do kuchni i przyniosła narzędzie.

— W ten sposób, moja kochana, dostaniemy się do szafy, nie robiąc hałasu; i stara ta matka wzięła się do roboty, by zniszczyć umysłową spuściznę dopiero co zmarłego syna...

Z niepospolitą siłą i zręcznością zagłębiła świder w oznaczone przez Marcynę miejsce i wysuszonemi wiekiem rękoma obracała nim żwawo. Wykręciła dziurę, lecz spostrzegła, iż trochę chybiła, koniec świdra napotkał deskę, stanowiącą półkę. Szybko wywiercony drugi otwór trafił wprost na haczyk. Tym razem również na próżno. Wierciła teraz dziury jedna przy drugiej, wpadłszy jakby w szal, dodający jej siły; dziury mnożyły się pod jej rękoma, aż wresz-

cie świdrem samym natrafiła w bok haczyka tak, iż usunął się sam ze swej obrączki. Rygiel w zamku ustąpił teraz za pierwszym szarpnięciem i podwoje szafy stanęły otworem.

— Nareszcie!—zawołała z uniesieniem Felicja.

Z niepokojem stała na miejscu, nad słuchując, czy nie dolatuje szelest, czy nie zbudziła Klotyldy. Lecz cały dom głucho był mileczący, jakby uspiiony w ciemności nocnej. Z komnaty, gdzie spoczywał zmarły, wiał spokój śmierci i zegar wydzwonił uderzenie jedno, zwiastując godzinę pierwszą. Stara dębowa szafa stała rozwartą, ukazując na trzech wielkich swych półkach, stosy nagromadzonych i usuwających się papierów. Felicja rzuciła się na nie z wściekłością, rozpoczynając dzieło zniszczenia, szerząc zagładę wśród opływającego półcienia, nieulekniona, gwałcąc spokój należny zmarłemu synowi.

— Nareszcie — powtarzała stłumionym głosem — mam was! Od lat trzydziestu pożądam was, łaknę, i wyczekuję, by posiąść!... Śpieszmy się, Marcyno, chodź pomagać!..

Przyniosła wysoki stołek, wskoczyła nań z zadziwiająco lekkością, pragnąc przede wszystkim pochwycić papiery, spoczywające na półce najwyższej, pamiętała bowiem, iż tam właśnie są teki z dokumentami rodzinnymi. Zadziwiła się, spostrzegłszy leżące tam kajety, zamiast papierów w tekach z grubej niebieskiej tektury. I rzeczywiście były to rękopisy uczonych prac doktora, wyniki długich i mozolnych jego poszukiwań i odkryć, materyał nagromadzonej przyszłej

jego sławy, nie bowiem jeszcze z tych papierów nie było drukowane, miał się dopiero rozejrzeć w nich Ramond, któremu Pascal przekazywał je w spuściznie. Należało przypuszczać, iż na kilka dni przed śmiercią, Pascal ułożył na nowo spoczywające w szafie papiery, klasyfikując wszystko w innym porządku. Nigdy on nie przypuszczał, by ktokolwiek miał zamiar zniszczyć naukową część jego pracy, położył ją więc na wierzchu, chroniąc dokumenty rodzinne od możliwej zagłady.

— Niech i tak będzie!—szepnęła Felicja—byle prędzej; tyle tu jest tych papierzyków, iż co rychlej trzeba niszczyć, rozpoczynając od pierwszych z brzegu... Już kiedy tu jestem, oczyszczajmy jak popadnie... tylko prędzej, Marcynol!

I uprzętała półkę, rzucając Marcynie zwoje i stosy papierów, które ta kładła na stole, unikając hałasu. Wkrótce półka już była pusta i Felicja zeskoczyła ze stołka z młodocianą rzeškością.

— A teraz na ogień, rzucajmy je w płomień, niechaj popiół z nich tylko zostanie... Potem szukać będziemy dalej, przecież się znajdą i te, których szukam... Na ogień, na ogień! Uwińmy się najpierw z temi... Rzucajmy w płomień wszystko, najmniejsze nawet świstki!... Niechaj ogień zniszczy je wszystkie, jeżeli chcemy mieć pewność, że nie już zarazy szerzyć nie będzie!

Z dzikim fanatyzmem, wywołanym ciasnotą pojęć i złą pochodzącą nienawiścią do wiedzy i prawdy, przedarła Felicja tytułową kartę rękopismu, trzyma-

nego w swych dłoniach, zapaliła papier o płomień lampy i rzuciła w komin, w którym może od lat dwudziestu, ogień nigdy nie powstał. Podsycała zajmujące się papiery, dorzucając coraz to nowe wydzierane karty. Marcyna chwyciła inny gruby kajet i stojąc obok Felicji przed płonącym ogniskiem, darła go i w komin rzucała na pastwę. Ogień płonął coraz większym snopem światła, zalewając je obie, chwilami przysgaszał nawałem papieru stłumiony, by po chwili buchnąć tem gwałtowniej, zagarnawszy nowe ofiary. Rozniecone ognisko coraz bardziej zwiększało swój zakres. Drobny, zwęglony pył unosić się począł w powietrzu a zwoje zczerniałych i spalonych papierów, migotały miejscami, jakby nikłe wężyki, lub gwiazdki przebiegały wśród nich naprzemiann. Spalić nagromadzony stos papierów, trud był niemały! Zwłaszcza, iż karty rzucane w zbyt wielkiej na raz ilości, nie zajmowały się z łatwością; trzeba je było unosić i przewracać. Paliły się najłatwiej te, które poprzednio zmięte były rękoma. Kobiety tem zajęte nabierały wprawy i stos gorzał coraz jaśniej i coraz gwałtowniej niosąc zniszczenie.

W pośpiechu, by nowe przynieść naręcze papierów, Felicja potrąciła stojący na drodze fotel.

— Niech pani uważa — prosiła Marcyna — bo gdyby kto nadszedł!...

— Kto może tu nadejść? Klotylda? Ależ ona śpi, upadła ze zmęczenia biedaczka! A jeżeli przyjdzie, gdy już wszystko będzie skończone, tem gorzej dla niej, mnie to jest obojętne. Bądź spokojną, ja się

kryć nie myślę z tem, co teraz robię! Szafę zostawię roztwartą i głośno mówić będę, iż oczyściłam dom ten z kału, który go zanieczyszczał. Oby jaknajprędzej wszystko zgorzało! Oby litery nie zostało jednej!—Oto czego pragnę, a z reszty kpię i tylko kpię!...

Od dwóch już godzin ogień płonąc nie przestawał. Co chwila wracały obydwie do szafy, czerpiąc z półek coraz to nowe naręcza papierów. Już półki były puste. Pozostały jeszcze stosy papierów na samym dole szafy. Musiały to być notatki, rzucane latami całemi.

Obydwie kobiety wpadły jakby w szal, zionący chęcią zniszczenia; spocone, uwijały się gorączkowo, namiętnie. Przysiadały na ziemię, podrzucając na ogień rozwiewane na pokój stronnice, poczerńczyły sobie ręce i ubranie, włosy ich w coraz większym nieładzie wysuwały się im kosmykami siwemi w około szyi, aż na ramiona. Gwałtownemi ruchami i całą postacią wywoływały na jaw w bajkach przedstawiane stare wiedźmy, podsycające ognisko z rozkazu czarta, by jakąś ucztę piekielną zgotować dla wspólnej zabawy; można było przypuszczać, iż na tym ogniu śmierć poniesie męczennik, lub najczystsza myśl ludzka spłonąć ma na stosie, unoszącym w swych dymach nieocenione skarby prawd i nadziei. Światło ogniska jaskrawością swoją napełniało całą głębię sali; blask lampy bladł pokonany a pośród sufitu drgały przebiegające i wydłużone fantastyczne cienie dwóch wiedźm, uwijających się przy kuchni swej piekielnej, około komina.

Zabierały teraz resztki nagromadzonych świstków na spodzie szafy, wtem Felicya ledwie że zdołała powstrzymać gwałtownie wrywający się jej z gardła krzyk radosnego tryumfu.

— Mam je, mam!... Na ogień, na ogień!...

Wreszcie wpadły w jej ręce teki, których tak bardzo pragnęła. Pascal ukrył je w samej głębi, z tyłu, za mnóstwem rzuconych drobnych papierów. Szał Felicji równał się szaleństwu, z furją rwała niebieskie okładki na tekach i rzucała w ogień z nienawiścią. Ogień buchał coraz silniejszym płomieniem, jakby grozić poczynał, iż w perzynę obróci całe domostwo.

— Palą się! Ach nareszcie palą się wstrętne te śmieci!... Marcyno, prędzej podawaj wszystko na ogień! Niech płonie, niech przepada!... Ach, co za ogień!...

Lecz Marcyna niepokoić się nim zaczęła.

— Niech pani uważa, by domu nie spalić! Czy pani nie słyszy, jak strasznie dudni w kominie?!

— A cóż mnie to obchodzi? Niech wszystko idzie z dymem. Patrz, jak papierzyska płoną! Oh, jak pięknie płoną! Jeszcze trochę a znikną nazawsze!...

Felicya śmiała się, radowała a wybuchy jej radości czyniły ją straszną, przerażającą. Naraz sadze padać zaczęły kawałkami. W kominie dudniło coraz donośniej, groźnie, musiały się w nim sadze zająć na całej przestrzeni, nigdy bowiem kominiarze nie wyprzątali z niego latami nagromadzonych pyłów. Hałaśliwy tentent i jaskrawość płomieni, działały

podniecająco na upojoną w swym tryumfie Felicję; stara sługa zaś poczęła tracić głowę i lękając się pożaru, biegała po komnacie, krzycząc ze strachu.

Klotylda spała snem ciężkim przy zwłokach zmarłego Pascala. Cisza zalegała ich pokój. Przerywały ją delikatne poruszenia zegara, bijącego już teraz godzinę trzecią. Gromnice wydłużały swe płomienie prosto, bez dżenia; najlżejszego technienia dostrzedz tu nie można było. W śnie pogrążona Klotylda, odczuwać się w nim zdawała pewien niepokój; dolatywać ją poczęły, jakby szmery, wreszcie hałas zmieszanych odgłosów. Roztworzyła oczy i nic na razie nie była w stanie zrozumieć. Gdzież była? Dlaczego tak straszny ciężar smutku zawisł w jej sercu? Rozpoznała rzeczywistość, ujrzawszy martwą twarz Pascala, lecz cóż znaczyły krzyki Marcyny? Wybiegła przerażona, by zdać sobie sprawę.

Zaraz z progu zarysowała się jej oczom dzika scena, którą rozumiała natychmiast. Szafa stała otworem, pusta, Marcyna drżała ze strachu, myśląc, iż dom już stoi w płomieniach a Felicja z zaciekłą furią popychała nogami ogarki papierów, usuwających się z ogniska. Dym i fruwające w powietrzu sadze napełniały całą salę a gwałtowny tentent w kominie, wtórować się zdawał dokonanej tu zbrodni.

Z ust Klotyldy wyrwał się krzyk i rzuciła widmom te same słowa, jakie rzucił jej Pascal, zastawszy ją wśród burzliwej nocy, wykradającą papiery, przy świetle błyskawic i piorunów.

— Złodziejki, zbrodniarki!

I natychmiast rzuciła się Klotylda ku płonącym papierom; nie ustraszywszy się ani straszliwego hałasu, dolatującego z komina, ani kawałami padającej rozżarzonej sadzy, z narażeniem się własnem, poczęła rękoma wygarniać płonące papiery i stosami całemi zwęglone karty przyciskała swą suknią, chcąc ogień w nich stłumić. Lecz czemże były te okruchy porzrywanych kartek! Żadna z nich nie była już w całości, nie pozostawało więc nic, owoc pracy tyloletniej spłonął w niespełna dwie godziny. Wrzała gniewem i oburzeniem najwyższem.

— Tak, jesteście złodziejkami i zbrodniarkami!... Popelniliście wspólnie morderstwo szkaradne! Prócz zbezczeszczenia zwłok ledwie zastygłych, zamordowałyście myśl człowieka, zgładziłyście genialne jego prace!

Słów tych, stara pani Rougon nie ulękła się bynajmniej. Wolna od wyrzutów sumienia, z podniesioną głową podeszła ku Klotyldzie, broniąc spełnionego przez siebie wyroku.

— Ty do mnie tak mówisz, do twojej babki?... Otóż wiedz, iż uczyniłam, co nakazywała mi powinność a przypominam ci zarazem, iż niegdyś, zobowiązałaś się być naszą współniczką...

— Kiedyś, tak! Byłam przez was do obłędu doprowadzoną. Lecz spostrzegłam się i żyć z wami przestałam, wzamian kochając i ucząc się rozumieć. Papiery te były obecnie moją spuścizną, świętą spuścizną, którą zalecał mi bronić w ostatniem swoim tchnieniu, były to myśli i prace całego jego życia,

nieśmiertelną chwałę zapewnić mu mogące... Tak, jesteś moją babką, lecz nie waham się, by ci powiedzieć, żeś dziś syna swego własnymi rękoma zamordowała i spaliła!

— Spaliłam Pascala, bom spaliła jego papiery!— krzyczała na cały głos Felicya.— Miasto całe byłabym spaliła, gdyby szło o uratowanie honoru rodziny!

W zaciekłości swej, dumna z odniesionego zwycięstwa, zbliżała się Felicya ku stojącej przy stole Klotyldzie, która, rozłożywszy niedopalonych kilka karteń, postanowiła bronić ich siłą w razie potrzeby. Lecz Felicya nie dbała już o te kilka zwęglonych swistków, również nie dbała o pożar, mogący dom cały w perzynę gruzów zamienić. Na szczęście dudnienie w kominie słabnąć zaczęło a Marcyna, ująwszy łopatę, gasiła, przyduszając spadające na podłogę płaty płonących sadzy, przysypując je nagromadzonym popiołem.

— Wiesz przecież—mówiła dalej Felicya, iż jedynym celem mego życia, było wyniesienie, panowanie naszego rodu. Walczyłam bezustannie, strzegłam życie całe, by wszystkie sprawy członków naszej rodziny, ku chwale jej obróconemi być mogły!... A żyłam i żyję jeszcze, jedynie tylko dla usuwania niepotrzebnych rzeczy, stojących na zawadzie. Nigdy nie wątpiłam, iż zwalczę je wszystkie, zawsze w tym celu stałam pod bronią, gotowa skorzystać z każdej najdrobniejszej okoliczności. Co chciałam, czego pragnęłam, spełnionem być musiało i spełniło się, bo byłam wytrwała i umiałam skorzystać z chwili...

I szerokim ruchem ręki wskazała na pustą starą szafę dębową i na dogorywające płomienie papierów stosem popiołu w kominie świadczące o dokonaniem zniszczeniu.

— Teraz jestem spokojna. Sława rodu jaśnieć będzie i po mojej śmierci... Papiery te mogły obryzgać ją i w ciągłym trzymaniu zawieszaniu. Papiery trwożą moją będąc — splotęły... Ród Rougonów tryumfować już może!

Wzburzona Klotylda uniosła ręce, jakby z domu tego, chcąc ją wypędzić. Lecz Felicja wyszła sama z pokoju i zeszła na dół do kuchni, by obmyć się i włosy swe przyczesać. Marcyna podążyła za nią; wróciwszy się, spostrzegła gest Klotyldy. Zwróciła się i rzekła:

— O panienko! Pozwól mi zostać aż do dnia pogrzebu.

Milczenie zapadło, po chwili przerwała je Klotylda.

— Ja nie ciebie wypędzam. Wiem, iż cała wina na tobie ciążyć nie powinna... Od lat trzydziestu żyjesz w tym domu... Pozostań więc zemną.

Stara sługa potrząsnęła przecząco siwą swą głową o twarzy bladej i jakby zatartej.

— Nie. Ja służyłam tylko panu i po panu już nigdy nikomu służyć nie będę!

— Jakto, nawet mnie?

Marcyna podniosła oczy i patrzyła wprost na twarz Klotyldy, na twarz tej dawnej pieszczotki swojej:

— Nie. Zwłaszcza panience—nie!

Klotylda dziwnie się teraz zmieszła. Chciała coś rzec jeszcze Marcynie, chciała jej oznajmć o spodziewanem dziecku, dziecku tego ukochanego przez nią pana, a które możeby chętnie podjęła się pielęgnować, lecz Marcyna odgadła jej myśli, wiedząc o jej stanie z posłyszanej rozmowy Pascala z Ramondem—popatrzała uważnie na Klotyldę, jakkolwiek żadnej zmiany w figurze jej dostrzedz jeszcze nie można było i po namyśle, rzekła dobitnie:

— Dziecku, czybym służyła? Wszak o to idzie?... Nie. Stanowczo nie!

Poczęła teraz Marcyna zdawać rachunek ze swej służby, mówiła spokojnie i przytomnie, jak się należało spodziewać ze strony tak praktycznej, jak ona kobiety.

— Mam z czego żyć, więc osiądę w jakim kącie i żywić mnie będą moje dochody... Panienkę mogę opuścić tem spokojniej, iż pieniądze pana prawie wszystkie odnalazły się. Doktor Ramond opowie to ze szczegółami, jak szczęśliwie uratować się dało cztery tysiące franków rocznego dochodu. A oto klucz od biórka w pana pokoju, gdzie w szufladzie jest pięć tysięcy franków... Wiem dobrze, iż nie będę miała z panienką trudności co do załatwienia moich rachunków. Pan nie płacił mi załug już od trzech miesięcy, ale mam jego kwity, świadczące, co mi jest wienien. Prócz tego, wydałam na gospodarstwo około dwustu franków z własnych moich pieniędzy i bez pana wiadomości... Zapisywałam wydatki i jestem

spokojną, iż mnie panienska nie pokrzywdzi, nawet na centym. Pojutrze, gdy już pana zanosą na ementarz—i ja ztąd odejdę.

Wypowiedziawszy co miała do powiedzenia, Marcy-na zeszła do kuchni a Klotylda pozostała na miejscu swem, jak wryta, tak dalece odczuła opuszczenie i rozstanie się z dawną swą opiekunką i tyloletnią służą. Niepomną już nawet była zbrodni, w jakiej dopiero co wzięła udział Marcyna; jej współnictwo przypisywała ciasnocie pojęć i wierzeń.

Cheąc nieco w sali uporządkować, Klotylda zbierać poczęła rozrzucone, rozwiane, niedopalone kawałki papierów; z uczuciem radości ujrzała leżące na stole Pascala, nietknięte płomieniami drzewo genealogiczne rodu; musiały go niedostrzedz zbrodniarki! Jedy-ny ten ocalony zabytek stał się w jej oczach świętą relikwią. Uniosła go ztąd i zamknęła w swej komo-dzie wraz z niedopalonemi kartami pisma, które wła-snymi rękoma wyrwała z pośród płomieni.

Z wielkiem wzruszeniem stanęła obok zwłok Pasca-la. Jakiś niezem niezmacony spokój panował tutaj wszechwładnie, pomimo dzikiej zbrodni i zniszczenia, szalejącego tuż obok w wielkiej sali, dymem i popio-łem buchającej jeszcze teraz.

Święta cisza spływała wpołcieniu tego pokoju, oświetlonego płomieniami gorejących zwolna i po-ważnie dwóch gromnic, najlżejsze drżenie nie mąciło ich światła. Klotylda spostrzegła, iż twarz Pascala stała się wielce białą, prawie że nie różniącą się od srebrno-włosej jego głowy i brody. Spał, jakby oto-

czony aureolą światłości, piękny niezwykle. Pochyliła się nad nim i pocałowała. Usta jej odczuły zimno marmuru jego twarzy o zamkniętych powiekach i marzącej snem wiecznym. Przygnębiona całym ogromem swego smutku, zwiększonym, iż uchronić nie zdołała powierzonej sobie spuścizny, osunęła się na kolana i płakała, łkając głęboko. Spełniony gwałt, niweczający pracę całego jego życia, wydał się jej zbrodnią, równającą się zagładzie świata i morderstwie ducha ludzkiego.

* * *

W wielkiej sali w Sulejadzie, siedziała Klotylda z dzieckiem swem na kolanach, i właśnie nakarmiwszy je, zapinała stanik sukni. Była godzina trzecia popołudniu a na dworze panował sierpniowy upał, unoszący w sobie jakby żar słońcem sypany. Okiennice sali szczelnie były zamknięte i zaledwie wązkiemi szczelinami filtrowały złote strzałki słońca, snując się po cienistym i jakby uspionym pokoju. Leniwa cisza niedzielnego wypoczynku zdawała się tu wnikać, mknąc od miasta wraz z odgłosem dzwonów kościelnych, wzywających na nieszpory. Szmer nie dolatywał żaden z pustego domu, w którym była tylko matka ze swem dzieckiem, służąca bowiem wyszła na niedzielną przechadzkę z zamiarem odwiedzenia krewnej, zamieszkałej na przedmieściu.

Klotylda patrzyła przez chwilę na swoje dziecko, był to już tęgi trzymiesięczny chłopak. Urodził się w ostatnich dniach maja. Od dziesięciu już miesięcy

nosiła żałobne szaty po zgonie Pascala. W prostej, powłóczystej, czarnej sukni, wydawała się jeszcze piękniejszą, była jakby wyższą i smuklejszą a twarz młodociana wyrażała smutek, pełen rzewności; przesliczne jej jasne włosy, złotem opromieniać się ją zdawały. Uśmiech przychodził jej zbyt ciężko, lecz z lubością patrzyła na tłuste i różowe dzieciątko, z buzią lśniącą miejscami kroplami mleka; wzrok dziecka napotkał się z promykiem słonecznym, chwajnie błyszczącym wśród pasma unoszącego się pyłku. Malec był jakby zadziwiony i oczy jego wciąż patrzyły na połyskujące w powietrzu złoto, jakby w cud zadziwiającej jasności. Ogarnęła nim wkrótce senność i zasnął na rękach matki, pochyliwszy swą okrągłą, gołą główkę, na której gdzieniegdzie pokazywały się jasne, cieniutkie włosy.

Z wielką ostrożnością Klotylda wstała i położyła spiocha w kolebkę, stojącą tuż przy stole. Pochyliła nad nim, pilnie patrzyła, czy zasnął na dobre; upewniwszy się, iż śpi, zasunęła muslinową firankę, jakkolwiek zmrok panował dokoła. Cichutko, nie czyniąc najlżejszego szelestu i stąpając tak lekko, iż zdawała się podłogi wcale nie dotykać stopami, Klotylda poczęła się krzątać, składając bieliznę, rozłożoną na stole, i dwa razy obeszła pokój w poszukiwaniu maleńkiej pończoszki swego syna. Wyglądała na kobietę pracowitą, spokojną i łagodną. Wpóśród ciszy, zalegającej dom, przesunął się jej w myśli obraz przebytego roku.

Po przygniatającej pamięci dniu pogrzebu, nastąpił

wyjazd Marcyny, która uwzięła się, by odejść ze służby natychmiast, nie czekając zwykłych ośmiu dni, podług przyjętego zwyczaju; przyprowadziła na swą zastępczynię młodą dziewczynę, brunetkę, dobrze wyglądającą, krewną piekarza z Plassans; Klotylda zadowolnioną była z jej usług. Marcyna osiedliła się w miasteczku Sainte-Marthe, i żyła tak oszczędnie, iż niezawodnie ciućać jeszcze musiała dochody od swego kapitału. Krewnych nie miała żadnych, komuż więc pragnęła zostawić skarb swój, skąpstwem zebrany? W przeciągu ubiegłych dziesięciu miesięcy; ani razu nie była w Sulejadzie. Pana jej tam już nie było, pocóż więc tam iść miała, nawet jego syna widzieć nie była ciekawą.

Rozmarzony umysł Klotyldy przywiódł jej pamięci postać starej pani Rougon. Od czasu do czasu odwiedzała ona swą wnuczkę w Sulejadzie; przybywała w charakterze krewnej, dość potężnej nawet, by mieć dla drugich pobłażliwość, przebaczała łaskawie błędy, zważywszy na pokutę za winy, jaka w jej przekonaniu z nich wynikała. Zjawiała się niespodzianie, całowała dziecko, moralizowała wnuczkę i udzielała jej rad swoich; Klotylda siliła się, by zachować względem niej to samo stanowisko pełne milczącego uszanowania, jakie miał Pascal względem swej matki. Felicja mało wreszcie zwracała uwagi, cała bowiem była pochłonięta tryumfem swej sprawy. Chciała teraz wprowadzić w wykonanie myśl dawno powziętą a mającą utrwalić na wieki sławę rodu, którego była przedstawicielką: Myślą tą było wzniesienie w Plassans do-

mu przytułku dla starców, pod nazwą „Fundacji rodziny Rougonów“; znaczny i wciąż zwiększający się majątek pozwalał jej na wykonanie tego zamiaru. Zakupiła w tym celu obszerny grunt po za miastem, w sąsiedztwie dworca kolei żelaznej, i dzisiejszej właśnie niedzieli, około godziny piątej, gdy upał mniej będzie dokuczliwy, odbędzie się uroczyste założenie kamienia węgielnego; władze urzędowe, oraz ludność miejska obecną będzie ceremonii, której królową będzie Felicya.

Klotylda czuła poniekąd pewną wdzięczność dla swej babki, iż okazała się pełną szczodrobliwiej bezinteresowności w chwili otwarcia testamentu Pascala. Ostatnią swą wolą, Pascal przekazywał cały swój majątek Klotyldzie, pani Felicya wszakże, jako matka, miała prawo do czwartej jego części; po przeczytaniu testamentu, oświadczyła, iż chce, aby wola jej syna, w całości została spełnioną i skutkiem tego legalnie przypadającej na siebie schedy zrzeka się zupełnie. Swoim majątkiem postanowiła rozporządzić dowolnie a wydziedziczając członków rodziny, chciała go w całości poświęcić sławie rodu, wznosząc Dom przytułku, zapewniający swem mianem cześć i szacunek potomności dla rodziny Rougonów; lecz skrzętnie przez pół wieku gromadząc pieniądze, miała ich dosyć, stały się one dla niej wartością podrzędną, oddana była wyższemu celowi, to jest zapewnieniu chwały rodowi.

Dzięki tym okolicznościom, Klotylda miała zapewnioną przed sobą przyszłość; cztery tysiące franków

rocznego dochodu, dostatecznymi były dla niej i jej dziecka. Całe jej usiłowania skierowane będą, by go wychować jaknajlepiej. Znaleziona w szufladzie biurka Pascala pięć tysięcy franków złożyła w Banku na imię swego chłopca; prócz tego posiadała Sulejadę, wszyscy wszakże doradzali, by takową sprzedała. Utrzymanie domu i ogrodu w należyтым porządku, nie przedstawiało wielkich kosztów, lecz jakże smutnym i samotnym był dla niej ten dom obszerny, z wielkich komnat złożony! Dotychczas nie zdołała się wszakże zdecydować na sprzedaż. Prawdopodobnie nigdy też z Sulejadą nie rozłączy się i w przyszłości.

Ach, ta Sulejada, toż miłość, życie całe i wszystkie najdroższe wspomnienia Klotyldy były z nią ściśle związane! Chwilami zdawało się jej, iż Pascal nie umarł, nie bowiem nie tknęła i nie zmieniła, od czasu jego zgonu. Meble stały na dawnych swych miejscach a godziny regulowały zajęcia, podług dawnego trybu życia. Jego tylko pokój był zamknięty i wchodziła tam ona jedna, gdy smutek swój łzami ukoić chciała. W pokoju sypialnym, z którym się tyle wspomnień miłosnych dla niej łączyło, kładła się na spoczynek na to samo łóżko, gdzie śmiertelne zwłoki Pascala zastała, gdzie sypiała, młodą będąc dziewczką; przybyła tam tylko kołyska jej dziecka; przysuwała ją bliźniutko, wzdłuż krawędzi łóżka. Zawsze pokój ten pozostawał dla niej najmiłszym; staroświeckie jego meblei wypłowiałe obicie koloru jutrzeńki—odmłodzonem być się zdawało kołyską, mieszczącą w sobie różowe ciało chłopca. W stołowym pokoju na

dole, pusto jej było samej; lecz wesoly i jasny wygląd jadalni przypominał jej śmiechy i rozmowy dawne, gdy jedząc we dwoje, popijali wino, wznosząc zdrowie życia i w ogóle istnienia. A ogród! Jakże każde źdźbło tego ogrodu zrosnięte być się zdawało z całą jej istotą; corok wywoływały się w jej umyśle obrazy przeszłości, jednoczące w sobie dwie ich postaci; z tarasu, przeciętego cieniem smukłych a odwiecznych cyprysów, jakże często wpatrywali się razem w piękną dolinę Wiorny, zwartą pomiędzy skałami de la Seille i spiekłemi pagórkami Sainte-Marthe! Ileż razy tu stojąc, wyzywali się wzajemnie, kto szybciej zbiegnie w dół ogrodu, chylącego się górzystym spadkiem, podtrzymywanym polnemi kamieniami, wśród których rosły szeregi drzew migdałowych i oliwnych, ścigali się, biegnąc rączo, z pustotą żaków szkolnych, a lasek sosnowy ciepły i aromatyczny, zaścieniający ziemię zeszlęmi swemi igłami, szeleszczącemi pod łamiącemi je stopami, a olbrzymie klepisko, którego trawa uginała się mięko, gdy leżąc całą postacią wpatrywali się w niebo wieczorne, witając wschodzące na niem gwiazdy; może urok największy miały dla niej wyniosłe jawory, pod którymi szukali chłodu podczas letnich upałów, wstuchując się z rozkoszą w kryształowy szmer źródła, wciąż płynącego przezroczystą smugą od czasów niepamiętnych. Nawet stare kamienie domu i ziemia, na której się wznosił—wszystko, aż do ostatniego atomu, złączone było z niemi i z ich miłością wzajemną, cała Sulejada wydawała się Klotyldzie zjednoczoną z nią jedną istotą,

ożywioną tem samem, co ona życiem i pulsującą krwią jednaka.

Najchętniej wszakże spędzała dni całe w wielkiej sali, gdzie tyle im wspólnie służyło godzin przy pracy, w sali tej obecnie przeżywała najprzyjemniejsze swe wspomnienia. Nic się tu nie zmieniło, przybyła tylko kołyska dziecka. Stół doktora stał na dawnem miejscu, pod lewem oknem, krzesło jego nawet zostało nietknięte. Na długim stole wpośrodku sali, piętrzyły się też stosy broszur, książek i papierów, bielila się tylko na nich obecnie porozkładana bielizna dziecka, którą właśnie porządkowała Klotylda. Oszklone szafy biblioteki dźwigały na swych półkach też same rzędy książek a wielka stara szafa dębowa szczelnie zamknięta, zdawała się ukrywać jeszcze i teraz powierzone sobie papiery. Atmosfera sali tchnęła po dawnemu zamięłowaniem pracy, widniejącej zewsząd, sala ta nosiła piętno pracowni, gdzie wspólnie żyli, oddając się zajęciu; uczone, śledzący za poszukiwaniami w dziedzinie wiedzy, oraz młoda dziewczyna o natchnionej artystycznej fantazyi. Widok przytwierdzonych do ścian dawnych jej pasteli, wzruszał Klotyldę nad wyraz; patrzyła często na wierne kopie kwiatów, mających służyć do ilustrowania dzieł pisanych przez Pascala a pociągały ją zarówno twory chimerycznych widziadeł, jak i fantazyą zrodzone kwiaty, tworzone pod wpływem snujących się po jej głowie marzeń.

Kończyła właśnie układanie bielizny, rozłożonej na stole, gdy oczy jej przypadkowo zatrzymały się na

pastelu, wyobrażającym starego króla Dawida, wspartego na gołym ramieniu Abisais, młodej Sulamitki. I nigdy nie śmiejąca się już teraz, Klotylda poczuła słodkie, radosne rozczulenie, ogarniające całą jej istotę. Jakże się oni wtedy kochali, jakie snuli marzenia wieczystego, wzajemnego szczęścia, patrząc na dopiero co ukończony wizerunek, symbolizować mający własną ich miłość! Stary król, przybrany w sztywno opływające go wspaniałe szaty, ciężkie od złota i drogich kamieni, głowę siwowłosą miał uwieńczoną królewską opaską; ona zaś, wspanialszą jeszcze była, obnażona i biała, jak lilia, wysmukła i wiotka, o piersiach małych i okrągłych, o ramionach toczonych, bosko urocza i piękna. Teraz, jego już niema. Śpi w mogile podziemnej a ona w żałobnej czarnej sukni, nazawsze piękno swego ciała ukryła. Pozostało jej tylko dziecko, ten dar widomy, iż cała była jemu oddana, świadczy ono istnieniem swoim, że król miłował oblubienicę swoją.

Zwolna Klotylda opuściła się na krzesło, stojące przy kołysce. Promienne strzały słoneczne wydłużały się przez cały obszar pokoju a gorąco sierpniowego dnia upału, wzmagało się w uspionym cieniu zamkniętych szczelnie okiennic; cisza, dom zalegająca, zdała się jeszcze głębszą obecnie. Odłożone na bok kaftaniki dziecinne brała Klotylda z kolei, by przytwierdzić odrywające się od nich wiązadła. Szyła zwolna, jakby w dalszym ciągu marzyła, ulegając ciszy i gorącu. Myśl jej zatrzymała się znów na pastelach, na podwójnym ich kierunku: pojęcia i wyko-

niania. Tak, one ściśle oddają dualistyczne własne jej usposobienie. Zdawało się, iż z namiętnością siła się oddać wiernie prawdę kopiowanego kwiatu, godzinami całemi szukała tożsamości tonów i szczegółów; innemi zaś dniami porwaną była chęcią tworzenia kwiatów nieistniejących, żyła wówczas jakby oderwana od rzeczywistości, uniesiona marzeniami o rajach nadziemskich, w krainach nieskończoności. Czuła, iż pomimo wszystko, pozostała tąż samą i dzisiaj; nowe warunki życia przetworzyć jej nie zdołały, ewolucyjna tylko siła nowa okazała jej szlaki. Czem była, jaką się stała—wszystko zawdzięczała tylko Pascalowi, gorące dzięki składając jego pamięci. Gdy wyrwał ją ze straszego otoczenia, wśród którego się zrodziła, uległ wówczas szlachetnemu swemu sercu, lecz może zarazem przejawiała się u niego ciekawość spostrzegawcza, jak też to dziecko wyrosnie w zdrowych i pełnych miłości nowych warunkach życia? Zdawna wyznawał on teorię, którą pragnął wypróbować na jaknajliczniejszych okazach, poprawić, przemienić istotę dziecka, tak moralną, jak fizyczną, za pomocą racjonalnego z nim postępowania i właściwego otoczenia. O tak, jemu ona zawdzięczała w zupełności najlepsze strony swego usposobienia, udzielił jej swej wytrwałości i uniesień, tępiąc tem istniejącą w niej gwałtowność i lekkomyślność. Rosła na słońcu i wolności a gdy zakwitła, życie samo rzuciło ją w objęcia tego, który był jej dobrem i radością. O jakże dziecko, zrodzone z ich miłości, byłoby radowało ich wspólnie, czemuż śmierć rozdzieliła ich na zawsze?...

Cofnąwszy się myślą, aż do lat swego dzieciństwa, Klotylda uprzytomniała sobie obecnie całe powolne, pracowite przetworzenie się swoje. Pascal poprawił odziedziczone przez nią właściwości umysłu, zdołał przytępić jej bezustanne zwalczanie rzeczywistości przez chimerę. Z jakąż łatwością unosiła się gniewem, jakiż bunt w niej fermentował; pozbawiona równowagi, oddawała się najdziwaczniejszym marzeniom. Przemieniły się one w dewocyę, w potrzebę iluzji, oraz kłamstwa, zachcianki natychmiastowego szczęścia, w rozmyślania nad przyszłą nagrodą w niebiosach, równoważącą niepowodzenia i niesprawiedliwości na ziemi doznane. Była to epoka jej walk z Pascalem toczonych, męczarni zadawanych mu bez przerwy a pod pozorami zbawienia, mordująca swobodę jego myśli. Dochodziła do stanowczego zwrotu, jaki nadał on jej życiu, zawładnąwszy nią wraz z chwilą objawienia prawdy, opartej na przykładach, złożonych z członków własnej ich rodziny. Jakże pamiętną dla niej była owa noc letnia, pełna gromów i szalejącej burzy! Odtąd oddziaływać na nią poczęła prawda, głoszona życiem i słowy Pascala; stawała się rozważną i rozsądną; godziła się z życiem takim, jakie ono było, wierząc, iż usiłowania ludzkie pokonają i zniosą czasem zło, oraz cierpienie. Kochała, stała się matką i zrozumiała wiele.

Nagle przypomniała sobie ową noc, gdy zawziętą wiedli sprzeczkę wśród klepiska. Dolatywały jeszcze jej uszu głoszone przez nią wówczas, pełne zażaleń skargi; natura była okrutną, ludzie wstrętą, wiedza

nie niewarta; pozostawała jedyna tylko ucieczka w Bogu, w tajemnicach wiary! Po za rozsypaniem się w proch przed majestatem niewidzialnego świata—szczęścia dostrzedz nie była w stanie. Teraz on mówić począł głośno swoje credo a było niem rozwijanie się rozumu za pomocą wiedzy, dobrodziejstwo prawd powoli, lecz bezustannie zdobywanych nazawsze. Wierzył, iż ustawicznie zwiększająca się suma prawd uzbroi wreszcie człowieka w potęgę nadzwyczajną, zapewnić mu mogącą, jeżeli nie bezwarunkowe szczęście, to pogodny spokój, dziś nam nieznany. Wszystko się streszczało w miłości życia, opartej na głębokiej wierze w życie. Lecz należało z tem życiem płynąć, jak ono samo wciąż naprzód płynie. Na wypoczynki liczyć w nim nie należy nigdy, również jak na spokój, wynikający z nieruchomości i nieświadomości, ulga bowiem żadna nie wyniknie nigdy z cofania się i zwracania w tył. Rozsądek nakazuje, by skromnie poprzestać na tej jedynej, możebnej nagrodzie, jaką jest własne zeznanie, iż żyło się przez cały ciąg swego żywota, spełniając uczciwie włożone na nas obowiązki. Zło możliwe i spotykane stawało się wówczas wypadkiem, objaśnić się jeszcze niedającym a ludzkość przybierała postać olbrzymiego mechanizmu, wiecznie pracującego i udoskonalającego się własnym wysiłkiem. Dlaczegoż robotnik, znikający po spełnionym trudzie dnia swojego, przeklinać ma dzieło, do którego się przyłożył, dlatego jedynie, iż mu danem niebyło ujrzeć to dzieło w całości spełnionem? A nawet jeśli nigdy ukończonem ono nie będzie, dlaczegoż

niema się on radować, iż znoił się ku jego udoskonaleniu, iż pracował w dobrej wierze, i niechaj mu będzie słodko spocząć po trudzie. Dzieci poprowadzą dalej, co rozpoczęli ojcowie; rodzimy i kochamy ich dlatego, iż przekazując im życie własne i trud im własny zwieryamy, co oni znów kolejno dzieciom swym oddadzą. Ludzkość dopiero stanie gotowa do wielkiej wspólnej pracy, gdy każdy z jej członków zrzeknie się dobrowolnie swojego ja, które ubezwładnia, wymagając absolutnego dla siebie szczęścia.

Klotylda, zastanawiając się nad sobą, spostrzegła, iż przestała się trwożyć myślą, co będzie nazajutrz po śmierci. Wszak dawniej opętana była tą trwogą. Jakże pragnęła wyrwać niebiosom tajemnicę dalszych naszych przeznaczeń! Smuciła się z gorączkową namiętnością, nie mogąc odgadnąć, nie wiedząc przyczyny, dlaczego istnieje? POCO zjawiamy się na ziemi? Jaki jest cel tego marnego żywota, pozbawionego równości i sprawiedliwości? Pytania nad potrzebą okrutnej męczarni, jaką jest życie, nie dawały jej spokoju. Obecnie myśleć mogła nad temi zadaniami rozważnie. Czyżby to uśmierzenie gorączkowej jej ciekawości przyniosło z sobą dziecko?—pojawieniem się swoim zastaniając jej bezdenną otchłań jutra, boć dziecko jej to jeszcze ona sama. Prócz dziecka, działała tu jeszcze metodyczna równowaga, z jaką żyła, oraz przekonanie, iż żyć należy dla wysiłku, jakiego życie wymaga. Powtarzała sobie słowa Pascala, mówiącego na widok uznojonego całodzienną pracą rolnika: „Snu jego nie przerwą i nie

zakłócać rozmyślenia nad życiem przyszłym". Chciał on przez to wyrazić, że przeważnie tego rodzaju mrzonkom, oddaje się umysł człowieka bezczynnego. Niechajby każdy spełniał swój obowiązek a sen spokojny znajdzie. Klotylda sama na sobie doznała błęgiego i dobroczynnego wpływu pracy, w niej szukała ukojenia cierpienia swego i serdecznej żałoby. Pascal nauczył ją, by każda godzina wyznaczoną była właściwej pracy a od chwili, gdy została matką, zajęcia nie dawały jej spoczynku; temu jeszcze przypisywała ukołysanie się dawniej trapiących ją mrzonek, nie doznawała już nigdy częstych poprzednio bojaźnią wywołanych dreszczy, obejmujących ją jakby chłodnym powiewem wiatru. Teraz z łatwością usuwała od siebie natręctwo dawnych mrzonek, dziecko stało się ogniskiem jej myśli, każdy dzień nowy zdawał się jej być nową kartą, przybywającą do dzieła, które żyło, dążąc ku celowi swojemu. Dziecko stało się dla niej rozkosznym wypoczynkiem po bólach doznanych. Miała teraz właściwą sobie czynność i cel, które, dając jej zadowolenie, świadczyły tem samem, iż spełnia przeznaczenie swoje.

Od dwóch już godzin, Klotylda szyla regularnym ruchem, wyciągając igłę i gubiąc się w marzeniach. Tasiemki u kaftaników już dawno były przyszyte a właśnie teraz ukończyła znaczyć pieluszki wczoraj kupione. Wstała w zamiarze złożenia ukończonej roboty. Słońce na dworze chylić się już musiało, złote jego strzały bowiem, ukośnie się tylko przedstawiały przez szpary. W sali było prawie ciemno,

otworzyła jedną z okiennic; wspaniały i przestronny widok, nagle odsłonięty, zatrzymał ją swym urokiem. Upał już ustępował a lekki wietrzyk podmuchiwał pod prześlicznie niebieskiem, czystem bez skazy niebem. Na lewo widać było najdrobniejsze bukiety sosen rosnących wśród zwałonych chaotycznie skał o czerwonej barwie; na prawo zaś ciągnęły się wzgórza Sainte-Marthe, i stała się w nieskończoność dolina Wiorny, cała przesiana złotym pyłem zachodzącego słońca. Spojrzała Klotylda ku miastu, było jakby różowe a nad nim połyskiwała ozłocona blaskami słonecznymi wyniosła wieżyca kościelna św. Saturnina; już chciała odejść, gdy w tem niezwykle widowisko przykuło ją do miejsca i długo stała zatopiwszy weń oczy.

Uwaga Klotyldy zwróconą została przez zgromadzone tłumy ludzi, falujących na przestrzeni gruntu tuż po za torem kolei żelaznej. Przypomniała sobie o zapowiedzianej na dzień dzisiejszy uroczystości; to babka jej, pani Felicja obecnością swoją uświęcała obchód założenia kamienia węgielnego pod Dom przytułku rodziny Rougonów, patrzała na początek dzieła, mającego zapewnić po wszystkie wieki sławę jej rodu. Przygotowania na uroczysty obchód dzisiejszy rozpoczęły się przeszło od tygodnia; mówiono, iż mularski cebrzyk i kielnia z czystego srebra wykute, posłużą pani Rougon, by własnoręcznie rzuciła pierwszy podkład wapna; sama przygotowała tę scenę, chcąc użyć swego tryumfu, silna i zdrowa mimo swych lat przeszło osiemdziesięciu. Dumną się czuła

jak wszechwładna królowa; po raz trzeci w życiu widziała miasto Plassans kornie pochylone do zwyciężkich nóg swoich; mieszkańcy wszystkich dzielnic wylegli, by orszak jej złożyć i powieść z okrzykami cześć jej głoszącami na miejsce, gdzie widome dzieło jej ła-ski wzniesie się dla dobra powszechnego. Z dzielnicy św. Marka przybyły szlachetne damy starożytnych arystokratycznych rodów, zaproszone na opiekunki przyszłego dobroczynnego zakładu fundacyi rodziny Rougon; stara dzielnica Plassans wysłała delegacye od towarzystw rzemieślniczych a nowa część miasta reprezentowaną była w osobach lekarzy, adwokatów, urzędników, wyróżniających się z pośród tłumu mniej dostojnych obywateli, cisnących się w zbitych gromadach, odświętnie przybranych. Pani Felicya, uważana za jedną z wielkich potęg za czasów ostatniego cesarstwa, po upadku którego wyniosłe nosiła żałobę, jak niepokieszona po niem wdowa, kulminacyjnej doznała chwili tryumfu i nasycenia swej dumy, gdy ujrziała postać podprefekta, dziękującego za hojność jej niezwykłą; zdało się Felicyi, iż widzi u stóp swoich pokonaną rzeczpospolitą, tę nienawistną dla niej formę rządu. Tylko wójt miasta Plassans miał wygłosić mowę, tymczasem od dni kilku obiegała pogłoska, iż podprefekt ma zamiar mówić. Z okna, w którym stała, Klotylda nie rozpoznawała osób, widziała tylko czerniące się masami tużurki i jasne suknie kobiece, oświetlone jaskrawem światłem zachodzącego słońca. Dolatywały ją odgłosy muzyki, zebranych w orkiestrę amatorów; wiatr przynosił jej chwilami donośne tony dętych instrumentów.

Odeszła wreszcie od okna i roztworzywszy wielką dębową szafę, złożyła tam swą robotę, leżącą dotychczas na stole. W szafie tej, tak niegdyś pełnej papierów Pascala, ułożoną teraz była bielizna i wszystka garderoba dziecka. Obszar głębi szafy wydawał się niezmierny; na olbrzymich, grubych deskach półek, spoczywały delikatne drobiazgi dziecinnego stroju, oraz cieniutka bielizna, lekka jak piórka, wyściełające gniazdo pisklęcia. Tam, gdzie przez lat trzydzieści gromadziły się papiery, zawierające myśli usilnego w pracy człowieka, leżały obecnie szmatki drobnej istotki, pierwsze jej spowicia. Staroświecka dębowa szafa jaśniała jakby uśmiechem odmłodzona.

Złożywszy na półce bieliznę swego syna, Klotylda rzuciła okiem na wielką kopertę, w której były zebrane szczątki niedopalonych papierów Pascala, jej rękoma wyrwane z płonącego ogniska. Przypomniała sobie zarazem, iż wczoraj jeszcze doktor Ramond prosił jej, aby przejrzała je uważnie, by wypadkiem nie pozostał wśród nich jaki ważniejszy dokument, mający wartość naukową.

Dr. Ramon nie mógł dotychczas odżałować straty, jaką poniósł przez spalenie papierów mistrza, jemu przekazanych. Zaraz po śmierci Pascala chciał utrwalić ostatnią z nim rozmowę, spisując ją jaknajdokładniej, lecz były to tylko ogólne poglądy teorii umierającego mistrza, wypowiedane z zadziwianiem oderwaniem się od strasznej, grożącej mu rzeczywistości. A szeroko szkicowane przez Pascala poglądy, tem

dotkliwiej dawały uczuć Ramondowi stratę rękopismów, gdzie traktowane one były w sposób wyczerpujący, wraz z codziennymi spostrzeżeniami, rezultatami, otrzymaniami doświadczeniem, oraz sformułowaniami prawami. Jego zdaniem, strata była nie do powetowania. Martwił się, iż zbyt mało posiada wskazówek, mogących go naprowadzić ku odbudowaniu prac Pascala, popychających wiedzę na nowe tory; z ich zatrąceniem dwadzieścia lat co najmniej było straconych; długo może czekać będzie trzeba, aż ktoś pochwyci na nowo myśli, zrodzone przez tego samotnego pracownika i odtworzy skarby zmarnowane w dzieckiej katastrofie, wywołanej głupotą i ciasnotą poglądów starej i dumnej przedstawicielki burżuazyjnego rodu.

Drzewo genealogiczne było obecnie jedynym dokumentem, zachowanym w całości, wzięła je Klotylda wraz z kopertą i rozłożyła na stole, tuż przy kolebce. Oglądając zwolna i ostrożnie szczątki niedopalonych papierów, Klotylda przekonała się ostatecznie, czego prawie zupełnie była pewną, iż ani jedna stronnica nie pozostała w całości, ani jedna notatka nie ocalała. Pozostawały tylko strzępy, kawałki zwęglonego papieru, ze słowami rozerwanymi, bez związku, bez znaczenia. Rozpoznała wszakże, iż pozostałe szczątki należały do zbioru rodzinnych dokumentów i w miarę, jak rozpatrywała się w słowach nawpół ogniem pożartych, budziły się w jej umyśle roje wspomnień, zdawała się rozumieć to, czego nikt inny domysleć się nie byłby w stanie. Przypom-

niała sobie ową straszliwą noc letnią, gdy burza szalała na dworze i pod wrażeniem ech dalekich zdania wyływały dla niej teraz ze słów oderwanych, wywołując szeregi postaci i odnoszących się do nich szczegółów. Wyczytała imię Maksyma i uprzytomniła sobie życie swojego brata, zmarłego od dwóch miesięcy; wieść o jego śmierci nie wywarła na nią najmniejszego wrażenia. Wśród przepalonych liter, poznała z nieprzyjemnem uczuciem nazwisko swego ojca, o którym właśnie słyszała niedawno, iż zagarnąwszy majątek i pałac po Maksymie pozostały, wynagrodził hojnie Różę, ową naiwną młodą blondynkę, za pomoc skuteczną, a na którą licząc, przy synu ją osadził. Spotkała się jeszcze z innymi nazwiskami: swego wuja Eugeniusza, dawnego vice-cesarza, chwilowo żyjącego spokojnie, jakby w uspieniu, z nazwiskiem kuzyna Sergiusza, proboszcza w Saint-Eutrope, dogorywającego na suchoty, jak to wczoraj jej mówiono. Każde źdźbło niedopalonych świstków ożywiać się zdawało; cała rodzina krwią bratnią złączona stawała teraz przed Klotyldą wraz ze wstrętami swemi przywarami; czarne te popioły i bezsensowne sylaby, dla niej jednej mogły już tylko mieć znaczenie.

Ciekawość wzięła Klotyldę i rozłożyła na stole arkusz z rodowodem. Była wzruszoną i jakby rozczuloną, dotykając tych pamiątek; a gdy odczytała dopiski, zrobione ołówkiem przez Pascala na kilka chwil przed śmiercią, oczy zasły jej łzami. Jak śmiało i stanowczo zapisał datę swej śmierci! A jakże wzamian

była widoczną w nim rozpacz i żal za życiem, gdy drżącymi od wzruszenia literami kreślił wiadomość o urodzić się mającem dziecku! Wpatrzona w rozgałęzienia drzewa genealogicznego swej rodziny, długo myślała, mówiąc sobie o ścisłym jego związku z resztą prac Pascala. Zdawało się jej, że słyszy słowa jego tłumaczące każdy poszczególny wypadek fizyologicznej dziedziczności, uprzytomniała sobie jego lekcye. Dzieci zwłaszcza go zajmowały. Pisał on do kolegi lekarza, osiadłego w Noumea, by dowiedzieć się o dziecku Stefana, który, skazany do ciężkich robót, ożenił się w Nowej Kaledonii; lekarz odpisał, iż Stefan jest ojcem córki, lecz nie donosił szczegółów, zaznaczając wszakże, iż dziecko jest zdrowe. Delikatna córeczka Oktawiana Mouret, zawsze była wątłą, za to syn jego tęgi był i zdrów zupełnie. Najbardziej pod względem zdrowia przedstawiała się rodzina Jana, osiadłego w Valqueyras; po trzech latach małżeństwa, żona zrodziła mu dzieci dwoje a z trzeciem była w ciąży. Pisklęta te rosły swobodnie pod jasnym południowym słońcem wśród żyznego gruntu, pracowicie oranego przez ojca, podczas gdy matka, skrzętna gospodyni, warzyła jadło i pielęgnowała dzieci w domostwie. Zdrowia i siły było w tem gnieździe dosyć, by odrodzić cały pień rodzinny. I Klotylda miała jeszcze w uszach okrzyk Pascala: „Ach ta rodzina nasza, co z nią będzie i jakie będą ostateczne jej losy?“. Wpatrzona w rodowód rodzinny, zamysliła się marząco nad temi słowami, spoglądając ku ostatnim latoroślom genealogicznych rozgałęzień.

Zkąd i jak wiedzieć można, która z tych gałązek okaże się najzdrowszą? Która wypuści z siebie i wyda najpotężniejszego i najrozumniejszego?

Kwilenie dziecka zbudziło Klotyldę z jej marzenia. Muślinowe firanki kołyski drząc poczęły, jakby tchnieniem, zbudzone dziecko przyzywało ją ku sobie, poruszając się wśród pościeli. Wzięła je na ręce, uniosła wesóło w górę, kąpiąc je w świetle zachodzącego słońca. Lecz malec był obojętny na piękność zbliżającego się słońca; uspięne swe oczki odwracał od jaśniejącego nieba, roztwierając wzmian usta, jak dzióbek ptaszka, wiecznie zgłodniałego. Płakał maleńki coraz głośniejsze, najwyraźniej domagając się pokarmu; zdecydowała się dać mu piersi. Miał wreszcie do tego prawo, trzy godziny mijały od chwili, jak ssał poraz ostatni.

Trzymając dziecko na rękę, Klotylda usiadła w bliskości stołu. Złożyła chłopca na kolana, krzyczał coraz bardziej, niecierpliwiąc się i gniewając; patrzyła na niego z uśmiechem, rozpinając swój stanik. Odstłoniła pierś małą i okrągłą, mlekiem nieco wzdętą. Lekka brązowa aureola zakwitła na jej delikatnej białości. Dziecko poczuło zbliżenie się piersi, unosiło główkę i szukało ustami. Pomogła mu ją odnaleźć a malec z odgłosem zadowolenia, rzucił się łapczywie, czerpiąc z chciwością pokarm i życie. Ssał zawzięcie, przypiawszy się dziąsłami. Rączką chwycił za pierś matki, jakby chcąc ją bardziej swoją uczynić a zarazem bronić w razie potrzeby, na wyłączny swój użytek zachowując swe dobro niepo-

dzielnie. Mleko, lejące się ciepłym strumykiem, napełniającym mu buzię i gardło, usposobiło go wesoło, uniósł teraz rączkę w górę, jakby zatykając chorągiew zwycięstwa. Klotylda z bezwiednym uśmiechem patrzyła na tęgie i zdrowe swe dziecko, mlekiem jej żyjące. W pierwszych tygodniach po słabości, bardzo cierpiała na pęknięcie piersi, które i teraz bardzo były delikatne; pomimo bólu uśmiechała się dalej ze spokojem i radością matek, chętnie dających mleko i gotowych krew swą oddać, dla dobra swych dzieci.

Gdy rozpięła stanik i obnażyła pierś mlekiem wezbraną, wraz z tą odsłoną ukazała się jeszcze inna, głęboko przez nią skrywana tajemnica; błysnął złoty łańcuszek z siedmiu perłami, połyskującymi jak siedm gwiazd mlecznych; nie zdejmowała go nigdy, od chwili, jak mistrz otoczył nim jej szyję w dniu, kiedy nędza zawisała nad niemi. Nigdy nikt tego naszyjnika nie widział na jej szyi. Stanowić się on zdawał część czarownych a ukrytych jej wdzięków. Karmiąc dziecko, patrzyła na perły i zdawało się jej, iż zachowały one ciepło pocałunków Pascala.

Doleciał ją urywek dalekiej muzyki. Zwróciła głowę ku oknu i patrzyła na widniejący piękny krajobraz, zlekka ozłocony ukośnymi promieniami słońca. Ach tak, przypomniała sobie teraz, to odgłosy uroczystości założenia kamienia węgielnego! Znów oczy Klotyldy spoczęły na dziecku, i radowała się, widząc, jak cheiwie łykał i ssał z niej pokarm. Przynęła stołeczek i postawiła nań nogę, ramieniem zaś

wsparty się o stół, patrzyła na rozłożony arkusz z drzewem genealogicznym, oraz na zwęglone resztki z papierów Pascala. Nie formułowała już teraz rozkołysanych swych myśli, z boską lubością chwiała się i majaczyły niewyraźnie, wciąż krążąc nad dzieckiem, z jej łona zrodzonym a teraz żyjącym nią jeszcze bo płynącym z niej mlekiem. Dziecko z niej zrodzone, odkupicielem może będzie. Dźwięczenie bijących dopiero co dzwonów towarzyszyło wędrownce królów, magów a lud wielki wiedli za sobą; radowali się wraz z naturą całą, śląc uśmiech ku dziecięciu. Ona, matka dziecięcia, poła go swem życiem, marząc o jego przyszłości. Czemże on będzie, gdy wyrośnie i zmężnieje, powstawszy z oddanych mu sił jej własnych? Czy będzie uczonym, siejącym słowa wiedzy? Czy będzie wodzem, okrywającym wojskową sławą kraj swój rodzinny? A może wyższe go jeszcze spotkają losy, może danem mu będzie koić nędzę doli ludzkiej i uśmierzać spory wydziałem nowej sprawiedliwości? Będzie piękny, dobry, potężny! Marzyła, jak marzy każda bez wyjątku matka, pewna, iż zrodziła oczekiwanego mesyasza; ta nadzieja i wiara uparta a matkom właściwa, nie jestże nadzieją i wiarą, podtrzymującą ludzkość w sile odradzania się i chęci życia, dążącego ku upragnionej, niepochwytniej a jaśniejącej przed nami szczęśliwości.

Czem będzie jej dziecko? Patrzyła nań Klotylda i starała się dopatrzeć podobieństwa rysów. Miał czoło i oczy ojca, również jak kształt głowy, z dziwną jakąś połączony wyniosłością, także przypomina-

jąca ojca. Poznawała siebie w delikatnym rysunku ust, oraz brody. Z niepokojem dopatrywać się chciała, czy nie nosi jakich znamion, wspólnych z tymi rozlicznymi członkami rodu, którzy złowrogo ku niej się wychylali z rozłożonego przed nią rodowodu rodzinnego. Czy nie uległ prawom ciężającej nad nim dziedziczności? Uspakajała się wszakże zwolna, podlegając rozkwitłej, rozsadzającej jej macierzyńskie serce nadziei, tej wiecznej pocieszycielce naszej, bezgranicznej nadziei. Nie napróżno mistrz się silił, by zakorzenieć w niej głęboką wiarę w życie. Mężną była i nieugiętą w swej miłości, i wierzeniu w życie. Niepomna na nędzę, cierpienia i okropności z niem się łączące, czuła prawdę w wierze w pracę wciąż doskonałą naszą istnienie i przyszłość. Rodzące się dziecko, w miłości poczęte, zbliżało rozwiązanie i doskonalenie się dzieła. Nadzieja połyskiwała zwyciężko nad ranami dokuczliwymi a trapiącymi dziś ludzkość. Nadzieja ta przekazywała życie z pokolenia na pokolenie, podtrzymując wiarę w dobrodziejstwo życia, do którego przywiązanie dozwalało znosić cierpienia i niesprawiedliwości, otaczające ludzkość.

Znów mimowoli spojrzała Klotyllda na rozłożone na stole drzewo genealogiczne swego rodu. Tak, groziło ono strasznie. Tyle zbrodni, błota i tyle łez, cierpienia a także i dobroci! Jakaż w nim nadzwyczajna mieszanina najlepszego z najgorszym, cała ludzkość mieściła się w nim w skróceniu, ze wszystkimi swymi cechami, oraz bojem ustawicznie wiedzionym!

Można się było pytać chwilami, azali nie należało życzyć gromu spadającego, by nastąpiła zagłada tego nędznego i przegniłego mrowiska? Tyłu już było okrutnych, lub wstrętnych a oto zrodził się nowy ich potomek. Nieuleknione życie, pewne celu, ku któremu podąża, nie zawahało się zrodzić tego nowego potomka, pomija ono stawiane hipotezy, nieodstępnie swojego prawa i podąża wciąż naprzód, łaknąc pracy, wiodącej w nieskończoność. Rodzą się potwory, chorzy i szaleńcy, lecz biegu życia nie przykrócić nie zdoła, jak nie przykróci nadziei, iż nadejdzie wreszcie dzień pożądany, w którym rodzić się będą tylko zdrowi i rozuwni. Życie płynie wciąż potokiem ciągłym i nieskończonym, ku tajemniczemu swym celom. Skąpani w życia prądach nieskończonych i rozlicznych, toniemy w niem, jak w morzu granic niemajacem!

Miłość macierzyńska przeppełniła teraz serce Klotyldy; czuła się szczęśliwą, czując usta dziecka, czerpiące z niej łakomo swój pokarm. Była zamodlona i błagalna w swem uczuciu matki. Modliła się do tego nieznanego, czem jest właściwie dziecko. Modliła się do dziecka, jak do nieznanego bożyszcza, którem stać się ono może jutro. Modliła się do jego geniuszu, mogącego weń wstąpić i pasować go na owego mesyasza, oczekiwanego dla wybawienia ludów, ze zwątpień i cierpień! Wszak wszystko stworzyć jeszcze trzeba a może jemu jest to wyznaczone... Może on właśnie wzniesie nowe mury na rozsypujących się zgliszczach, stawiając dom trwały, rzą-

dzie się mający nowemi prawami, szczęście zapewniającami. W epokach niepokoju—proroków nam wygłądać należy. A jeżeli będzie odwrotnie, jeżeli on będzie zapowiedzianym Antychrystem, szatanem zniszczenia, potworem, oczyszczającym ziemię z żyjących, wśród których nędza tylko pozostała? Śladów życia wytępić on nie zdoła, odrodzi się ono a tylko dłuższe będzie oczekiwanie nowych lat tysięcy, aż zjawi się nareszcie upragnione przez ludzkość dziecko nieznanne, dobroczyńcą jej być mające...

Z prawej piersi Klotyldy mleko już wyciekło, dziecko gniewało się na brak upragnionego pokarmu, uniosła je, odwróciła i podała pierś lewą. I znów uśmiechała się łagodnie pod pieśczętą łakomych jego dziąseł. Pomimo wszystko, była ona uosobieniem nadziei. Karmiąca swe dziecko matka, czyż nie jest obrazem świata wciąż się odradzającego a tem samem dążącego ku zbawieniu swojemu? Pochyliła się nad dzieckiem i spotkała się z jego wzrokiem, szukającym światła. Co mówiła do niej ta drobna istotka, dla której biło jej serce pod wyczerpaną przez nie pierśią? Jakież słowa prawdy głosiły te usteczka, ssące z niej pokarm? Jakiej sprawie odda to dziecko życie, gdy wyrośnie, jej mlekiem karmione? Może nie nigdy nie odpowie jej ono, może kłamliwe będzie tylko rzucać słowa a jednak jakże jest szczęśliwą, dając mu swą ufność!

Znów doleciał odgłos dalekiej orkiestry, brzmiącej dźwiękami licznych instrumentów dętych. Musiała nastąpić chwila apoteozy, chwila, gdy babka jej, Feli-

cyą, kielnię srebrną schyliła ku kamieniowi węgielnemu przyszłego „Domu przytułku Rougonów“, wznoszonego jak pomnik dla utrwalenia sławy rodu na wieki. Niebieskie niebo jaśniało, dodając blasku uroczystości niedzielnej. A w cichej, samotnej sali, napełnionej ciepłem letniem powietrzem, noszącej ślady pracy wytrwałej, Klotylda uśmiechała się do dziecięcia swego, które ssało jeszcze i teraz, unosząc rączkę swą prosto w górę, jak sztandar, wzywający do życia.

K O N I E C.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

203035

Biblioteka WSP Kielce



0072281